Olga Doleśniak-Harczuk
AMO, DIBOBE, FORTUNA. OPOWIEŚCI AFRONIEMIECKIE

Piotr Lisiewicz
GRANAT RĘCZNY, NAPAD NA POCIĄG I LIGA MISTRZÓW

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

IDĄ PO NASZE DZIECI

TĘCZOWI AKTYWIŚCI są coraz bardziej widoczni. Przebiegły styl działania, wulgarne i agresywne zachowania, prowokacje, profanacje wartości, prowadzenie lekcji z tzw. edukacji seksualnej w szkołach. Wszystko jest starannie zaplanowane i wpisuje się w globalną strategię przejmowania władzy, niszczenia rodziny oraz tradycyjnych wartości. **POLSKA ZAJMUJE AKTUALNIE CZOŁOWE MIEJSCE NA LIŚCIE KRAJÓW DO ZDOBYCIA.**

ILUSTRACJA MARUSZ TROLINSKI, FOT. ADOBE STOCK

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 12 087 indeks 211060 #112 09/2020

ISSN 1895-4960

eprasa.pl d637dc41e0

TEMAT NUMERU ▼ 4–23

Gen Z, gen trans – czyli o tym, jak odkryłem gang trans-aktywistów... / 4

IDEE ▼ 24–40

fot. Wikipedia

Robić propagandę – trzeba się wyróżniać. Przypadek sarmacki / 24

HISTORIA ▼ 42–64

fot. NAC

Granat ręczny, napad na pociąg i Liga Mistrzów / 42

KRAJ ▼ 66–71

fot. Stefan Czerniecki

Męczennicy nierozmiękczeni / 66

ŚWIAT ▼ 76–97

fot. Wikipedia

Amo, Dibobe, Fortuna. Opowieści afroniemieckie / 76

Spis treści

▶ TEMAT NUMERU

Waldemar Krysiak
Gen Z, gen trans – czyli o tym, jak odkryłem gang trans-aktywistów sprzedających dzieciom hormony 4

Elżbieta Lachman
Kto chce ukraść nasze dzieci 8

Tomasz Duklanowski
Misjonarze śmierci w natarciu 11

Grzegorz Wierzchołowski
Alfabet ruchu LGBT, czyli jak homolobby broniło pedofilii 14

Jacek Liziniewicz
Po równość i pieniądze 17

Dawid Wildstein
Rozgrzany nóż w masło, czyli jak lewica rozgrywa Platformę 20

Ryszard Czarnecki
LGBT – „mięso armatnie" opozycji w walce z władzami RP 23

▶ IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Robić propagandę – trzeba się wyróżniać. Przypadek sarmacki 24

Ewa Polak-Pałkiewicz
Obrońcom cywilizacji łacińskiej 30

Tomasz P. Terlikowski
Idee mają konsekwencje 34

Małgorzata Matuszak
W zalewie nieheteronormatywności 38

▶ HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Granat ręczny, napad na pociąg i Liga Mistrzów 42

Dariusz Jarosiński
Sierpniowe cienie 48

Agnieszka Kowalczyk
Halo, tu Polskie Radio 56

Jerzy Wendel
Urząd bezpieczeństwa słów 62

▶ KRAJ

Stefan Czerniecki
Męczennicy nierozmiękczeni 66

Dorota Kania
Borowinowe dzieci 73

▶ ŚWIAT

Olga Doleśniak-Harczuk
Amo, Dibobe, Fortuna. Opowieści afroniemieckie 76

Antoni Rybczyński
Białoruska rewolucja 82

oprac. Antoni Rybczyński
Referenda, represje, cenzura. Jak Łukaszenko udaje się dzierżyć władzę od 26 lat 86

Hanna Shen
Ojciec tajwańskiej demokracji 90

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 96

eprasa.pl d637dc41e0

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Więcej wolności na Wschodzie
NA POCZĄTEK 3

Małgorzata Matuszak
Czym jest... cel
KATECHIZM INTELIGENTA 37

Ryszard Czarnecki
Pompka Królaka, mleko siatkarzy i moje kapsle
CZARNECKO TO WIDZĘ 41

Marek Kalinowski
W piaskownicy dźwięków
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 65

Olga Doleśniak-Harczuk
Ostatnia nadzieja SPD
Z GLOBALNEGO TYGLA 94

Marcin Wolski
Powtórka z Sierpnia
PAPKULTURA 98

Tomasz Sakiewicz
Demon Maxwella
OSTATNIE SŁOWO 99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA
NOWE PAŃSTWO

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Bista-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Więcej wolności na Wschodzie

Wydarzenia na Białorusi są dla Polski nie tylko wielkim wyzwaniem – w pewnych aspektach również szansą – lecz także lekcją, jak ważna jest wielowymiarowa polityka wschodnia.

Wyzwanie dotyczy zarówno zabezpieczenia interesów polskiej mniejszości w tym kraju, jak i interesu Rzeczypospolitej w związku z prawdopodobnym zwiększeniem panowania Moskwy nad Mińskiem i skutkami tego dla regionu, w tym dotyczącymi bezpieczeństwa. To też szansa dla nas, bo działając w tym trudnym czasie, przejmując inicjatywę i skupiając wokół siebie inne państwa, możemy wzmocnić swoją pozycję na arenie międzynarodowej, zbudować wizerunek kluczowego obrońcy wolności i demokracji w Europie. Odbieramy także lekcję dotyczącą polityki wschodniej. Widzimy, jak lata postrzegania Łukaszenki jako gwaranta niezależności Białorusi to czas bezproduktywnej infantylności. Bezkoncepcyjna polityka wschodnia zawodzi właśnie w takich krytycznych momentach. Nie pomagamy efektywnie Polakom na Wschodzie, nie inwestujemy w nich przyszłościowo, wspierając budowanie ich prestiżu w życiu publicznym państwa, w którym funkcjonują. Ale też nie potrafimy budować pozycji naszego państwa na Wschodzie poprzez działania wspierające obywatelskość i demokratyczność w tych krajach. Skutecznie działają tak Niemcy, a my jakbyśmy nie mieli ani pomysłu, ani interesu. A to powinien być arcyważny element naszych działań na Wschodzie. Bo pozycję w tych krajach możemy i powinniśmy budować nie tylko kontaktami politycznymi, lecz także społecznymi, poprzez rozwój polskich mediów, rozumne wspieranie tych inicjatyw polskich, które tworzą pozycję naszych rodaków, a nie zaogniają spór. Bo ten jest w interesie tylko jednego ośrodka władzy – w Moskwie. A jedno powinno być dla nas bezdyskusyjne – sojusze z siłami Kremla gdziekolwiek na Wschodzie są uderzeniem w polski interes narodowy, a nie jego realizacją. Tak jest na Ukrainie, Białorusi, Litwie i wszędzie indziej. Gdyby nawet pozory wskazywały inaczej, a na horyzoncie majaczyły jakieś chwilowe pozytywy, to opcja moskiewska ostatecznie zawsze będzie antypolska.

Dlatego media Strefy Wolnego Słowa przez lata protestowały – narażając się na ataki – gdy środowiska niepodległościowe wspierały działania rosyjskich organizacji pozorujących choćby upamiętnianie ludobójstwa na Wołyniu. Nasz krytycyzm nie był związany z chęcią wymazania pamięci o tej straszliwej zbrodni czy rezygnacji z jej wyjaśnienia i opisania, lecz z głębokiego przekonania, że Kreml nigdy nie był gwarantem naszych interesów, a prawda historyczna nie ma dla niego absolutnie żadnego znaczenia. Podobnie dziś podchodzimy do głosów płynących ze środowisk określających się mianem narodowych, by pozostawić sprawy Białorusi samym sobie. Otóż nie! Ten postulat oznacza faktycznie pozostawienie ich Putinowi. Tylko on może na tym zyskać i tylko jemu to służy. W żywotnym interesie Rzeczypospolitej leży wspieranie demokracji za naszą wschodnią granicą. Im będzie tam jej więcej, im prowolnościowe aspiracje naszych sąsiadów będę się wzmacniały, tym będziemy bezpieczniejsi. Nie chodzi o to, by coś Białorusinom narzucać, lecz by wspierać ich szansę na wolny wybór. Wolność na Wschodzie osłabia plany restauracji – w jakiejkolwiek formie – sowieckiej strefy wpływu. Im ten demon zniewolenia jest słabszy, tym lepiej dla nas. ■

W ŻYWOTNYM INTERESIE RZECZYPOSPOLITEJ LEŻY WSPIERANIE DEMOKRACJI ZA NASZĄ WSCHODNIĄ GRANICĄ. IM BĘDZIE TAM JEJ WIĘCEJ, IM PROWOLNOŚCIOWE ASPIRACJE NASZYCH SĄSIADÓW BĘDĘ SIĘ WZMACNIAŁY, TYM BĘDZIEMY BEZPIECZNIEJSI.

eprasa.pl d637dc41e0

Waldemar Krysiak

GEN Z, GEN TRANS – CZYLI O TYM, JAK ODKRYŁEM GANG TRANS-AKTYWISTÓW SPRZEDAJĄCYCH DZIECIOM HORMONY

Gdy zainstalowałem na telefonie aplikację Discord, którą uwielbia Generacja Z – czyli dzieci urodzone około 2000 roku – byłem w szoku. W kilka godzin udało mi się znaleźć dzięki niej nielegalną siatkę trans-aktywistów, którzy chcieli sprzedać mi hormony. Hormony, które miały zmienić moją płeć i uczynić mnie szczęśliwym.

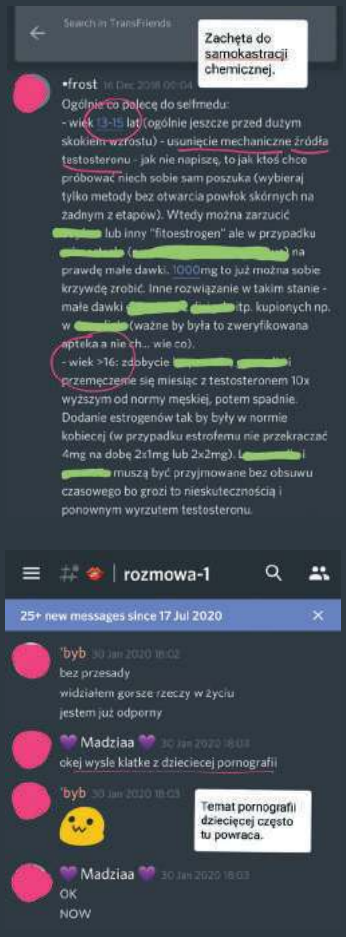

eprasa.pl d637dc41e0

Vivien 24 Jun 2020 00:16
wszystkie leki powinny być w obiegu bez aptek

Derepe 24 Jun 2020 00:16
NO wlasnie Wiem

Vivien 24 Jun 2020 00:16
na straganach
w mięsnym

Derepe 24 Jun 2020 00:16
gdyby nie ty to bym nie poszla do wethacza

Vivien
w monopolowym
w ważywniaku

Nikt nie kryje się tutaj ze swoją ideologią.

Derepe 24 Jun 2020 00:16
a to najlepsza decyzja in my life

Vivien 24 Jun 2020 00:16
bez granic wieku

Emilia Nie Kłóć Się 24 Jun 2020 00:16

Vivien 24 Jun 2020 00:17
idzie dziecko 6 lat z kieszonkowym do sklepiku
przy szkole
plosiem pani
ja chcem takie leki co dziewczynki
bo ja chcem być dziewcinkom
a sprzedawczyni

kasia_ka 24 Jun 2020 00:18
to chyba o mnie

Vivien 24 Jun 2020 00:18
proszę
spytaj się starszych koleżanek jak brać
bo ja się nie znam
dobziem plosie pani (edited)

Emilia Nie Kłóć Się 24 Jun 2020 00:19
- Dzień dobry,poproszę 50 deko szynki białowieskiej. A do tego poproszę o 2 opakowania divigelu.
- To będzie 45 zł.
- Proszę, oto one.
- Dziękuję, do widzenia.

Wiktoria 19.06.2020
ale ja jestem zła i niebezpieczna

Gosia 19.06.2020
Korzystają z dóbr ale krytykują je

Wiktoria 19.06.2020
i źle że ją namówiłam
bo nie wolno
ale jest zadowolona
XD
nie jestem na nią zła
to tylko dziecko
ważne że będzie miała dobry passing

Passing to "wygląd jak płeć przeciwna".

role

TWO SPIRIT

24 Jun 2020

OLA 24 Jun 2020 18:18
✨----------WIEK----------✨
: 13-16
: 17-21
: 22-24
: 25-29
: 30-35
: 36-40
: 41+

OLA 24 Jun 2020 21:07
✨----------Orientacje-dodatkowe----------✨
(na życzenie Wiktorii)

autogynemomatic - ma pociąg romantyczny do własnej kobiecości

Search in TransFriends

rozmowa-1 TransFriends

Vivien 26 Jun 2020 14:31
Namawianie ludzi na selfmed mnie rajcuje

rozmowa-1 TransFriends

Vivien 24 Jun 2020 13:35
bierzcie selfmed ludzie

Vivien/Weronika to admin serwera.

rozmowa-1 TransFriends

Vivien 4 Jun 2020 02:54
selfmed

rozmowa-1 TransFriends

Vivien 24 Jun 2020 00:40
wogle taka Ola ma 16 lat i depresje i jej trzeba szybko selfmed skołować

rozmowa-1 TransFriends

Vivien 3 Jun 2020 10:19
ale co ich mierzi moja atencja i namawianie na selfmed (edited)

rozmowa-2

25+ new messages since 29 Jul 2020

Ola 29 Jul 2020
Wiem
Taki mam plan
Ale mam na 3 miesiące aktualnie więc dalej nwm czy Lenę z Ukrainy czy idk co

Hormony są od lekarzy, z neta, z Ukrainy.

Luna 24 Jul 2020 19:18
Może to jakieś rozwiązanie.. albo od kogoś kupować
Ja mam 13 paczek jeszcze i 5 ale dostanę od Heleny jak się skończy bo dała mi na próbę czy mi się sprawdzi
A po całość mogę nawet do L się wybrać i potem odsprzedać a cześ sobie zostawić
Jakbym sprzedała to co mi zapisze w cenach bez refundacji to jeszcze zarobię xd
A mam 5 opakowań na sell jeszcze x d

Ola 24 Jul 2020 19:29
No bo u dają wszyscy za dużo
Ja mam jeszcze 80 tabletek
umówiłam się z iną
na pewien układ
no i mam więcej

15:20

straganik

Wiktoria 5 Jul 2020 17:09
jak to?

Emilia Zero 5 Jul 2020 17:09
To nie wiem, zapewne w jakimś czasie się odezwe do Heleny

Ola 5 Jul 2020 17:09
powiedz że nie będziesz mieć kasy
a teraz masz
i musisz wykupić
lol

Leki i nazwiska lekarzy zostały ocenzurowane.

Luna 5 Jul 2020 17:10
Chociaż w sumie i tak nie schodzi zbytnio to po co Ci go tyle
Wyjebane

Wiktoria 5 Jul 2020 17:10
Na handel

Luna 5 Jul 2020 17:11
Nikt nie potrzebuje zbytnio

Wiktoria 5 Jul 2020 17:11
ale ja znajdę nowe osoby

Emilia Zero 5 Jul 2020 17:11
Ja właśnie też tak myśle, ale pewnie dwóm osobom będę regularnie sprzedawać leki xd

15:19

straganik

Emilia Zero 30 Jun 2020 23:49
Jasne

5 Jul 2020

Luna 5 Jul 2020 16:59
Jeśli ktoś potrzebuje, to wciąż mam do sprzedania
7 opakowań

Wiktoria 5 Jul 2020 17:00
@everyone
Julka ma towar

Luna 5 Jul 2020 17:01

Wiktoria 5 Jul 2020 17:01
towar
ludzie
towar

Emilia Zero 5 Jul 2020 17:01
A ja mam do sprzedania 200 tabletek :v

Luna 5 Jul 2020 17:01
Ja 7 opakowań jak pisałam, czyli 350

rozmowa-2

25+ new messages since 1 Jan 2015

Kai 20 Apr 2020 09:33
To ile ty masz lat??

Madziaa 20 Apr 2020 09:35
14 od sierpnia

Kai 20 Apr 2020 09:35
Serio??

Madziaa 20 Apr 2020 09:35
tak

HRT to hormon replacement therapy.

Kai 20 Apr 2020 09:35
Nie wyglądasz młoda

Wiktoria 20 Apr 2020 11:22
ona ma 14 lat i jest na HRT

FridiTheCanine 20 Apr 2020 11:24
Zazdroszczę

Emilia Zero 20 Apr 2020 11:29
A ty nie miałaś przypadkiem 15 lat :O ?

Wiktoria 20 Apr 2020 11:34
15 dopiero kończy

eprasa.pl d637dc41e0

Patrząc pokoleniowo, jestem niby millenialsem, lecz mam boomerskie poglądy. Boomerskie, czyli obecnie niemodne, przestarzałe. Poglądy generacji moich rodziców, w sumie – większości ludzi: że istnieją kobiety i mężczyźni, że nie ma w naszym gatunku innych płci. Że dzieci powinno się chronić przed złymi decyzjami, że dziecko nie może pić, palić ani – raczej jasne! – brać samodzielnie lekarstw. Że nie można pozwalać dzieciom gubić się w internecie. Że dzieci trzeba chronić.

Ucieczka na tajne grupy

Jakieś dwa lata temu zacząłem pisać bloga. O tym, że jestem gejem i nie zgadzam się z lewicą i LGBT. Jednym z często poruszanych przeze mnie tematów były od początku mojej działalności środowiska transseksualne. Śledziłem ich aktywistów, obserwowałem, jak na tajnych grupach opracowują plany przekonywania rodziców konkretnych dzieci, że ich pociechy są transseksualne, jak sami sobie wyjaśniają detale ideologii gender. Jakiś czas temu zaobserwowałem, że trans-aktywiści migrują z Facebooka na prywatne serwery na Discordzie. Wiedziałem, że szukali prywatności, że nie chcieli, by osoby spoza ich środowiska wiedziały, o czym między sobą rozmawiają. Postanowiłem więc do nich dołączyć i zrobiłem sobie profil na Discordzie. Za pomocą rozsyłanego po cichu linka do zamkniętego serwera udało mi się dostać do ich pierwszej bazy, a potem do drugiej. Na serwerze numer dwa dowiedziałem się, obserwując rozmowy trans-aktywistów, że istnieje jeszcze trzeci, „specjalny serwer". I że nie wolno o nim mówić obcym. Oczywiście postanowiłem dotrzeć i tam.

Serwer nr 3: TransFriends

TransFriends – bo tak nazywało się zamknięte forum, o którym tylko szeptano w innych pokojach on-line – gościł około 300 osób. Podzielony był na kilka różnych działów. Niektóre z nich były dostępne dla wszystkich, inne nie. Trochę jak skrzynia, która zawiera w sobie kilka szkatułek. Niektóre szkatułki były otwarte, do innych potrzebny był klucz – specjalne zaproszenie od administratora forum.

Na ogólnodostępnych działach prowadzone były różne dyskusje. Dorośli mieszali się z dziećmi. Wiek podany był w profilach; najmłodsi forumowicze mieli 12 lat. Możliwe, że były też tam młodsze dzieci. Rozmawiano o sprawach codziennych, o muzyce i filmach, ale też o sprawach właściwych środowisku transseksualistów: jak się ubierać po kobiecemu, jak zmieniać głos, jak – w przypadku młodych dziewczynek – podwiązywać sobie piersi za pomocą tzn. bindera, żeby je spłaszczać i żeby rodzice nie zauważyli. Na otwartych czatach mówiło się też dużo o działach dostępnych tylko dla wtajemniczonych, bo tam miał miejsce „handelek" i tam przekierowywano zarówno dorosłych, jak i nieletnich. Postanowiłem więc zobaczyć, czym handlują transseksualiści.

Bazarek

Przerobiłem swój profil. Napisałem, że mam 14 lat, że jestem chłopcem i że nienawidzę swojego ciała. Po zapisaniu zmian zgłosiłem się do administratora całej grupy, do biologicznego mężczyzny piszącego pod pseudonimem „Wiktoria". To on-to ona założyła TransFriends, to on-to ona miała dostęp do wszystkich pokoi.

Do „Wiktorii" napisałem w tonie chwalebno-błagającym. Powiedziałem, że potrzebuję hormonów, że brzydzi mnie moje naturalne, chłopięce ciało. Że nie chcę być w przyszłości mężczyzną. Napisałem też, że podziwiam ją (sic!) za to, że stworzyła serwer TransFriends i że wiem, że może mi pomóc. „Wiktoria" od razu przeszła do kumplowskiego stylu rozmowy. Napisała, że wcale nie przeszkadza jej mój wiek i że chętnie mi pomoże. Dodała mnie do Bazarku.

Bazarek okazał się osobnym czatem, na którym chodziło wyłącznie o sprzedaż leków. O nielegalną sprzedaż substancji farmaceutycznych, zdobytych w różny sposób. Samych „specyfików" było wiele. Były to tzw. blokery, czyli inhibitory dojrzewania, które zatrzymują naturalny, prawidłowy rozwój płciowy dzieci i nastolatków. Przyjmowanie ich sprawia, że młody człowiek utrzymuje się w stanie Piotrusia Pana" – dziewczynki pozostają dziewczynkami, a chłopcy nie zamieniają się w młodych mężczyzn. Drugą kategorią sprzedawanych na Bazarku leków były hormony – różne warianty testosteronu dla dziewczyn, wiele form estrogenu dla chłopców.

Substancje te pochodziły głównie z trzech źródeł. Część transseksualistów odsprzedawała chętnie własne leki, których miała o wiele za dużo – lekarze hojnie im je przepisywali. Część leków pochodziła zza granicy, na przykład z Ukrainy. Jeszcze inne można było zamawiać na specjalnych stronach w internecie. Nikt nie krył się tam z całym procederem, niektórzy byli nawet ze wszystkiego dumni. Najbardziej aktywni uczestnicy czatu przyznawali bezwstydnie, że podnieca ich sprzedawanie prochów, szczególnie dzieciom. W niektórych rozmowach pojawiały się też sugestie, że lekarstwa wysyłane są nieletnim w zamian za ich nagie zdjęcia.

Byłem w szoku. Po pierwsze dlatego, że tak łatwo udało mi się tam dostać. Po drugie, bo to wszystko było takie obrzydliwe, tak otwarcie złe. Uznałem, że sprawa jest za duża dla mnie samego. Skontaktowa-

eprasa.pl d637dc41e0

łem się więc z Cezarym Krysztopą z „Tygodnika Solidarność". Znałem go i wiedziałem, że mogę mu zaufać. Potrzebowałem rady i wsparcia prawnego, bo wiedziałem, że nie mogę tego zignorować. Nie mogłem pozwolić na to, by ten serwer dalej działał i by krzywdzone były dzieci.

Chemiczne wróżki

Razem z Czarkiem ustaliliśmy plan działania. Miałem zostać jeszcze jakiś czas na TransFriends i zbierać dowody. Tak też zrobiłem.

Przede wszystkim zacząłem zapisywać screeny, zrzuty ekranu z czatów trans-aktywistów. Ci, przekonani, że „są wśród swoich", z niczym się nie kryli. Podawali, ile i czego mogą sprzedać, kto się para „handelkiem" i za jakie pieniądze. Polecali sobie wzajemnie kontakty do ludzi, którzy hormony mogli załatwić każdemu w całej Polsce. Opisywali, jak trzeba odpowiadać na pytania lekarzy, żeby nawet nieletni mogli zostać uznani za „osoby trans".

Oprócz monitorowania rozmów przeprowadziłem jeszcze kilka prowokacji na indywidualnych użytkownikach grupy – jedne z większym, inne z mniejszym sukcesem. Po prowokacji na czacie grupowym trans-aktywiści zaczęli nawet sami do mnie pisać prywatnie i oferować mi, 14-letniemu dziecku, blokery i estrogen. Jedna „chemiczna wróżka" – bo tak określali się na Bazarku sprzedawcy – zaoferowała mi taką ilość proszków, że starczyłoby mi na 3 miesiące.

Sprawa medialna

Całe moje śledztwo opisane zostało w „Tygodniku Solidarność". Zebrawszy dość dowodów, postanowiliśmy poinformować o wszystkim Polskę.

Reakcja na sprawę była... połowiczna. Dlaczego? Bo lewicowe, progresywne media kompletnie ją zignorowały. Ci sami dziennikarze-wrażliwcy, którzy płakali niedawno, że nabazgrane kredą nieprzyjemne słowa skierowane do jednego czy drugiego znanego geja to zagrożenie dla pokoju w kraju, nie zainteresowali się realną krzywdą dzieci. Te same media, które nadal twierdzą, że ideologia gender żadnym zagrożeniem dla dzieci nie jest, stały się głuche i ślepe, gdy ideologia gender serwowała nieletnim zastrzyki „z teścia" [testosteronu – przyp. red.]. Nie pasowało to do ich narracji.

Sprawa jednak nie ucichła – zainteresowali się nią inni, ta druga połowa poinformowanych. Zainteresowali się nią zwykli ludzie. I zainteresowało się nią Ordo Iuris.

Proces

Screeny otrzymała policja, a do prokuratury trafiło zgłoszenie o możliwości popełnienia przestępstwa. Będzie proces, a ja mam być świadkiem. Opowiem, jak odkryłem nielegalny handel, jak sprzedawano dzieciom hormony i jak zachęcano je do krzywdzenia samych siebie. Opowiem też o rzeczach, o których nie mogę tutaj jeszcze powiedzieć, bo nie chcę dawać cynku przestępcom.

***

PS. Trudno jest w jednym artykule opisać, jak wiele złych rzeczy działo się na TransFriends. Oprócz obrzydliwej specyfiki Bazarku, na serwerze pojawiały się też inne straszne i niebezpieczne rzeczy. Były opisy skierowane do dzieci, tłumaczące, jak mogą one dokonać samokastracji chemicznej. Były pochwały pedofilii. Było podżeganie przeciwko rodzicom. To, co trudno ubrać w słowa, najlepiej oddają screeny z rozmów, jakie toczyły się na tajnym serwerze dla trans-aktywistów i dzieci, które dały sobie wmówić, że coś jest nie tak z ich ciałami.

Na szczęście moje pokolenie – millenialsów czy boomerów – dorosło w czasie, gdy nie istniała jeszcze ideologia gender. Współczuję za to Generacji Z, tym dzieciakom, które muszą się zmierzyć z chorym światem, który został im sprezentowany. ■

BAZAREK OKAZAŁ SIĘ OSOBNYM CZATEM, NA KTÓRYM CHODZIŁO WYŁĄCZNIE O NIELEGALNĄ SPRZEDAŻ SUBSTANCJI FARMACEUTYCZNYCH. BYŁY TO TZW. BLOKERY, CZYLI INHIBITORY DOJRZEWANIA, KTÓRE ZATRZYMUJĄ NATURALNY PRAWIDŁOWY ROZWÓJ PŁCIOWY DZIECI I NASTOLATKÓW, I HORMONY.

———

Waldemar Krysiak jest autorem bloga „Gej przeciwko światu", zadeklarowanym homoseksualistą.

eprasa.pl d637dc41e0

Elżbieta Lachman

Kto chce ukraść nasze dzieci

Tęczowi aktywiści są coraz bardziej widoczni. Skupiają uwagę mediów, szczególnie tych, które szukają sensacji i przy każdej okazji powołują się na tolerancję. Przebiegły i chytry styl działania, wulgarne i agresywne zachowania, uliczne prowokacje, ataki na symbole religijne i patriotyczne, profanacje wartości, prowadzenie lekcji z tzw. edukacji seksualnej w szkołach – to środki, a cele to zmiana mentalności i norm społecznych i wymuszanie korzystnych dla grupy LGBT+ zachowań i decyzji polityków. Wszystko jest starannie zaplanowane i wpisuje się w globalną strategię przejmowania władzy, niszczenia rodziny oraz tradycyjnych wartości. Polska zajmuje aktualnie czołowe miejsce na liście krajów do zdobycia.

eprasa.pl d637dc41e0

Przed czterema laty zapytałam działaczy z niemieckich organizacji pozarządowych pro-family i jednego kapłana: dlaczego przedstawiciele środowisk LGBT+ wchodzą do szkół?

▶ *Nihil novi* – obowiązkowa seksedukacja, czyli wstęp do ideologii gender w Niemczech

Odwiedziłam z kamerą Hesję i Badenię Wirtembergię. Kolejne landy wprowadzały wtedy obowiązkową edukację seksualną według zaleceń WHO. Zadawałam pytania, dlaczego – często bez wiedzy i zgody rodziców – podczas obowiązkowych lekcji geje, lesbijki i biseksualiści przedstawiają dzieciom ideologię gender, zgodnie z którą wszyscy – nawet dzieci – mogą zmieniać płeć, a homoseksualistom mają być przyznane szczególne przywileje. Wiadomo, że poważne zaburzenia tożsamości płciowej w okresie dojrzewania mogą skutkować depresją, uzależnieniem od seksu lub niezdolnością do tworzenia trwałych więzi rodzinnych. Być może taki młody człowiek nigdy w życiu nie założy szczęśliwej rodziny, nigdy nie zostanie ojcem albo matką. Mówi o tym wielokrotnie podczas wykładów i wywiadów w mediach psycholog dr Jolanta Próchniewicz. Natomiast pracujący od ponad 30 lat duszpasterz rodzin ks. Ottmar Kuhn z Badenii Wirtembergii powiedział: „Ideologia gender coraz częściej grasuje w mediach, a jej przedstawiciele próbują zdobywać wpływy nie tylko w polityce, w państwie, w parlamencie, w rządzie, w strukturach miejskich, w rodzinach, w Kościele, ale i w rzeczywistości życiowej każdego człowieka. Zaczyna się od małych dzieci i idzie dalej, dotyka młodzieży oraz starszych. To jest niebezpieczne. Człowiek jest okradany z możliwości własnego rozwoju, ze swojej natury. Jest okradany także w innym sensie: jeśli wyłączy Boga, nie posiada żadnego fundamentu i jest życiowo zdezorientowany. Dziecko przestaje być dzieckiem, nastolatek już nie jest nastolatkiem, a dorosły już nie jest tym, kim rozwijając się, mógłby być...".

▶ Idą po nasze dzieci – atakują autorytet mamy i taty

Moi niemieccy rozmówcy zwracali uwagę na aspekt komunikacyjny: kto, do kogo i kiedy przemawia. Zazwyczaj to rodzice są najważniejsi dla swoich dzieci, szczególnie w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym. To oni wprowadzają swoje pociechy w świat wartości i prowadzą ku dorosłości. „Przedstawiciele LGBT+ nie mogą po prostu przyjść do rodziców i powiedzieć im – chcemy waszych dzieci" – powiedział ks. Ottmar Kuhn. Dlatego zbudowano misterny plan, dzięki któremu do dzieci, u których mama i tata dopiero budują kręgosłup moralny, przemawiają w przedszkolach i szkołach tzw. eksperci. To często ludzie bez przygotowania pedagogicznego, zaangażowani w prace fundacji i stowarzyszeń zajmujących się propagowaniem „różnorodności seksualnej". To oni mają stawać się dla uczniów kimś ważnym, komu można zaufać, komu można wszystko powiedzieć i ze wszystkiego się zwierzyć, nawet z najbardziej intymnych spraw. Dziewczynki i chłopcy podczas zajęć z tzw. edukacji seksualnej są łamani moralnie, niszczy się ich poczucie wstydu. Zasiewa się w nich zwątpienie w autorytet rodzica. Rodzice mają być tylko tzw. opiekunami w świecie fałszywej wolności. „Zaczyna się możliwie wcześnie wpływać na ludzi. Z dziećmi jest najłatwiej. Potem już piewcy ideologii gender mają fundament, na którym budują zmianę całego pokolenia. Dziecko nie potrafi rozmyślać na temat trudnych kwestii filozoficznych, ale przyjmuje to, co mówi do niego autorytet. Widzę zagrożenie w tym, że dziecko jest okradane z własnych rodziców – mamy i taty, zaczyna czuć się coraz bardziej wyobcowane we własnej rodzinie. Zaczyna się stopniowe oddalanie od najbliższych osób. Ideologia gender zaczyna zastępować wzór rodzica. Wchodzi w miejsce rodzica. Zastępuje mądrość rodzica. U młodzieży następuje ciąg dalszy" – powiedział ks. Ottmar Kuhn.

▶ Seksualność narzędziem w walce o dzieci

Jak bardzo tzw. edukacja seksualna, oparta na ideologii gender, kaleczy młodzież, widać na dostępnych w sieci wideorelacjach z seks-pogadanek. Oglądałam wiele takich filmowych relacji i nasuwa mi się tylko jedno słowo: zażenowanie. 12- i 13-letnie dzieci są zażenowane, patrząc na erotyczne akcesoria, przynoszone do szkół przez edukatorów. Język, którego się używa, mówiąc o różnorodności seksualnej w szkołach, wielu rodziców zaskakuje i oburza. Zapytałam ks. Kuhna, czy rodzice nie protestowali przeciwko takiej formie edukacji seksualnej. Okazuje się, że większość rodziców „chce po prostu spokojnie spędzać czas ze swoimi dziećmi, oglądać razem telewizję, chodzić na spacery itd.". Mathias Gersdorff – autor akcji „Kinder in Gefahr" („Dzieci w niebezpieczeństwie") z Frankfurtu nad Menem – powiedział podczas wywiadu: „Rodzice z różnych regionów Niemiec pewnego dnia orientują się, że w szkole

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI. FOT. FOTOLIA

eprasa.pl d637dc41e0

wprowadza się obowiązkowe zajęcia z genderowej edukacji seksualnej, ale wtedy jest już za późno. Jedyne, co mogą zrobić, to zmienić dziecku szkołę i na przykład wozić je na drugi koniec miasta do placówki, w której dyrektor ma bardziej umiarkowane poglądy". Dlatego rodzice coraz częściej wychodzą na ulice. Od kilku lat rośnie w siłę ruch „Demo fuer Alle", zorganizowany przez Hedwig von Beferfoerde z Magdeburga. Jego uczestnicy stają w obronie rodziny, tradycyjnych ról kobiety i mężczyzny oraz sprzeciwiają się agresywnej działalności środowisk LGBT+. Sama von Beferfoerde często pisze protesty, petycje, artykuły dla prasy, występuje w mediach i publicznych debatach. Wielokrotnie organizowała protesty rodziców w Stuttgarcie przeciwko zmianom w prawie oświatowym, polegającym m.in. na umieszczaniu elementów ideologii gender w podręcznikach wielu przedmiotów. Jest niestrudzona. Oczywiście jej publiczne wystąpienia bywają przerywane i zagłuszane przez zwolenników tęczowej rewolucji.

Pojawia się pytanie, czy Polsce uda się zatrzymać tęczowy walec, który zamierza rozjechać prawa rodziców, a potem *de facto* przejąć część władzy rodzicielskiej? Dzisiaj rodzice mają prawa i są one zagwarantowane w Konstytucji RP i prawie oświatowym. Jednak warto być czujnym – przestrzegają polskich rodziców matki i ojcowie z Niemiec. Oni sami przed kilkoma laty przegapili w kilku landach moment polityczny, w którym należało wywalczyć prawo do neutralnej światopoglądowo edukacji w szkołach publicznych.

Dyskryminacja dzieci i rodziców przez środowiska LGBT+

Okazuje się, że już sam protest przeciwko organizacji „Tęczowego piątku" na terenie szkoły może być uznany za atak na tolerancję. Tak było w 2019 roku w Poznaniu. Czasami w szkolnej radzie rodziców do głosu dochodzą matki i ojcowie, dla których nie ma znaczenia, jakie mogą być konsekwencje zmian tożsamości seksualnej u ich dziecka. Obowiązujące w Polsce prawo nie ma dla nich żadnego znaczenia. Dlatego szczególnie warto znać akty prawne, mówiące o prawach rodziców. Są one szczegółowo opisane na portalu PolskieForumRodzicow.pl. W niektórych szkołach dzieci uczestniczą w zajęciach dodatkowych, na które rodzice nie wyrazili zgody. Warto składać na początku roku szkolnego tzw. oświadczenia rodzicielskie. Na szczęście w Polsce dyrektorzy nie mają zagwarantowanej wyłącznej, administracyjnej kontroli nad procesem wychowawczym uczniów.

Tu chodzi o władzę

Arcyciekawa jest refleksja ks. Ottmara Kuhna: „Ideologia gender jest sposobem na stopniowe unicestwianie własnej tożsamości, własnego »ja«. Powoduje niewłaściwy rozwój społeczeństwa oraz struktury społecznej. Dlatego że dziecko już nie jest dzieckiem, nastolatek – nastolatkiem, kobieta już nie jest kobietą, mężczyzna nie jest mężczyzną, a na końcu społeczeństwo – społeczeństwem, ponieważ jest uzależnione". Uzależnianie rozmaitych grup, które w pakiecie działań mają promocję haseł środowisk LGBT+, od ich ideowych liderów i partyjnych mecenasów, jest zauważalne w wielu krajach i nie jest to problem tylko niemiecki. Na iluż to obiektach państwowych eksponuje się tęczowe flagi. Oznacza to, że tworzy się układ – pewna symbioza lewicowych i liberalnych polityków oraz aktywistów wymuszających bezzasadnie kolejne przywileje przede dla osób nieheteroseksualnych.

Prawo do przestrzeni publicznej

Trudno mówić o równym prawie obywateli do miejskiej przestrzeni publicznej, jeżeli na przykład tzw. tęczowy tydzień trwa dwa tygodnie, a w tym czasie po ulicach wędrują roznegliżowani ludzie, których jedynym okryciem bywają akcesoria, których dzieci raczej oglądać nie powinny. W tym czasie wielu rodziców nie wychodzi z dziećmi na spacer lub wyjeżdża za miasto. Jak korzystać z parku, w którym grupa ludzi publicznie wyraża swoją miłość, w sposób sprzeciwiający się polskim normom kulturowym? Jak reagować na całującą się jednopłciową parę na miejskim przystanku? To rodzice z dziećmi są dyskryminowani przez środowiska LGBT+! Ale rodzice, zajmując się dziećmi, rzadko mają możliwość wyrażania swoich uczuć i opinii w mediach, organizowania pochodów i protestów, zbierania podpisów pod petycjami. Wielu z nich wyraża swoje zdanie w ten sposób, że wyprowadza się na wieś, w której jeszcze jest spokojna, normalna szkoła i można wychowywać dzieci po swojemu. Na wieś, gdzie nie będą narażone na wulgarne i obsceniczne widoki panów przebranych za panie. Na wieś, gdzie nie organizuje się tęczowych imprez, lecz rodzinne pikniki na cześć mamy i taty czy babci i dziadka. ■

_____

Elżbieta Lachman jest redaktor naczelną portalu PolskieForumRodzicow.pl, mamą siedmiorga dzieci.

eprasa.pl d637dc41e0

Tomasz Duklanowski

Misjonarze śmierci w natarciu

Aktywiści LGBT walczący o przywileje dla homoseksualistów za cel ataków biorą organizacje pro-life. Przypadek? Nie. Bo to jedno z pól, na których cywilizacja śmierci usiłuje zniszczyć cywilizację życia. W Europie od ataków fizycznych na działaczy pro-life posunięto się już krok dalej. Na przykład we Francji, gdzie zabija się ponad 200 tysięcy dzieci nienarodzonych rocznie, ustanowiono prawo, które ogranicza działalność organizacji pro-life. Podobnych przepisów domagają się aktywiście LGBT w innych krajach zachodniej Europy.

FOT. WIKTOR DĄBKOWSKI/PAP

eprasa.pl d637dc41e0

Myślę, że mamy moment kulminacyjny, jeśli chodzi o walkę o prawa osób LGBT. Przez 10 lat zdążymy wygrać. Będziemy mieć małżeństwa jednopłciowe. Nie wiem, czy będzie adopcja, pewnie nie. Ale małżeństwa będą" – mówił w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" aktywista LGBT Linus Lewandowski. To on podczas manifestacji w Warszawie, na której zatrzymano Michała Sz. ps. Margot, wskoczył na dach policyjnego radiowozu.

Aktywista LGBT w gazecie Michnika zapowiadał również radykalne metody walki z działaczami broniącymi prawa do życia dzieci nienarodzonych. Mówił też o utworzeniu bojówek o nazwie „Homokomando" na wzór uznawanej w USA za organizację terrorystyczną Antify. „Mili już byliśmy. Tyle czasu robiliśmy pokojowe parady, i co? I mamy PiS. No więc nie. Będziemy się bronić. Próbowaliśmy też w sądzie miło sobie działać przeciwko tym homofobicznym furgonetkom – i co? Jesteśmy ignorowani. Więc jeśli nas nie słuchają inaczej, musimy w inny sposób działać" – perorował aktywista.

Na świecie działalność chrześcijańskich organizacji pro-life od lat jest pacyfikowana przez agresywnych aktywistów LGBT. W Polsce właśnie zaczynamy tego doświadczać. Na razie agresja „kochających inaczej" nie przybrała takiej skali jak na przykład w Niemczech, gdzie „Marszu dla życia" muszą pilnować setki uzbrojonych policjantów. Tak jest od lat w Berlinie, gdzie aktywiści LGBT, Antify i sataniści z niebywałą agresją i nienawiścią atakują uczestników marszu dla życia organizowanego przez kilkanaście stowarzyszeń chrześcijańskich. Wówczas można zobaczyć prawdziwe oblicze ideologii LGBT.

Ksiądz Tomasz Kancelarczyk ze szczecińskiego Bractwa Małych Stópek tak relacjonował przebieg berlińskiego „Marszu dla życia": – Nastąpiła agresywna kontrreakcja na pokój, ciszę, modlitwę, pokorę, niesione krzyże. Ten atakujący nas tłum był charakterystyczny co do ubioru i zachowania, a nade wszystko co do wyrazu twarzy pełnych nienawiści. Jeden z fotoreporterów będący bardzo blisko szarpaniny między nimi a policją powiedział: „Spojrzałem szatanowi prosto w oczy". Niestety nie tylko on tego doświadczył, lecz także ja i wielu innych uczestników „Marszu dla życia".

▶ Prawo do reklamowania śmierci

Podczas lewicowych kontrmanifestacji oprócz bluźnierczych haseł „Maria, bitte, treib ab" (Maryjo, proszę, usuń ciążę), działecze LGBT od dawna odwołują się do artykułu 219a niemieckiego kodeksu karnego, który zabrania reklamowania aborcji, choć przerwanie ciąży jest tam legalne.

Burzliwa dyskusje o tej formie „dyskryminacji" przetoczyła się przez niemieckie media trzy lata temu po tym, jak sąd skazał na karę grzywny w wysokości 6 tys. euro lekarkę Kristinę Haenel z Hesji, która na swojej stronie internetowej reklamowała zabiegi zabijania dzieci nienarodzonych. Efektem dyskusji była propozycja zmiany przepisów, tak aby lekarze i szpitale mogły udzielać informacji o przeprowadzaniu zabiegów aborcyjnych. Zmiany te były możliwe dzięki naciskom feministek i działaczy LGBT reprezentowanych w Bundestagu przez takie partie, jak SPD, Partię Lewicy i Zielonych.

W Niemczech aborcji można dokonywać legalnie do 12. tygodnia ciąży. Rocznie zabija się tam w ten sposób około 100 tys. dzieci.

▶ Knebel na usta działaczy pro-life

Znacznie większy „sukces" w walce z cywilizacją życia odniosły środowiska lewicowe we Francji. Tu działacze pro-life nie mogą już publicznie wyrażać swoich poglądów na temat ochrony ludzkiego życia i przeciw aborcji. Francuski senat przegłosował rządowy projekt ustawy zabraniającej działaczom pro-life głoszenia ich opinii.

Instytut Ordo Iuris informował o szczegółach nowych przepisów wprowadzonych z inicjatywy francuskiego rządu: „Zgodnie z projektem ustawy przyjętym w pierwszym czytaniu przez francuski senat, umieszczanie na stronach internetowych treści mogących zniechęcać kobiety do uśmiercenia dziecka na prenatalnym etapie rozwoju stanowić ma przestępstwo »cyfrowej interwencji«. Za publikowanie informacji promujących życie ludzkie w jego wczesnych fazach rozwojowych będzie grozić do 2 lat więzienia bądź grzywna w wysokości do 30 000 euro".

W opinii ekspertów Ordo Iuris nowe prawo w istocie likwiduje swobodę wypowiedzi organizacji pro-life, stygmatyzuje je i w efekcie skazuje na śmierć cywilną.

We Francji rocznie zabijanych jest 220 tys. nienarodzonych dzieci.

▶ Belgia idzie śladami Francji w walce z życiem

Na początku bieżącego roku w Belgii rozpoczęła się po raz kolejny dyskusja na temat większej liberalizacji ustawy aborcyjnej. Zgodnie z propozycjami środowisk lewicowych kobiety powinny mieć prawo zabijania dzieci nienarodzonych do 18. ty-

eprasa.pl d637dc41e0

godnia ciąży. Ale nowelizacja ma przede wszystkim uderzyć w działaczy pro-life. Zgodnie z nowymi przepisami karze ma podlegać każdy, kto „w jakikolwiek sposób" będzie chciał odwieść kobietę od zabicia własnego dziecka.

„Belgijska ustawa zamierza wprowadzić przestępstwo »utrudniania aborcji«, jednocześnie proponuje aborcję na życzenie do 18. tygodnia ciąży. Skraca też czas obowiązkowej refleksji z sześciu dni do zaledwie 48 godzin i wprowadza wysokie grzywny za utrudnianie kobiecie dostępu do klinik aborcyjnych" – informuje Katolicka Agencja Informacyjna.

Jako przykład ustawodawcy podają „rozprowadzanie przy wejściu do klinik aborcyjnych ulotek zawierających przesadne informacje, nieodpowiadające rzeczywistości aborcji". Sankcje karne objęłyby też lekarzy korzystających z klauzuli sumienia, gdyby odmówili wskazania lekarza lub placówki dyspozycyjnych do dokonania aborcji.

Nowe prawo zabraniałoby nawet działaczom pro-life przekazywania informacji w internecie. W ten sposób kobiety byłyby odcięte od jakichkolwiek informacji o alternatywnych rozwiązaniach dla aborcji.

Dyskusja na temat liberalizacji ustawy aborcyjnej została przerwała przez pandemię. W 11-milionowej Belgii rocznie dokonywanych jest blisko 20 tys. aborcji.

„Sukcesy" misjonarzy cywilizacji śmierci

„Pewnie nawet konserwatyści się zmienią, będziemy mieć takich jak w Wielkiej Brytanii. Dla nich małżeństwo, nawet gejowskie, jest też elementem jakby tradycyjnym, bo lepiej jak geje się poparują, i to na stałe, niż gdyby byli – jak to oni mówią – rozwiąźli" – mówił „Gazecie Wyborczej" aktywista LGBT Linus Lewandowski.

Rzeczywiście można ulec złudzeniu, że to, co stało się w Europie, czeka także nas w Polsce. Coraz liczniejsze manifestacje zwolenników LGBT, coraz więcej młodych ludzi na ulicach noszących tęczowe torby. Pustoszejące z roku na rok polskie kościoły. Spadająca liczba powołań i coraz to nowe skandale z udziałem księży odkrywane przez liberalne media.

O tym, jaka przyszłość czeka Europę, pisał już w 1969 roku niemiecki ksiądz Ratzinger – późniejszy papież Benedykt XVI. I trudno nie uznać jego słów sprzed ponad 50 lat za prorocze: „Z obecnego kryzysu wyłoni się Kościół jutra – Kościół, który stracił wiele. Będzie niewielki i będzie musiał zacząć od nowa, mniej więcej od początku. Nie będzie już w stanie zajmować wielu budowli, które wzniósł w czasach pomyślności. Ponieważ liczba jego zwolenników maleje, więc straci wiele ze swoich przywilejów społecznych".

NA ŚWIECIE DZIAŁALNOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKICH ORGANIZACJI PRO-LIFE OD LAT JEST PACYFIKOWANA PRZEZ AGRESYWNYCH AKTYWISTÓW LGBT. W POLSCE WŁAŚNIE ZACZYNAMY TEGO DOŚWIADCZAĆ.

To nie koniec Kościoła

Ksiądz Ratzinger pisze, że – paradoksalnie – w tej słabości odrodzi się siła Kościoła. Ludzie rozpoznają w końcu wewnętrzną siłę, która będzie emanować z tej garstki, która pozostanie. Ta siła będzie tym bardziej intrygująca dla innych, niebędących w Kościele, że pozostali, którzy zagubią Boga, w końcu doświadczą głębokiej samotności i własnej marności. „Proces będzie długi i żmudny, tak jak droga od fałszywego progresywizmu w przededniu rewolucji francuskiej – kiedy biskup mógł być uważany za błyskotliwego, jeśli wyśmiewał się z dogmatów, a nawet sugerował, że istnienie Boga wcale nie jest pewne – do odnowy w XIX wieku".

Benedykt XVI mówi, że zgodnie z obietnicą Jezusa Kościół przetrwa i będzie ratunkiem dla oszukanych nie tylko przez ideologie LGBT i gender: „Jestem jednak równie pewny, co pozostanie na koniec: nie Kościół politycznego kultu, który już jest martwy, ale Kościół wiary. Może już nie być dominującą siłą społeczną w takim stopniu, w jakim był do niedawna; ale będzie cieszyć się świeżym rozkwitem i będzie postrzegany jako dom dla człowieka, gdzie znajdzie on życie i nadzieję wykraczającą poza śmierć". ■

eprasa.pl d637dc41e0

Alfabet ruchu LGBT, czyli jak homolobby broniło pedofilii

Grzegorz Wierzchołowski

Fizyczne ataki działaczy ruchu LGBT na tych, którzy ośmielają się mówić o związkach między promowaniem homoseksualizmu a pedofilią, są usprawiedliwiane przez większość liberalnych mediów rzekomym manipulatorstwem „homofobów". Fakty są jednak bezdyskusyjne: to homoseksualiści i aktywiści LGBT odgrywali wiodącą rolę w działalności na rzecz zalegalizowania pedofilii i promocji stosunków seksualnych z dziećmi.

Allen Ginsberg

Od lat 50. XX wieku liczne stowarzyszenia, intelektualiści i aktywiści domagali się obniżenia lub wręcz zniesienia tzw. wieku zgody (czyli minimalnego wieku przyzwolenia na legalne stosunki seksualne z osobą dorosłą), tolerancji dla pedofilii jako „orientacji seksualnej" bądź legalizacji dziecięcej pornografii. Jak się okazuje – oprócz feministek (m.in. Simone de Beauvoir, Camille Paglia) i polityczno-intelektualnej lewicy (we Francji m.in. Louis Aragon, Daniel Cohn-Bendit, Michel Foucault, Jean-Paul Sartre, Jacques Derrida, Louis Althusser, Roland Barthes, Gilles Deleuze, Félix Guattari, Alain Robbe-Grillet i Jean-François Lyotard) kluczową rolę w propedofilskim ruchu odgrywały stowarzyszenia walczące o prawa homoseksualistów oraz znani homo-aktywiści.

Poniżej – w kolejności alfabetycznej – przedstawiamy listę (z konieczności okrojoną) osób i organizacji LGBT, które zasłynęły działalnością na rzecz promocji lub legalizacji pedofilii:

▶ ALBANY TRUST

W Wielkiej Brytanii pionierem „tolerancji dla pedofilii" było stowarzyszenie LGBT dotowane od końca lat 60. przez rząd w Londynie. Co ciekawe, Albany Trust rozpoczął działalność w 1958 roku w Wielkiej Brytanii jako... organizacja charytatywna. Miała ona uzupełniać działalność Homosexual Law Reform Society, ruchu na rzecz dekryminalizacji homoseksualizmu na Wyspach (jeszcze w 1954 roku w brytyjskich więzieniach za stosunki homoseksualne siedziało w więzieniach ponad tysiąc mężczyzn).

W latach 70. progejowski Albany Trust wkroczył na progresywne salony: otrzymywał granty od lewicowego rządu, a jednocześnie jego działacze oficjalnie spotykali się z... aktywistami pedofilskimi, przede wszystkim ze szkockiego Paedophile Information Exchange (główny postulat: legalizacja stosunków seksualnych między dorosłymi a dziećmi) i Paedophile Action for Liberation (Akcja Wyzwolenia Pedofilów, powstała jako odłam Frontu Wyzwolenia Gejów Południowego Londynu). Owocem tych spotkań i dyskusji były propozycje ustanowienia „grup wsparcia" dla pedofilów oraz druk broszury „informacyjnej" o pedofilii, przedstawiającej to zboczenie w pozytywnym kontekście.

Ponadto sekretarz Albany Trust, słynny działacz LGBT Antony Grey, w 1969 roku pomógł wydać w Wielkiej Brytanii książkę „Grecka miłość" autorstwa znanego pedofila Waltera H. Breena, który już w 1954 roku został skazany za molestowanie seksualne dziecka (a potem, w latach 90., trafił za kratki w związku z innymi pedofilskimi czynami).

▶ Bill ANDRIETTE

Ten amerykański dziennikarz i pedofilski aktywista jest zarazem znanym działaczem LGBT, związanym m.in. z pismem dla homoseksualistów „Baltimore Outloud" i z gejowskim magazynem o podróżach „The Guide". Jednocześnie Andriette od lat współpracuje z gejowsko-pedofilską North American Man/Boy Love Association (NAMBLA), a moralne potępienie pedofilii uznaje za „reakcyjną ideologię". W 1993 roku bronił członkostwa NAMBLA w Międzynarodowym Stowarzyszeniu Gejów i Lesbijek (International Lesbian and Gay Association).

▶ Frits BERNARD

W Holandii nie ma bardziej „zasłużonej" postaci dla prób legalizacji pedofilii. Ów psycholog kliniczny i seksuolog już od lat 50. działał w Cultuur en Ontspannings-Centrum, najstarszej na świecie organizacji LGBT. Wkrótce jednak Bernard zaczął interesować się prawami innej „prześladowanej" mniejszości seksualnej, czyli pedofilów. Założył pierwszy publiczny ruch pedofilski – Enclave Kring. W 1972 roku był współautorem książki „Seks z dziećmi", potem wydał m.in. mające pozory naukowości studium „Pedofilia".

▶ BRUNO'S

Założone w 1981 roku niemieckie wydawnictwo dla gejów – jedno z największych (jeśli chodzi o tę grupę docelową) na świecie – drukujące m.in. lifestylowy magazyn LGBT „Männer" i największy na świecie, bestsellerowy przewodnik „Spartacus International Gay Guide". W tym ostatnim w latach 70. i 80. – jeszcze przed nabyciem „Spartacusa" przez Bruno's – regularnie pojawiały się pedofilskie treści, co sprawiało, że był on wykorzystywany przez zboczeńców uprawiających dziecięcą turystykę seksualną. Gdy rząd Margaret Thatcher próbował walczyć z organizacjami pedofilskimi, w gejowskim przewodniku turystycznym pisano: „Brytyjskich pedofilów zapraszamy do pisania do »Spartacusa«. [...] Postaramy się przynajmniej częściowo zapełnić lukę otwartą przez dzikie prześladowania brytyjskich organizacji pedofilskich".

Gdy wydawnictwo Bruno's przejęło w 1986 roku wydawanie „Spartacusa", wtręty pedofilskie miały zniknąć. Ale nic takiego się nie stało: w przewodniku wciąż pojawiały się reklamy skierowane do miłośników seksu z dziećmi, a w wydaniu z 1992 roku ostrzegano na przykład, że na Filipinach pedofile nie są tolerowani, więc lepiej, by nie spędzali tam wakacji „w otoczeniu gładkich filipińskich chłopców".

▶ CAMPAIGN FOR HOMOSEXUAL EQUALITY

Działająca aż do dziś Kampania na rzecz Równości Homoseksualnej to brytyjska organizacja, której celem jest promowanie prawnej i społecznej równości lesbijek, gejów oraz osób biseksualnych w Anglii i Walii. Funkcjonuje od połowy lat 70. ubiegłego wieku, ale oprócz lobbowania na rzecz LGBT propaguje obniżenie „wieku zgody" do 12 lat i wspiera ugrupowania propedofilskie. W 2009 roku Kampania postulowała zaprzestanie ścigania przestępstw pe-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl d637dc41e0

dofilskich po pięciu latach od osiągnięcia przez ofiary pełnoletności. W 2014 roku organizacja została uhonorowana Nagrodą Alana Turinga (słynnego kryptologa, geja) przyznawaną przez LGBT Foundation (to największa charytatywna organizacja LGBT w Wielkiej Brytanii).

DEUTSCHE ARBEITSGEMEINSCHAFT PÄDERASTIE

Na czele tego pierwszego stowarzyszenia pedofilów w Republice Federalnej Niemiec stanął Helmut W. Bendt, działacz LGBT, założyciel wydawanego od 1970 roku pederastycznego pisma „Pikbube". Pedofile skupieni wokół organizacji Bendta określali się eufemistycznie mianem „miłośników chłopców".

Ian DUNN

Założyciel Outright Scotland, jednej z pierwszych organizacji LGBT na Wyspach, współtwórca pierwszej brytyjskiej gazety gejowskiej „Gay News", członek Partii Pracy. Po śmierci w 1998 roku jego nazwiskiem nazwano salę w Centrum LGBT w Glasgow, a gejowska organizacja Pride Scotia ustanowiła nagrodę jego imienia (wśród laureatów są m.in. lewicowi szkoccy parlamentarzyści).

Ta ikona LGBT to równocześnie... zaangażowany aktywista pedofilski. Dunn był współzałożycielem domagającej się legalizacji seksu z dziećmi Paedophile Information Exchange, organizował też spotkania z pedofilami, a adres jego domu w Edynburgu był adresem kontaktowym pedofilskiego magazynu „Minor Problems".

GAY LEFT

Słynny brytyjski kolektyw gejowski z lat 1975–1980, łączący aktywizm LGBT z marksizmem (homoseksualiści jako uciskana klasa społeczna itd.). W publikacjach grupy pozytywnie pisano o pedofilach, zamieszczano też reklamy organizacji pedofilskich, ubolewano również na przykład, że „lesbijskie matki i pedofile są ostatnio atakowani przez prasę". W jednym z artykułów działacz Gay Left zapowiadał wyzwolenie dzieci i relacji dzieci–dorośli w przyszłym społeczeństwie socjalistycznym: „Relacje między dorosłymi i dziećmi, w tym seksualne, będą mogły być wtedy [w czasach socjalizmu] oparte o znacznie większą równość [...] splatający się proces wyzwalania dzieci i kobiet oznaczałby więc nieuchronnie poszerzenie relacji seksualnych między dorosłymi i dziećmi". Jeden z założycieli Gay Left, socjolog Jeffrey Weeks, został w 2012 roku uhonorowany Orderem Imperium Brytyjskiego za zasługi w dziedzinie nauk społecznych.

Allen GINSBERG

Sławny amerykański poeta i pisarz, lider beatników. Antykapitalista, obnoszący się ze swoją seksualnością gej, jeden z pierwszych bojowników na rzecz praw LGBT. Został uhonorowany w Galerii Sław LGBT w San Francisco. Zarazem członek i obrońca North American Man/Boy Love Association (NAMBLA) – organizacji opowiadającej się za legalizacją pedofilii. „Jestem członkiem NAMBLA, bo także kocham chłopców – kocha ich każdy, kto ma odrobinę człowieczeństwa" – mówił Ginsberg.

Harry HAY

Czołowy amerykański działacz LGBT, założyciel Mattachine Society, jednej z pierwszych organizacji LGBT w Stanach Zjednoczonych. Członek Komunistycznej Partii USA. Dziś nazywany „ojcem nowoczesnego ruchu gejowskiego". Hay upamiętniony jest m.in. na Narodowym Murze Chwały LGBTQ w nowojorskim barze Stonewall – kolebce ideologii LGBT. Właśnie do tradycji Stonewall odwołują się dzisiejsi homoaktywiści w Polsce.

Hay zażarcie bronił pedofilów z North American Man/Boy Love Association (NAMBLA), protestował przeciwko usunięciu tej organizacji z parad gejowskich, usprawiedliwiał stosunki seksualne mężczyzn z 13-letnimi chłopcami.

Rüdiger LAUTMANN

Niemiecki socjolog, jeden z najbardziej znanych uczonych związanych z ruchem LGBT w Niemczech, praktykujący homoseksualista. Jednocześnie autor propedofilskiej książki „Żądza dziecka" (1994). W jednym z artykułów prasowych zaproponował odróżnienie pedofilii od „wykorzystywania dzieci".

René SCHERER

Francuski akademik i filozof, młodszy brat znanego filmowca Erica Rohmera. W latach 70. w Paryżu czołowy działacz Homoseksualnego Frontu Działań Rewolucyjnych – jednej z najważniejszych organizacji LGBT we Francji, powstałej w wyniku porozumienia środowisk gejowskich i lesbijskich. Scherer w wielu książkach i esejach bronił pedofilii. Recenzując jedną z jego publikacji z 1976 roku, lewicowo-liberalny „Le Monde" wprost pisał, że autor nie ukrywa, iż interesują go dziecięce ciała.

Sam Homoseksualny Front Działań Rewolucyjnych też szybko zwrócił się ku apologii pedofilii. Gdy w 1975 roku znany seksuolog Gerhard Zwang wrogo wyraził się o pedofilach, stał się obiektem nagonki ze strony Frontu.

David THORSTAD

Przewodniczący nowojorskiego Gay Activists Alliance (Sojusz Aktywistów Gejowskich), założyciel Koalicji na rzecz Praw Lesbijek i Gejów, trockista i historyk ruchu LGBT. A przy tym założyciel pedofilskiej North American Man/Boy Love Association (NAMBLA). Zdaniem Thorstada „histeria związana z wykorzystywaniem dzieci jest przemysłem szaleństwa skierowanym przeciwko homoseksualistom". Działacz LGBT porównywał też bycie pedofilem do bycia Żydem w nazistowskich Niemczech. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Jacek Liziniewicz

Po równość i pieniądze

W każdym dużym mieście w Polsce działa dzisiaj co najmniej kilka stowarzyszeń upowszechniających ideologię LGBT. Wszystkie te organizacje stanowią branżę NGO-sów, zagospodarowujących tematy równości, tolerancji i ekologii. Dziś można bez problemu zostać zawodowym aktywistą i dobrze z tego żyć.

FOT. ALEKSIEJ WITWICKI/GAZETA POLSKA

d657dc41e0

Ponad rok temu organizacje wspierające ruchy LGBT w Polsce postanowiły skrytykować tygodnik „Gazeta Polska" za naklejkę „Strefa wolna od ideologii LGBT". Pod histerycznym apelem „Życie osób LGBT w Polsce zagrożone" podpisały się 163 różne organizacje, które tym samym jednoznacznie poparły hasła postępowej ideologii. Wiele z tych stowarzyszeń to dzisiaj maszynki do zarabiania pieniędzy i zatrudniania aktywistów, którzy znajdują tu bezpieczną przystań i mogą działać politycznie. To, że stowarzyszenia mają służyć przede wszystkim do tworzenia nacisków na rządzących, nie jest szczególnie ukrywane i jest wpisane wprost w sprawozdania merytoryczne różnych organizacji.

Korporacja Przeciw Homofobii

Jednym z przykładów może być Kampania Przeciw Homofobii. Ta działająca w Warszawie fundacja w złożonym w 2019 roku sprawozdaniu merytorycznym większość miejsca poświęca w zasadzie polityce, praktycznie marginalizując jakiekolwiek działania na rzecz osób LGBT. I tak dowiemy się, że organizacja osiągnęła „znaczny postęp we współpracy z partiami opozycyjnymi", mobilizowała do udziału w wyborach i „osadziła prawa osób LGBT w szerokim demokratycznym ruchu w Polsce". Równie wiele co o polityce możemy poczytać o rozwoju struktury Kampanii. Sam opis mógłby spokojnie zostać użyty do charakteryzacji dowolnej korporacji w Polsce. „Wszystkim podejmowanym działaniom w okresie sprawozdania towarzyszył rozwój instytucjonalny. Podstawowym osiągnięciem jest proces przejścia do nowego systemu zarządzania zespołem i jego restrukturyzacja. W celu umożliwienia wdrożenia nowej strategii i organizacji pracy przeprowadzono restrukturyzację zespołu, poprzedzoną oceną kompetencji pracowników w zakresie 360 stopni, analizą Extended Disc oraz badaniem i warsztatami na temat jakości miejsca pracy. [...] Szereg luk w zasobach ludzkich został wypełniony w 2018 r. Zatrudniono koordynatorkę programową ds. edukacji i zdrowia, kierowniczkę pionu finansowo-administracyjnego, młodszą prawniczkę, koordynatorkę programową ds. mobilizacji społecznej, koordynatorkę ds. partnerstw strategicznych" – czytamy w sprawozdaniu. Kampania Przeciw Homofobii to dzisiaj jeszcze wcale nie największa organizacja, która zatrudniała w 2018 roku około 40 osób. Średnia pensja w pięcioosobowym zarządzie firmy wynosiła już wtedy ponad 10 tys. zł. Większość z wynoszącego 1,6 mln zł budżetu szła w tym czasie na pensje pracowników i osób związanych z organizacją. Kampania Przeciw Homofobii to na razie jednak organizacja na dorobku. W takich, które mają już ugruntowaną pozycję w branży, zarobki są wyższe. Przykładem może być stowarzyszenie Lambda. W zarządzie tej organizacji średnio zarabia się ponad 15 tys. zł, a osoba z największą pensją zgarnia ponad 22 tys. zł miesięcznie, czyli mniej więcej tyle, ile zarabia premier naszego kraju.

Celebryci ideologii

Oczywiście zdarzają się działacze ruchów LGBT, którzy stanowią „jednoosobową armię" i którzy w swojej działalności wybili się na finansową niepodległość. Jednym z nich jest Bart Staszewski. Pozycja tego aktywisty w ciągu ostatnich lat znacznie wzrosła. To właśnie on rozpoczął akcję dezinformacyjną, wieszając znaki drogowe pod nazwami miejscowości z hasłem „Strefa wolna od LGBT". Na fałszywą informację nabrał się m.in. polityk Guy Verhofstadt. Informacja jest do dzisiaj kolportowana przez polityków zagranicznych. Bart Staszewski prowokował również, m.in. tworząc tęczowe godło Polski. Ten aktywista był też aktywny przeciwko „Gazecie Polskiej" po naszej naklejce „Strefa wolna od ideologii LGBT". W każdym razie dziś to jeden z najbardziej znanych zawodowych aktywistów. I sporo na swojej marce zarabia. Na stronie internetowej Patronite.pl miesiąc w miesiąc na jego konto pieniądze wpłaca ponad 300 osób. Miesięczna kwota sięga dzisiaj 6 tys. zł. Pieniądze idą przede wszystkim na zwalczanie problemów, które Bart Staszewski stworzył. Obecnie aktywista boi się odpowiedzialności za akcję dezinformacyjną związaną ze znakami. „Na połowę lipca mam przesłuchanie na policji ws. mojej akcji z znakiem »strefa wolna od LGBT«. Sprawa pewnie trafi do sądu, więc mój zbiór przesyłek z policji, prokuratury i sądów będzie rósł" – pisze Staszewski.

Wcześniej aktywista stworzył film „Artykuł osiemnasty" o sytuacji par homoseksualnych w Polsce, który kręcił ze swoim partnerem, a na który nazbierał w serwisie Pomagam.pl, gdzie uzyskał na ten cel blisko 70 tys. zł. Dzisiaj zajmuje się tworzeniem własnegp kanału na YouTube. Nie podbił jednak internetu. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy umieścił w sumie cztery filmiki (w tym dwa poniżej 1 minuty), które obejrzało w sumie około 11 tys. osób.

W ślady Staszewskiego ma szansę pójść aktywista „Margot" i jej kolektyw „Stop Bzdurom". Po tym, jak „Margot", czyli Michała Sz., zatrzymała policja, co doprowadziło do demonstracji na Krakowskim Przedmieściu popierających go środowisk, kolektyw zaczął od razu zbierać pieniądze m.in. na prawników. W ciągu kilku dni uzbierało się blisko 300 tys. zł. Jak się okazuje, zbierano nie tylko na prawników. Hasło:

eprasa.pl d637dc41e0

„Stop Bzdurom – fundusz na prawników, dalsze dzikie akcje i wlepy" ma uzasadnić niemal każdy wydatek. Dlatego możemy być niemal pewni, że „dofinansowanie" dla Stop Bzdurom pozwoli zawodowo rozwinąć tę organizację i zapewni stabilność finansową na kilkanaście miesięcy. Takie postaci często ostatecznie lądują również w polityce. Oczywistym przykładem może być Robert Biedroń, ale dokładnie taką samą drogę przeszedł jego partner, który założył Polskie Towarzystwo Prawa Antydyskryminacyjne. W latach 2018–2020 na działalność Towarzystwa przeznaczono w sumie 231 tys. zł z budżetu Warszawy. Miasto stołeczne znajduje się wśród partnerów obok takich organizacji jak Fundacja Róży Luksemburg, fundacja Królestwa Holandii czy Komisja Europejska.

Źródła finansowania

Warto zwrócić uwagę na finansowanie różnych organizacji pro-LGBT. Większość z nich w mniejszym lub większym stopniu korzysta ze środków publicznych. W ubiegłym roku raport na temat finansowania warszawskich stowarzyszeń LGBT stworzyło Ordo Iuris. „Ruch LGBT jest szeroko dotowany przez Unię Europejską. Od 2017 r. zaliczające się do niego organizacje otrzymały równowartość prawie 2 mln zł. Dofinansowanie otrzymała np. Kampania Przeciw Homofobii. Jeden z projektów przez nią koordynowanych został dotowany kwotą wynoszącą w przeliczeniu 670 tys. zł. Wiadomo ponadto o środkach publicznych, których ta organizacja nie uwzględniła w odpowiedziach na wnioski o udostępnienie informacji publicznej. Komisja Europejska na swojej stronie internetowej podała, że KPH koordynowała projekt dotyczący »przestępstw motywowanych homofobią i transfobią«. Kwota, jaką Komisja Europejska wsparła realizację projektu, to 555 tys. euro (ok. 2,4 mln zł)" – pisali prawnicy. Podobne środki płyną również do innych organizacji. Wspominana wyżej Lambda na budżet 1,26 mln zł około 1 mln zł pobiera ze środków publicznych, w tym ponad 800 tys. zł z projektów Unii Europejskiej i blisko 200 tys. ze środków samorządów. Wśród tych ostatnich szczególnie wyróżnia się Warszawa zarządzana przez Rafała Trzaskowskiego. „Z danych udostępnionych przez Urząd Miasta wynika, że od początku prezydentury Rafała Trzaskowskiego zagwarantowano dla ruchu LGBT kwotę 876 tys. zł. Przekracza to sumę pieniędzy wydaną na tego typu organizację w ciągu całej ostatniej kadencji Hanny Gronkiewicz-Waltz" – pisało w październiku zeszłego roku Ordo Iuris. Samorządy wspierają organizacje LGBT, m.in. udostępniając siedziby, a także zlecając działania w ramach różnych projektów organizowanych przez miasto. Można się domyślać również, że swoje przekazują również partie polityczne. Na przykład Stowarzyszenie Miłość nie Wyklucza w swoim sprawozdaniu merytorycznym ujęło, że zorganizowało szkolenia dla polityków Nowoczesnej i Razem. Ta marginalna organizacja, w której działa wymieniony wyżej Bart Staszewski, w 2018 roku odniosła szereg sukcesów ujętych w sprawozdaniu merytorycznym, w tym pozyskanie bezpłatnego dostępu do Office 365, wywiad w „Vouge" i „Wysokich Obcasach" oraz udział w paradach równości i Festiwalu Open'er. Osiągnięty wówczas dochód to 350 tys. zł.

Miasta w całej Polsce

Z przeprowadzonych przez nas rozmów z radnymi największych polskich miast wynika, że dzisiaj to właśnie samorządy są potężnymi źródłami finansowania organizacji LGBT. Uzyskanie szczegółowych informacji nie jest jednak łatwe i wymaga kontrolowania na bieżąco wszystkich faktur. Najczęściej wspomaganie tęczowych stowarzyszeń odbywa się przy dużych projektach edukacyjnych, ale też przy ochronie zdrowia. W Gdańsku olbrzymie dotacje dostaje grupa Tolerado, czyli organizator marszów równości. „W samym budżecie miasta Gdańska na 2020 rok blisko milion złotych jest przewidziane na finansowanie akcji równościowych i tolerancyjnych, w których, nie ma co ukrywać, znaczny udział mają przedstawiciele stowarzyszenia Tolerado i współpracujących z nimi organizacji" – mówił portalowi tvp.info radny Przemysław Majewski. Podobnie sprawa wygląda w Poznaniu. Tam radni PiS-u od kilku lat monitorują przepływy finansowe do lewicowych organizacji. Ich zdaniem wszystko nasiliło się w 2017 roku. W dokumentach finansowych przewijają się głównie trzy podmioty: Stowarzyszenie Grupa Stonewall (organizator poznańskich Pride Week i parad równości), Fundacja Akceptacja (prowadzona przez osobę po zmianie płci, choć działająca głównie w obszarze profilaktyki ochrony zdrowia, pierwszej pomocy) i Fundacja Tęczowe Rodziny. W 2019 roku na konta tych organizacji trafiło ponad 100 tys. zł. Głównie są to wynagrodzenia za szkolenia. I tak na przykład Fundacja Akceptacja dostała 20 tys. zł na organizowanie pogadanek z transseksualistą. Grupa Stonewall w tym roku dostała z kolei 23 tys. zł na projekt „szkoła strefą wolną od homofobii i transfobii". Wszystkie te projekty w zasadzie nie wymagają żadnych nakładów. Są praktycznie czystym zyskiem dla organizacji. A zysk może trafiać do aktywistów i zapewnić im dostatnie życie. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Dawid Wildstein

Rozgrzany nóż w masło, czyli jak lewica rozgrywa Platformę

Patrząc na ostatnie awantury o LGBT, na histerię rozkręconą w tej sprawie przez skrajną lewicę, warto zwrócić uwagę na kłopotliwą pozycję, w jakiej znalazł się szeroko pojęty obóz liberalny, skupiony wokół PO i jej przybudówek.

eprasa.pl d637dc41e0

Choć Platforma dysponuje zasobami, zwłaszcza medialnymi i finansowymi, o których skrajna lewica mogłaby tylko pomarzyć, choć jest bez porównania od niej silniejsza – to jednak jest jednocześnie niesłychanie wobec niej ustępliwa. De facto akceptuje kolejne, nakręcane przez lewicę awantury, zgadza się z coraz radykalniejszymi postulatami.

Mysz kierująca słoniem

Co ciekawe, decyduje się na taką postawę, mimo faktu, że, w ostatecznym rozrachunku wspomniane awantury nie są wcale dla Platformy opłacalne, nie przynoszą jej żadnych wymiernych korzyści, jak pokazują badania – są one jednym z powodów odpływu części jej elektoratu. Więcej – nie reprezentują one nawet przeciętnych poglądów szeregowego członka tej partii. A to wszystko dzieje się jeszcze przy ostentacyjnej wręcz wrogości, deklarowanej przez reprezentantów skrajnej lewicy, afiszowaniu się przez nich pogardą do Platformy. Pytanie więc, jak to możliwe, że doszło do sytuacji, w której wrzaskliwa i agresywna mysz jest w stanie terroryzować wciąż, bądź co bądź, potężnego słonia? Momentami przybiera to wręcz groteskowe formy. Idealnym przykładem jest historia Piotra Jedlińskiego, krótko pełniącego obowiązki prezesa Radia Nowy Świat, będącego „schronieniem" dla uciekinierów z radiowej Trójki. Radia, które zajmowało się głównie, za pomocą swoich dziennikarzy, kolejnymi patetycznymi odezwami o wolności słowa, reżimie PiS i boskości Wojciecha Manna. Wystarczyło, że Piotr Jedliński (argumentując to notabene wolnością słowa) stwierdził, że ma także prawo nazywać Michała Sz. (zadymiarza, skazanego za pobicie kierowcy ciężarówki) właśnie Michałem, a nie jego pseudonimem „Margot", sugerującym, że jest on kobietą... i w przeciągu kilku dni prezes Jedliński musiał zrezygnować ze stanowiska. Nie pomogło mu nawet to, że zdążył jeszcze złożyć żenującą i na kolanach względem lewicy samokrytykę, przepraszając za swoje wcześniejsze herezje.

Inny przykład – na Twitterze niejaki Misza von Jadczak (znana postać w środowisku dziennikarskim) ośmielił się napisać, że nie ma zamiaru udawać, że Michał Sz. jest kobietą, bo poznał wiele osób transseksualnych i Michał Sz. w żaden sposób ich nie przypomina ani nie zachowuje się jak oni. Znów podobna sytuacja – po kilkugodzinnej nagonce wycofał się ze swoich słów, skasował wypowiedź i jego szczęście, że zrobił to pod pseudonimem, bo pisząc pod nazwiskiem, mógłby podzielić los Jedlińskiego. Można się oczywiście śmiać z bolszewickich standardów ludzi wciąż wycierających sobie gębę sloganami o wolnych mediach, z tego, jak w sekundę zmieniają optykę i poglądy i sami pokazują, że są gotowi na każde ustępstwa, każde złamanie samemu sobie kręgosłupa – byle tylko nie być na cenzurowanym. Ciekawsza jednak wydaje się odpowiedź na pytanie, jak to jest możliwe, że grupka wcześniej nikomu nieznanych lewaków jest w stanie zmieniać szefostwo mediów etc.? Dysproporcja sił wydaje się przecież niesamowita i absolutnie nie na ich korzyść.

Strach przed Berlinem?

Pierwszym skojarzeniem, skąd taki stan rzeczy, jest skrajna dyspozycyjność PO wobec „zagranicy". Platforma wielokrotnie już pokazała, że stawia lojalność wobec Berlina i Brukseli ponad swój interes polityczny. Najlepszym przykładem jest sytuacja z uchodźcami, gdy Platforma iście samobójczo brnęła we wspieranie polityki Merkel, mimo że wszystkie sondaże wskazywały, iż jest to prosta droga do wyborczej przegranej. Ale ciężko dziwić się PO – prestiż, jaki spływa na nią dzięki wsparciu ze strony najważniejszych graczy w Unii, pozwala jej wciąż udawać, że mimo kolejnych porażek, partia ta coś znaczy i może. Że nadal, jeśli tylko zmienią się okoliczności, Polska wróci do grona „ważnych państw" i powróci złota era Tuska. Narracja ta sama w sobie jest nieskończenie głupia, ciężko się jednak dziwić, że wsparta sporadycznymi wypowiedziami faktycznie najważniejszych polityków Unii, jest ona w stanie przekonać część elektoratu. Jeszcze istotniejszy jest element czysto praktyczny: Platforma bez wsparcia ze strony niemieckiego kapitału, który kontroluje znaczną część polskich mediów – czy to znanych tabloidów, czy popularnych portali internetowych – straciłaby jedno ze swoich najważniejszych narzędzi wpływu, a tym samym mogłaby błyskawicznie zacząć tracić poparcie. Zaś zachodni protektorzy PO mają też swoje przekonania i postulaty także w sferze obyczajowej – wszak wiemy, jak lewicowe potrafią być to środowiska. Więcej, zarówno Niemcy, jak i Bruksela dawno zrozumiały, że to środowiska lewicowe są dla nich naturalnym partnerem do rozszerzania swoich wpływów w Polsce. W zamian za granty, możliwość robienia kariery na Zachodzie etc. są one istotną tubą niemieckich interesów, tłumaczącą Polakom, czemu właściwie suwerenność nie ma znaczenia, czemu powinniśmy „słuchać się" bardziej cywilizowanych i postępowych ośrodków, jak Berlin, czy powinniśmy rezygnować ze strategicznych projektów rozwojowych dla Polski, takich jak budowa CPK czy Przekop Mierzei Wiślanej (wszystko to oczywiście jest legitymizowane lewicową nowomową odwołującą się do idei, niemniej jakoś zawsze ewentualna realizacja tych idei pokrywa się z niemieckim interesem). Ale nadal wspomniany strach PO przed reakcją jej patronów nie wydaje się wystarczający, nie tłumaczy on aż tak zaskakującej uległości Platformy wobec skrajnych lewaków. Chociażby dlatego, że w celu wypełnienia potrzeb Berlina PO mogłaby stworzyć własne „lewicowe ośrodki", w pełni kontrolowane (zresztą momentami próbuje to robić), które będą się jej wiernie słuchać, a nie, jak to

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

eprasa.pl d637dc41e0

ma miejsce w wypadku polskiej skrajnej lewicy, wręcz atakować od czasu do czasu.

Atrofia światopoglądowa

Prawdziwa przyczyna wydaje się bowiem bardziej „strukturalna". Wypływająca z samej istoty PO. Platforma Obywatelska jest chimerą, organizacją polityczną, która jest hybrydą między partiami obecnymi w zachodnich demokracjach a wschodnimi patologiami. Potworkiem właściwie niespotykanym poza państwami postkomunistycznymi. Podstawą jej istnienia, siłą, która umożliwia jej przetrwanie, jest konsekwentne zaprzeczenie fundamentowi demokracji europejskiej – czyli reprezentacji społeczeństwa. W normalnej, typowej dla Unii demokracji dana partia polityczna, poprzez swój program i tożsamość, reprezentuje określoną część społeczeństwa. Oczywiście usiłuje swój elektorat maksymalnie rozszerzyć – niemniej świadoma, że zawsze dokonuje tego w warunkach pluralizmu politycznego, czyli dopiero dzięki współistnieniu (czasem może być to „bardzo szorstka" koegzystencja) różnych partii w obrębie jednego parlamentu i jednego państwa wytwarza się dynamika, pozwalająca całości społeczeństwa utożsamić się z tym systemem politycznym. Partią typu europejskiego jest w tym kontekście PiS. Można się nie zgadzać z jego programem, tożsamością, z wizją Polski, ale PiS mówi do swoich wyborców jednoznacznie – macie swoje interesy i my będziemy je chronić. Odwrotnością takiej postawy jest właśnie Platforma. PO nikogo nie reprezentuje i z tego uczyniła wręcz swój atut. Jej ciągła amorficzność, na każdym możliwym poziomie, brak jakichkolwiek stałych punktów – czy to bieżącego programu, czy samej tożsamości politycznej. PO istnieje za to dzięki niesłychanie rozwiniętemu klientelizmowi. Stara się stworzyć jak największą sieć grup wpływu, dziś poszkodowanych przez PiS, które czekają na upadek tej partii. Te PO faktycznie reprezentuje – tyle że w relacji biznesowej, za konkretne benefity, dzięki którym Platforma może trwać. A im szerszy ten front, tym większe „tchórzostwo aksjologiczne" PO, ucieczka przed jakąkolwiek trwałą deklaracją światopoglądową czy polityczną (poza obalaniem PiS), która mogłaby spowodować, że część tych grup zrezygnuje z opieki tej partii. Dlatego boi się też jakiegokolwiek konfliktu wśród swoich „klientów", bo, analogicznie, mogłaby część z nich stracić. A PO skrajną lewicę postrzega też jako swojego „klienta". Oczywiście istniejąc jako bezideowa magma, wciąż zmieniająca poglądy i w sposób pełny ideologicznie bezkształtna – Platforma nie jest w stanie reprezentować jakiegokolwiek realnego interesu społecznego. A w jakiś sposób musi utrzymać swój elektorat. Dlatego karmi go wciąż najprymitywniejszą nienawiścią, usiłuje maksymalnie rozhuśtać jego emocje, wprowadza w stan ciągłej paranoi, uniemożliwiający właściwe rozpoznanie rzeczywistości. Mamy więc do czynienia z jednej strony z rozhisteryzowanymi, przerażonymi wyborcami, z drugiej – politykami, dziennikarzami czy najróżniejszymi „myślicielami", w pełni świadomymi, jak i infantylnymi, kłamliwymi bredniami karmiąc Polaków. Pozbawionymi jakichkolwiek skrupułów, jeśli chodzi o żonglowanie wartościami, sloganami.

Lewicowe rozgrywki

I w taką właśnie przestrzeń, w towarzystwo takich właśnie ludzi wchodzi dzisiejsza, polska, skrajna lewica. Której można zarzucić wiele, lecz nie brak ideowości i wiary w swoje poglądy (niezależnie od tego, jak groźne one są). Gotowa ich bronić. Dodatkowo pompowana często pieniędzmi i prestiżem z Zachodu. I wchodzi ona w ten świat jak rozgrzany nóż w masło – korzystając w pełni z tchórzostwa, konformizmu i głupoty całego intelektualnego salonu związanego z PO. Środowiska, którego działalność od lat polega tylko na tworzeniu legitymacji ideowej dla biznesów Platformy, różnego typu funkcyjnych autorytetów, które jedyne co potrafią, to powtarzać brednie o nowym faszyzmie i robić dobrze partii, która zabezpiecza ich finanse. De facto pozbawionych jakichkolwiek poglądów, za to wciąż przestraszonych, czy to, co powiedzą, będzie dość „europejskie", dość „postępowe". Bojących się jakiejkolwiek szczeliny w ich populistycznym antypisizmie. Nic dziwnego, że skrajna lewica potrafi takich ludzi rozgrywać, jak chce – nie mają oni z nią szans. A na ich plecach zbliża się i podobnie ogrywa samych polityków PO, zdobywając w samorządach czy innych instytucjach kontrolowanych przez Platformę kolejne przyczółki. W tym kontekście można powiedzieć, że jeśli dojdą u nas do władzy fanatycy, nowa bolszewia gotowa do każdego radykalizmu – to nie stanie się to, najprawdopodobniej, na drodze rewolucji, walk, przewrotu. Nastąpi to po cichu, „tylnymi wejściami". Na plecach skorumpowanych, bezideowych, bezmyślnych politykierów, których nic nie interesuje poza ich pełnym brzuchem. Trzęsących się ze strachu przed każdym atakiem, bo a nuż tym razem stracą swój stołek. Gotowych w związku z tym zaspokajać potrzeby każdego środowiska, które uważają, że może być dla nich niebezpieczne, jeśli nie wykonaliby jego żądań. Nieważne, jak taka grupka ludzi jest mała, istotne jest tylko to, jak jest zdeterminowana i wrzaskliwa. Oczywiście nie ma co popadać w zbyt kasandryczne tony – wątpliwe, by Michał Sz. z kolegami i koleżankami dokonali na szybko poważnej zmiany systemowej w Polsce. Zamiast tego będziemy mieć postępujący powolny walec ideologicznej kolonizacji, dzięki której swoje wpływy w naszym państwie jeszcze mocniej utrwalą najważniejsi gracze UE, z Niemcami na czele. Ze społeczeństwem coraz bardziej histerycznym, skonfliktowanym, z coraz mocniej przesuniętymi granicami, jeśli chodzi o agresję, świętokradztwo, prowokacje. Kolejne konsekwencje, które poniesie Polska z powodu istnienia partii, jaką jest Platforma Obywatelska. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Ryszard Czarnecki

LGBT – „mięso armatnie" opozycji w walce z władzami RP

To obrzydliwe, gdy dziś atakują nas z powodu rzekomego braku tolerancji przedstawiciele krajów, które przez wieki całe praktykowały nietolerancję.

Moja ojczyzna jest krajem tolerancyjnym. Mam wrażenie, że często aż nazbyt tolerancyjnym dla takich czy innych łobuzów, którzy podnoszą na nią rękę. Chodzi zarówno o chuliganów zewnętrznych, jak i tych wewnętrznych. Polska tolerancja była wręcz symbolem w Europie wieków XV–XVIII. Podkreślam to jako historyk. Gdzie indziej płonęły stosy. U nas godzono się z tym, że sąsiad wierzy w innego czy trochę innego boga, przyjmując to jako fakt oczywisty. To do Polski uciekali ludzie prześladowani religijnie na Zachodzie czy prześladowani ze względów politycznych na Wschodzie (Rosja). W Europie Zachodniej obowiązywała zasada: Cuius regio eius religio („Czyj rząd, tego religia"). Polski król, zresztą ostatni z Jagiellonów, Zygmunt August, prawił: „nie będę panem Waszych sumień". Piękne słowa. Pokazujące, że immanentną cechą polskości jest wolność.

To obrzydliwe, gdy dziś atakują nas z powodu rzekomego braku tolerancji przedstawiciele krajów, które przez wieki całe praktykowały nietolerancję. Ba, wiele z nich dalej w praktyce jest nietolerancyjnych. Weźmy choćby przykład, którego często używają zarówno politycy izraelscy, jak i liderzy społeczności żydowskich w Europie Zachodniej. Tam Żydzi boją się wyjść na ulice w jarmułce na głowie – w Polsce o takim lęku w ogóle nie ma mowy. Skądinąd pamiętam spotkanie delegacji europarlamentarzystów z premierem Benjaminem Netanjahu, zresztą w gmachu Knesetu, który na pytanie jednego z holenderskich europosłów o antysemityzm w Europie Środkowo-Wschodniej, odpowiedział, że owszem, Żydzi są atakowani, ale... w Europie Zachodniej.

Czemu piszę o tolerancji w kontekście LGBT? Ponieważ mamy ofiarę braku tolerancji – tyle że był to człowiek pobity przez aktywistę LGBT, który między innymi za to ostatecznie trafił do aresztu. To jego samochód uszkodzono. Okazuje się, że często nietolerancyjni są ci, którzy o tolerancji najwięcej mówią, którzy się jej domagają.

W Polsce o tajemnicach alkowy, owszem, plotkowano, ale nie było nigdy urzędowej „policji obyczajowej". Nie było wojen religijnych, jak u naszych bliższych i dalszych zachodnich sąsiadów. Tolerancja? Tak. Ale też swoisty pragmatyzm, bo o cóż to się wadzić? I czy warto? Krasiński zauważył zgryźliwie, że w Polsce nie było właśnie owych wojen religijnych, bo się Polakom... nie chciało. Prawdę mówiąc to mniej ważne, czy ich nie było z powodu tolerancji, wyższych racji, szacunku wobec ludzi inaczej wierzących. Czy też z pragmatycznych pobudek niepoświęcania ładu społecznego oraz wolności swojej i cudzej na ołtarzu nieatrakcyjnych – jak wydawało się naszym przodkom – sporów. Czyż nie odnosi się to dzisiaj do ludzi tworzących mniejszości seksualne? Wiele osób podkreśla, że nie obchodzi ich, co ci panowie czy te panie robią w zaciszu swoich domów. Rzecz w tym, że oni nie tylko powinni mówić o tolerancji, lecz także ją praktykować! A więc nie narzucać swojego „widzimisię" nam, ludziom „milczącej większości".

Czy oczekiwania, bo przecież nawet nie żądania, owej „milczącej większości" są rzeczywiście takie wygórowane? Czy nie są oczywiste? Domagając się tolerancji wobec większości (sic!), pamiętajmy, że w różnych krajach i w różnym czasie dobrze zorganizowane mniejszości potrafiły zaszantażować większość i przeprowadzić „swoje".

To, co mnie się bardzo nie podoba, to próby „umiędzynarodawiania" naszych wewnętrznych dyskusji i debat przez przedstawicieli środowisk LGBT lub ich obrońców. Mam też wrażenie, że pomijając nawet agresywne wypowiedzi tego środowiska w debacie w kraju, właśnie „eksportowanie" tych tematów przez „obrońców" LGBT prowadzi do skrajnie zafałszowanego obrazu Polski jako kraju rzekomo homofobicznego. To haniebna gra. Przy czym jej autorom często tak naprawdę nie chodzi o środowiska LGBT, lecz o pokazanie światu, jaka ta władza w Polsce jest opresyjna, homofobiczna i zasługująca na najwyższe potępienie.

I tak środowiska LGBT może nawet nie spostrzegły, że stały się „mięsem armatnim" dla opozycji na wojnie z polskim rządem. Ci, którzy instrumentalnie traktują wymiar sprawiedliwości czy standardy ekologiczne, tak samo bez mrugnięcia powieki poświęcą środowiska LGBT na ołtarzu „wojny totalnej" z rządem Rzeczypospolitej. Czy środowiska te nie czują się traktowane przedmiotowo przez opozycję? ■

eprasa.pl d637dc41e0

Jakub Augustyn Maciejewski

ROBIĆ PROPAGANDĘ – TRZEBA SIĘ WYRÓŻNIAĆ. PRZYPADEK SARMACKI

Żadna Polska wcześniej ani później nie potrafiła z takim rozmachem i precyzją zaplanować i przeprowadzić zagranicznej propagandy. Jeśli dziś od podstaw tworzymy Polską Fundację Narodową mającą dbać o wizerunek naszego kraju w świecie, to w XVI i XVII wieku takich PFN-ów były setki – a każdy na magnackim dworze.

FOT. WIKIPEDIA

Wiele z historycznych akcji propagandowych przeszło do legendy – słynny wjazd kanclerza Jerzego Ossolińskiego do Rzymu gruchnął wieścią, że Polska jest tak bogata, że konie podkuwa się tam złotymi podkowami. A ludziom dyplomaty wystarczyło jedną taką podkowę upuścić na ulicach wiecznego miasta, by lud w Italii rozpowiadał plotkę o potędze Rzeczypospolitej. Prawda, że koszt niewielki?

Jako że Rzeczpospolita nie była sprawnym mechanizmem administracyjnym, jej siła nie polegała na efektywności biurokracji (jak było choćby we Francji czy w późniejszych Prusach), tylko na wieloośrodkowym organizowaniu inicjatyw politycznych. To właśnie z tego osobliwego systemu brało się wiele dynamicznych i skuteczych akcji – jak na przykład ewakuacja ludności z Ukrainy Zadnieprzańskiej przez Jeremiego Wiśniowieckiego w 1648 roku, gdy wybuchło powstanie kozackie. Wspomniany Ossoliński także samodzielnie, bez rozkazów z góry, zrealizował pomysłowe sztuczki na wywarcie wrażenia na rzymskim patrycjacie. Choć oczywiście zdecentralizowany ustrój państwa miał wiele słabości, to jednak nie była nią propaganda – wręcz przeciwnie: pycha i bogactwo magnatów były siłą napędową dbania o wizerunek, skoro każdy chciał zbierać laury chwały i sławy.

Propaganda dzieliła się zatem na zewnętrzną, skierowaną do obcokrajowców, i wewnętrzną, przekonującą szlachtę Rzeczpospolitej do bieżących celów politycznych. Oba rodzaje przekazu miały budować wielkość i autorytet jej autorów. Propaganda zagraniczna miała wiele dyskretnych i spektakularnych sukcesów.

Oddziaływanie na inne kraje

Pierwszym spektakularnym, jednostkowym zwycięstwem o wizerunek Polski było zamówienie przez króla Zygmunta Starego obrazu przedstawiającego zwycięską bitwę pod Orszą w 1514 roku. Losy tajemniczego obrazu nieznanego malarza miały być związane nie z ogólnym celem pokazania chwały królewskiego oręża, bowiem dzieło miało spełnić konkretny cel: zniechęcić władzę cesarską w Wiedniu do spiskowania z Moskwą. Był to czas pierwszych prób dyplomatycznych nawiązania antypolskiej współpracy między Rzeszą Niemiecką a Rosją i po wizytach Nicolausa Poppela oraz Sigismunda von Herbersteina na Kremlu należało przeciwdziałać zbliżeniu. Dwór w Krakowie zainwestował więc w wynajęcie niemieckiego malarza, prawdopodobnie Hansa Krella, który po 1524 roku dostarczył potrzebne dzieło. Kopia obrazu, w wielu egzemplarzach, wędrowała po stolicach Europy, aby pokazywać nie tylko przewagę Polski i Litwy nad Moscovią, lecz także przekonać Zachód, że Moskale są azjatycką, tatarską dziczą. Widać to po twarzach żołnierzy ze wschodu, którzy są przedstawieni nieprzychylnie – z brodami, prymitywnymi wyrazami twarzy, przestraszeni i nieprzyjemni. Odwiedzając Muzuem Narodowe w Warszawie, warto się przyjrzeć temu obrazowi, bo spomiędzy informacji o samej bitwie wyziera także subtelna instrukcja krakowskiego dworu: Polaków wywyższyć, Moskali oczernić. Można więc powiedzieć, że w XVI wieku Polacy potrafili już stosować czarny PR, którego uczą dziś w szkołach marketingu.

Oddziaływanie intelektem

Ale nie tylko akcyjność była cechą tamtejszej propagandy. Wielką rolę odgrywali intelektualiści, zwłaszcza z Uniwersytetu Krakowskiego, dzisiaj zwanego Jagiellońskim. To oni reprezentowali stronę polską na sporze z Krzyżakami podczas Soboru w Konstancji (1414–1418). Tak oto kilka lat po bitwie pod Grunwaldem trzeba było przekonać świat, że zakon nie przegrał z pogańskimi poganami, lecz z miłującym pokój krajem chrześcijańskim. Polscy prawnicy z Pawłem Włodkowicem na czele przekonywali, że chrześcijaństwo należy szerzyć nie tyle za pomocą miecza (jak to robili na Litwinach Krzyżacy), ile za pomocą dobrowolnego przyłączania się do wspólnoty chrześcijan (do czego Litwinów Polacy przekonali).

Jednak ten stosunkowo znany przypadek, gdy wśród elity Europy pojawiła się polska myśl polityczno-prawna i zauroczyła najtęższe głowy średniowiecza, nie był pojedynczym aktem. Królestwo Polskie musiało reagować także w sytuacji kryzysów w samym łonie Kościoła – na dworze papieża. W 1458 roku na Tronie Piotrowym zasiadł Eneasz Piccolomini, Pius II. Był on Polsce niechętny dlatego że: po pierwsze, wcześniej był biskupem warmińskim współpracującym z Krzyżakami, po drugie, oczarowany antyczną, rzymską literaturą uwierzył w przekaz, że Germania sięgała kiedyś do Wisły – a we wczesnym renesansie często czytano starożytne teksty tak, jakby wciąż miały być aktualne. Słowem: w Rzymie zaczęło mówić się, że Polacy są jakąś ludnością napływową, której taki dziejopis Tacyt nie znał, ale znał prastary lud Germanów, mający prawo do ziem we wschodniej Europie. To właśnie takie głosy dochodziły na Wawel i wywoływały zaniepokojenie obniżeniem reputacji Królestwa. Re-

eprasa.pl d637dc41e0

agowano wówczas z większym opóźnieniem, bo informacje rozprzestrzeniały się powoli od uniwersytetu do uniwersytetu, od dworu do dworu, ale już na przełomie XV i XVI wieku prymas Jan Łaski omawiał tę opinię o Polsce z przybywającymi ze studiów w Italii duchownymi.

To właśnie wtedy zaczęły się nieśmiałe napomknięcia o poszukiwaniach polskich korzeni w antyku, co zaskutkowało narodzeniem się mitu sarmackiego. To nie jest tak, że pochodzenie polskiej szlachty zostało wymyślone z niczego, przekłamane – ówczesna historiografia nie miała metodologii naukowej i często kierowała się myśleniem życzeniowym albo anachronizmami. I tak oto Marcin Kromer albo Joachim Bielski, pierwsi kronikarze, którzy opisywali Polskę jako Sarmację, mającą swoje korzenie w starożytności, byli przekonani, że Polska ich czasów jest potężna, rozległa, bogata kulturowo, bardziej – jak wielu wierzyło – niż Niemcy, to znaczy, że taka musiała być zawsze.

Ówczesnym myślicielom zapiski o dawnych jeźdźcach znad Morza Czarnego, o których wspominali rzymscy historycy, wydawały się logicznie powiązane z zamiłowaniem szlachty XVI wieku do jazdy konnej. Duma i awanturniczość Sarmatów czasów Imperium Rzymskiego, podobne położenie geograficzne, zbliżone metody walki (konnica, brak twierdz) nasuwały wrażenie, że Polacy to w prostej linii potomkowie Sarmatów. W ten sposób Polska uzyskała niezbitą – jak wierzono – legitymizację do zamieszkiwania tej części Europy. Zresztą nie była to odosobniona mitologia – ówcześni Italczycy wierzyli, że są następcami Rzymian, a Francuzi – Gallów.

Mit sarmacki zespolił się z kilkoma innymi specyficznymi cechami szlachty Królestwa Polskiego. Ubiór z zapożyczeniami od Tatarów (Jan Sobieski domagał się nawet od swojego dyplomaty na Krymie przysyłania nowinek modowych z dworu chana tatarskiego), używanie zakrzywionej szabli zamiast miecza czy rapiera, sumiaste wąsy, wiecowo-sejmikowy ustrój – dawały przekonanie, że odrębność naszych przodków musiała mieć głębokie korzenie. Dość zaskakująco zareagowali na tę mitologię Litwini, którzy po połączeniu się z Koroną chcieli zachować pewną odrębność kulturową. Potrzebowali więc antycznego rodowodu, innego niż sarmacki – tak pojawił się pomysł, że w litewskie puszcze miał się zapędzić rzymski legion Palemona, którego przodkowie przetrwali półtora tysiąca lat, tworząc elitę Wielkiego Księstwa Litewskiego. Cóż, czasy renesansu pozwalały na pewną historyczną dowolność.

Rzeczpospolita wolności

Ale ta odrębność była elementem propagandy, podlana legendarną polską wolnością, swobodą szlachty, której mogli pozazdrościć jej odpowiednicy we Francji, w Prusach czy Austrii. Rzeczpospolita potrzebowała tego czynnika politycznego, którym mogłaby wpływać na swoch zaborczych sąsiadów. Józef Andrzej Gierowski bodaj jako pierwszy zwraca uwagę na wyjątkową strategię wywierania presji na państwa ościenne. Tą presją stały się więc stany – szlachecki i mieszczański – ale nie polskie, a właśnie żyjące w krajach sąsiednich. Mieszczanie i szlachta przylegających do Rzeczpospolitej krajów były jej życzliwe i w pewnym stopniu chciały się na niej wzorować. I tak na Śląsku całe grono książąt sympatyzowało ze złotą wolnością, na Węgrzech co jakiś czas szlachta prosiła Warszawę o pomoc w walce z habsburskim absolutyzmem, w Mołdawii i Wołoszczyźnie istniały silne propolskie stronnictwa wzorujące się na swoich polsko-litewskich odpowiednikach. Także w Moskwie, w latach 70. i 80. XVII wieku całe rzesze bojarów lgnęły do Rzeczypospolitej, widząc w jej modelu ustrojowym powód do zreformowania swojego despotycznego państwa. To właśnie na ten czas przypadał największy wpływ sarmackiej kultury na moskiewskie elity, z dyplomatami czy książętami z Państwa Moskiewskiego można było się porozu-

PIERWSZYM SPEKTAKULARNYM ZWYCIĘSTWEM O WIZERUNEK POLSKI BYŁO ZAMÓWIENIE PRZEZ KRÓLA ZYGMUNTA STAREGO OBRAZU PRZEDSTAWIAJĄCEGO ZWYCIĘSKĄ BITWĘ POD ORSZĄ W 1514 ROKU. DZIEŁO MIAŁO SPEŁNIĆ KONKRETNY CEL: ZNIECHĘCIĆ WŁADZĘ CESARSKĄ W WIEDNIU DO SPISKOWANIA Z MOSKWĄ.

eprasa.pl d637dc41e0

mieć w języku polskim, a tamtejsze piśmiennictwo nawiązywało do polskiej literatury. Tak samo miała się rzecz w Prusach Książęcych, gdzie ówczesne stany domagały się od władcy przywrócenia dawnych przywilejów, podobnych sarmackim prawom. Książę brandenburski pojmał nawet przywódcę ówczesnej opozycji – Krystiana Ludwika Kalksteina noszącego także polskie nazwisko – Stoliński.

Można więc ostrożnie wysunąć tezę, że to wolność i pragnienie wolności było największym atutem propagandowym Rzeczypospolitej i póki Korona i Litwa otaczały się państwami, w których stany walczyły o swoje prawa, póty położenie kraju sarmatów mogło liczyć na pewną sąsiedzką życzliwość. Dopiero XVIII wiek, stulecie oświecenia, oraz silnie scentralizowanych państw pod władzą absolutystycznych monarchów czyni z Rzeczypospolitej europejskie dziwadło, choć i jeszcze wtedy świetnie sprzedawały się figurki z saskiej porcelany, przedstawiające szlachcica-sarmatę w narodowym stroju, z szablą, w różnych pozach. Polscy ułani służący u Napoleona Bonapartego z pewnym zaskoczeniem odnotowali na audiencji w Dreźnie u Fryderyka Augusta I, księcia saskiego, że monarcha mówi w języku polskim. Widać, że edukacja po dziadkach – królach Rzeczypospolitej – nadal zachęcała władców Saksonii do znajomości polszczyzny. Jednak to już było jedynie echo dawnego oddziaływania.

Propaganda do wewnątrz

W nie mniejszym stopniu rozwinęła się propaganda wewnątrzkrajowa, taka, która miała informować i przekonywać szlachtę do popierania konkretnych uchwał sejmowych (konstytucji), zachęcać lub zniechęcać do wojen, agitować za kandydatami do tronu. W rozległej i połączonej drogami Rzeczypospolitej prawdziwym hitem były więc „pisma ulotne", różnego rodzaju gazetki, polemiki, „listy" – w rozumieniu pism publicznych udających korespondencję. Niewielkie miejskie drukarnie czasem drukowały kilkanaście sztuk, ale to jednak wystarczyło, by w ręcznych odpisach co ciekawsze pisemka rozlewały się po całym kraju. Szlachcic w swoim dworku czytał dany głos w dyskusji politycznej, potem przepisywał egzemplarz, by mieć go w swoich zbiorach albo w księdze, tzw. Silva Rerum, a potem wiózł czy przekazywał papier dalej, by dyskutować, spierać się i przygotowywać na sejmik lub sejm. Gdy magnaci polscy wymyślili, że uznają ruskiego chłopa Griszę za cudownie ocalałego cara Dymitra i niby to dla niego odzyskają Moskwę, całą Rzeczpopsolitą w owych latach 1604–1610 obiegały propagandowe utwory, czasem niezdanie rymowane, udające dialogi, listy, odezwy, włączające się w dyskusję nad dylematem: iść na Moskwę czy nie iść. I oto taki Paweł Palczowski wydał „Kolędę moskiewską", w której przekonywał, że „ta ziemia [rosyjska] we wszystkich przyległościach we wszystkich dostatkach i bogactwach opływa. Co z tego samego łacno każdy zrozumieć może, iż acz Moskwa barzo są źli gospodarze, dlatego że nie są pewni, jeśliż starania i pracej swej zażywać będą, gdyż hospodar według wolej swej jednemu wszystko weźmie, choć jeszcze z pola nie sprzątnął, drugiemu da [...]". W ten sposób szlachta zarysowywała sobie pogląd na wschodniego sąsiada, że oto jest on źle rządzony, choć w zasoby naturalne bardzo bogaty, i polskie rządy mogą pomóc dwóm stronom osiągnąć dobrobyt i szczęśliwość. Ale propaganda w Polsce miała też wymiary prywatne czy też prywaciarskie, karierowiczowskie. Gdy w II połowie XVII wieku, zwłaszcza po odsieczy wiedeńskiej 1683 roku, Jan III Sobieski spierał się ze stronnictwem Sapiehów na Litwie, padały w takich anonimowaych pismach ostre i nieprawdziwe oskarżenia, na przykład że królewicz Jakub ma skłonności do chłopców albo ukrywa garba na plecach pod specjalnym gorsetem. Przypomina to negatywne spoty wyborcze w demokracjach XXI wieku, ale polskiej szlachcie było to znane już 350 lat temu.

Co do Jana Sobieskiego warto wspomnieć, że był to człowiek znający się nie tylko na sztuce

BITWĘ POD LWOWEM W 1675 ROKU WYGRAŁY... SAME SKRZYDŁA. JAN SOBIESKI NIE MAJĄC WYSTARCZAJĄCEJ LICZBY WOJSK DO DYSPOZYCJI, USTAWIŁ W NIEDALEKIM LESIE ZWYKŁYCH CHŁOPÓW I CIURÓW, KTÓRZY MIELI MACHAĆ SKRZYDŁAMI, JAKBY W CIENIU DRZEW KRYŁY SIĘ DODATKOWE ODDZIAŁY.

eprasa.pl d637dc41e0

wojennej, lecz także na sztuce propagandy. Jego dwór nie ograniczał się tylko do propagandy pisanej, lecz miał rozbudowaną koncepcję oddziaływania wizualnego. Gdy latem 1677 roku monarcha odwiedził Gdańsk, zorganizował wielki wjazd triumfalny niczym z czasów Juliusza Cezara, w którym przez cztery godziny trwał spektakularny pokaz sztuczych ogni, na rynku odbywały się sztuki sceniczne, a po mieście przemieszczały się figury rodem ze starożytnej Grecji, na przykład Herkulesa mającego symbolizować króla-zwycięzcę. Sobieski wysyłał rodzimych malarzy na nauki do zachodnich mistrzów, sprowadzał różnych artystów z Zachodu, dzięki czemu możemy podziwiwać dzisiaj obrazy Jerzego Siemiginowskiego czy Daniela Schultza. Największą perłą królewskiej propagandy jest jednak pałac w Wilanowie, dziś w obrębie miasta Warszawy, świadczący o potędze monarchy każdą rzeźbą, obrazem, każdym rekwizytem. Wzorowany na francuskim Wersalu, zaopatrzony w liczne łupy na Turkach, na swej fasadzie i we wnętrzach ma dziesiątki rzeźb, płaskorzeźb i plafonów, które opowiadają dzieje męstwa z ksiąg starożytnych i nowożytnych – a to wszystko było propagandowym mruganiem oka, że w istocie chodzi o Jana Sobieskiego.

Ciekawą spuścizną po królewskiej propagandzie jest XVII-wieczny obraz nieokreślonego malarza, przechowywany obecnie w Bawarskich Państwowych Zbiorach Malarstwa w Monachium, przedstawiający rzekomą bitwę wojsk Sobieskiego na Bukowinie w Mołdawii. Malowidło niezwykle szczegółowo przedstawia przebieg bitwy pod Pererytą w 1691 roku, w której – wedle napisu – miała brać udział piechota i jazda przeciw 50 tys. wojsk przeciwnika. Problem w tym, że takiej bitwy... nie było! Król tamtego roku wyprawiał się nad Dunaj, ale nie miał z kim walczyć – tatarsko-turecki przeciwnik go unikał, a gdy przyszły ulewne deszcze, trzeba było wracać bez zdobyczy i zwycięstwa. Jednak drobna potyczka z jakimś oddzialikiem tatarskim posłużyła królowi do opisywania tego jako wielkiego zwycięskiego starcia. Dziś już raczej nie dowiemy się, czy bawarski obraz powstał za polskie pieniądze, czy ktoś jednak nabrał się na nieistniejącą bitwę.

Co do obrazów polskich wyczynów zbrojnych istnieje jeszcze jedna tajemnica. Historyk Henryk Kotarski stwierdził kiedyś, że spektakularna bitwa pod Kircholmem, w której w 1605 roku hetman Jan Karol Chodkiewicz pokonał Szwedów, miała zupełnie inny przebieg, niż się dotychczas uważało. Wersja kilku pokoleń historyków była taka, że husaria w kwadrans rozgromiłą kilkakrotnie liczniejszą piechotę przeciwnika. Świadczyć miał o tym także obraz z epoki, podobnie jak obraz „bitwa pod Orszą", kopiowany i pokazywany na pamiątkę triumfu. Jednak Kotarski, który jako współczesny historyk wiedział już, że bitwa była dużo bardziej skomplikowana niż tylko „szarża cudownej husarii", wysnuł tezę, że bajkę o błyskotliwym ataku skrzydlatych jeźdźców mógł wymyśleć... sam Chodkiewicz. Czyż nie lepiej mówi się o bitwie, że wygrała ją groźna husaria, niż tłumaczyć meandry sztuki wojskowej?

Przypadek husarii jest jednak znamienny – przecież same skrzydła husarskie miały wydźwięk propagandowy – szum piór nie płoszył koni przeciwnika, a same skrzydła nie chroniły przed ciosami przeciwnika – ale propagandowo przysparzały polskiej jeździe wygląd aniołów sprawiedliwości w spektakularnych szarżach niszczących wrogów (choćby chrześcijaństwa). I tak na przykład bitwę pod Lwowem w 1675 roku wygrały... same skrzydła. Jan Sobieski nie mając wystarczającej liczby wojsk do dyspozycji, ustawił w niedalekim lesie zwykłych chłopów i ciurów, którzy mieli machać skrzydłami, jakby w cieniu drzew kryły się dodatkowe oddziały. Tatarzy ocenili, że to jakaś nieoczekiwana odsiecz idzie na pomoc nowemu królowi Polski, i zawróciła do swoich ziem. Jest to więc jedna z nielicznych bitew w dziejach, którą wygrano... samą propagandą.

▶ Robić propagandę – trzeba się wyróżniać

Absolutnie wszystkie przykłady propagandowych sukcesów dawnej Rzeczypospolitej koncentrowały się na różnicach między Polską a innymi krajami. Rzecz jasna opowiadano o sukcesach (bitwa pod Orszą, bitwa pod Kircholmem), chwalono się intelektualnymi koncepcjami (jak na soborze w Konstancji), ale gdyby Polska była kopią innego kraju, zginęłaby specyfika Rzeczypospolitej, którą tak umiejętnie rozgrywano. To nasza odmienność przyciągała sąsiadów, a pewna egzotyka – wschodni styl mody, demokracja szlachecka, husarskie skrzydła – pozwalały Polakom na podkoloryzowanie swoich osiągnięć.

Warto odnotować naukę płynącą z republiki szlacheckiej. Wyróżnianie się, własny styl, specyfika kultury – nie ma być powodem do wstydu, kompleksów i konieczności dostosowywania się – z odpowiednią dozą samozadowolenia i pewności siebie można właśnie te różnice wykorzystać jako oręż propagandowy. Póki się różnimy – póty można się chwalić. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Obraz Warszawy z sierpnia i września 1944 roku powinien pozostać w historii świata jako obraz bohaterstwa ludzi wiernych najszczytniejszym ideałom religijnym i cywilizacyjnym, i zarazem wyrazista przestroga przed światem antycywilizacji, światem współczesnego barbarzyństwa.

Ewa Polak-Pałkiewicz

OBROŃCOM CYWILIZACJI ŁACIŃSKIEJ

eprasa.pl d637dc41e0

Przyznanie przez aliantów Powstańcom Warszawskim praw kombatanckich było równoznaczne z uznaniem Armii Krajowej za oficjalne wojsko polskie, część Polskich Sił Zbrojnych. Zachód Europy zatwierdził w ten sposób oficjalnie prawo Polski do suwerenności.

Nastąpiło to 30 sierpnia 1944 roku. Wzięci do niewoli żołnierze Powstania Warszawskiego mieli odtąd być traktowani przez Niemców jak jeńcy wojenni i korzystać z należnej im ochrony. Było z tym różnie, strona okupacyjna łamała to prawo. Jednak począwszy od tego dnia prawo międzynarodowe gwarantowało, że Polacy walczący o Warszawę występują w obronie cywilizacji chrześcijańskiej.

Był to szczególnego rodzaju moment zwrotny w historii ostatniej wojny, często niezauważany i chyba nigdy przez historyków z Zachodu niedoceniony. To było zwycięstwo wolnej Polski. Nie w sensie militarnym, lecz moralnym i politycznym. Powstańcy wymusili niejako swoją postawą tę decyzję na aliantach. I choć fakt ten nie miał takich bezpośrednich konsekwencji, jakie mieć powinien – oczekiwanych przez bohaterskich obrońców Warszawy i wszystkich, którzy ich wspierali – zdarzało się bowiem zbyt często, że Niemcy nadal mordowali wziętych do niewoli żołnierzy AK – to jednak stawiał on ich w konflikcie z normami, jakie było zmuszone przyjąć ich państwo, podpisując konwencję genewską. Niemcy mordując wziętych do niewoli Polaków, mieli pełną świadomość popełniania przestępstwa. Prawo międzynarodowe nie chroni przecież „bandytów", jak Niemcy nazywali Powstańców, lecz żołnierzy regularnej armii walczących w obronie ojczyzny.

Wolny świat, chcąc nie chcąc – nie bez oporów i zbyt długich kalkulacji – przyznawał jednak, że na terytorium Polski toczy się wojna cywilizacyjna.

Radość obrońców Królestwa bez granic

Dlaczego widoczni na historycznych fotografiach i w filmowych kronikach młodzi Powstańcy mają tak roziskrzone radością oczy? Dlaczego ich twarze są rozpromienione, dlaczego śmieją się do siebie, jakby toczyli nie krwawy bój, lecz szli na bal? Brali udział w jakiejś fantastycznej przygodzie, prowadzili wspaniałą, zwycięską kampanię, której skutek jest z góry przesądzony? Przesądzony już w samej tej chwili, gdy zdecydowali się stanąć w szeregach powstańczej armii i przysięgać na Chrystusa, na krzyż.

Dlaczego...? To pytanie warto stawiać. Czy tylko dlatego, że wśród Powstańców wiara w możliwość militarnego zwycięstwa była – pomimo ogromnej przewagi sił niemieckich – dość powszechna, liczono bowiem także – racjonalnie i logicznie – na pomoc aliantów? Czy nie było tak, że przystępując do nierównej walki, podejmując wewnętrzną decyzję, już zwyciężyli wroga? Zwyciężyli wolnym duchem. To nie przenośnia literacka – oni udowodnili po prostu, że należą do cywilizacji chrześcijańskiej. Nie dawali zatem przyzwolenia komukolwiek na manipulowanie sobą, na traktowanie siebie jako rzecz. Nie byli niewolnikami, lecz ludźmi wolnymi. Obywatelami wolnego państwa – choć znajdowało się ono wówczas pod okupacją. Mieli zarazem oparcie w suwerennych polskich władzach uznawanych przez wolny świat. Państwo polskie, choć w podziemiu – istniało. I oni spełniali wobec niego swój święty obowiązek.

Polskie Państwo Podziemne zadecydowało, że Polska żyje i będzie żyć. Nawet gdyby to miało kosztować śmierć wielu jego obrońców. Ale żołnierze ci wiedzieli, że uczestniczą w wojnie o cywilizację chrześcijańską. Wojnie, w której udział jest zaszczytem, a złożona ofiara nie idzie na marne. Walczyli nie tylko o miasto, które kochali, o życie i wolność jego mieszkańców. Nie tylko przeciw najeźdźcom ojczyzny. Walczyli o prawdę o Bogu, Stwórcy człowieka, Dawcy praw, dawcy wolności.

Byli obrońcami „królestwa bez kresu", cywilizacji łacińskiej, Christianitas. Dlatego byli tak przepełnieni szczęściem.

Powstanie, czyli obrona ładu

Z perspektywy lat, które nastąpiły później i przyniosły kolejną falę inwazji barbarzyństwa – już nie tylko militarnego, lecz także politycznego, ideologicznego i kulturowego – tym razem wschodniego, i rozniosły „czerwoną zarazę", której tak lękało się i tak nienawidziło pokolenie Józefa Andrzeja Szczepańskiego (bohatera batalionu „Parasol" i autora wiersza o tym tytule), z całą pewnością można stwierdzić, że Powstanie Warszawskie było wyrazem żywotności cywilizacji łacińskiej.

Było przejawem uznania przez wszystkie ówczesne pokolenia Polaków – poczynając od dzieci prawie – prymatu ducha nad materią. Tu liczyły się przede wszystkim intencje. To nie brak rozsądku i „romantyzm", jak twierdzą dzisiejsi ideologiczni krytycy Powstania, popchnęły ich na barykady. Bowiem to właśnie postępowanie zgodne z wewnętrznym moralnym wyborem, opartym na rozeznaniu rozumu i wolnej woli, postępowanie zgodne z wielkoduszną, nieegoistyczną intencją, a nie działanie w emocjach wyróżnia ludzi cywilizacji łacińskiej.

„Etyka dotyczy nie tylko samego dokonanego czynu, ale przede wszystkim dotyczy intencji, z jaką ten czyn wykonujemy. Tej subtelności nie ma nigdzie poza zachodnim chrześcijaństwem. Katolicyzm jest

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl d637dc41e0

więc religią intelektu oraz intencji, to są jego dwa istotne elementy" (prof. Feliks Koneczny).

Prawo międzynarodowe ustanowione na fundamentach prawa rzymskiego i na chrześcijańskim systemie prawd i wartości obejmując Powstańców Warszawskich opieką, niejako wykazało, że słowo „Zachód" nie jest puste, posiada treść chrześcijańską (co dziś tak często jest kwestionowane). Późniejszy zaś rozwój wypadków historycznych udowodnił, że Powstańcy Warszawscy – podobnie jak żołnierze polscy w 1920 roku – uratowali Zachód Europy (w pierwszej kolejności zachodnie Niemcy!) przed okupacją sowiecką – która to teza wciąż z pewnymi oporami przedostaje się do świadomości ludzi Zachodu – i być może w rezultacie obronili jego tożsamość. Zachód bowiem nie zawsze doceniał wroga własnej cywilizacji, brał chętnie pozory za rzeczywistość. Potiomkinowskie wioski uwodziły i bawiły.

Czekać, aż urośnie trawa...

Co stanie się ze światem, jaki znamy, jeśli zniknie chrześcijaństwo? Jeśli zabraknie obrońców cywilizacji, którą stworzyło? Wtedy też zniknie cała nasza kultura.

T.S. Eliot przestrzegał: „Wtedy trzeba będzie w pocie czoła rozpocząć od nowa, bo nie można przywdziać nowej, gotowej kultury. Trzeba najpierw poczekać, żeby urosła trawa, która nakarmi owce, które następnie dadzą wełnę, z której powstanie nowy płaszcz. Trzeba przejść przez wiele stuleci barbarzyństwa. Ani my, ani nasze pra-pra-pra-pra-prawnuki nie dożyją czasu, w którym moglibyśmy oglądać nową kulturę, a gdyby to się udało, żaden z nas nie byłby w niej szczęśliwy".

Będzie wtedy stale dręczyć nas pamięć utraconej przeszłości. Bo cywilizacja, która wyrasta z kultury, jaką współtworzy jedyna prawdziwa religia, jest tym, „czego człowiek już nigdy nie będzie mógł zapomnieć".

Cztery wielkie kliny

Jak precyzował dalej prof. Feliks Koneczny, z właściwą sobie jasnością stylu: „Na czym polega odrębność etyki katolickiej w porównaniu z wszystkimi innymi cywilizacjami? Zbierając i badając krytycznie fakty z historii społeczeństw, jak też i z dziejów samego Kościoła [...] nabrałem przekonania, że kwestia ta da się ująć krótko, jasno i ściśle. W stosunku do życia zbiorowego etyka katolicka niesie ze sobą cztery postulaty, zawsze te same i niezmienne od początków do dnia dzisiejszego jednakowe dla wszystkich rodzajów i szczebli cywilizacji.

Są to jakby cztery kliny, które wbijają się w każdą cywilizację: małżeństwo monogamiczne i dożywotnie, dążenie do zniesienia niewolnictwa, zniesienie zemsty i przekazanie jej sądownictwu publicznemu, niezależność Kościoła od władzy państwowej".

Barbarzyńcy, z którymi zmierzyli się, nie patrząc na dysproporcję sił, Powstańcy Warszawscy, to ci, którzy przyszli do Polski z zamiarem uczynienia z Polaków kasty podludzi, niewolników niemieckich „panów" – o czym przypomniał w swojej wielkiej homilii wygłoszonej 1 sierpnia 2015 roku w katedrze łódzkiej abp Marek Jędraszewski. To także ci, którzy w sierpniu 1944 roku stanęli za Wisłą, przyglądając się bezczynnie, jak „polscy panowie", których pragnęli ze wszystkich sił widzieć jako niewolników czerwonej ideologii, niewolników ich własnego państwowego molocha, toczą o naszą cywilizację śmiertelny bój.

Cywilizacja, jaką reprezentowało polskie społeczeństwo, była obca i znienawidzona przez obydwu napastników z 1939 roku, którzy w roku 1944 pozornie tylko znajdowali się po przeciwnych stronach.

Obraz Warszawy z sierpnia i września 1944 roku powinien pozostać w historii świata jako obraz bohaterstwa ludzi wiernych najszczytniejszym ideałom religijnym i cywilizacyjnym, i zarazem wyrazista przestroga przed światem antycywilizacji, światem Azji i nieschrystianizowanej Germanii oraz neopogańskich Prus, światem współczesnego barbarzyństwa.

I choć jedno barbarzyństwo było nienagannie umundurowane, ogolone i schludne, drugie kudłate i w łachmanach, żadnej istotnej różnicy między nimi nie było. Polacy, postrzegani przez pyszałków pokroju von Stauffenberga jako istoty gorsze, głupsze i mniej rozwinięte, rozumieli bardzo dobrze to, czego nie był w stanie pojąć niemiecki arystokrata, i nigdy nie dali się wciągnąć we „wspólną walkę" z Niemcami Hitlera przeciw ZSRS (co stało się wątpliwą chlubą niedobitków Action Française i pokrewnych formacji).

Duchowe powinowactwo dwóch potęg barbarzyńskich oddają bardzo klarownie ponure symbole obydwu walczących z Polską w 1939 i w 1944 roku – de facto obydwu, gdy przypomni się realia „wyzwalania" Polski przez Armię Czerwoną – mocarstw: swastyka, czarny krzyż z połamanymi ramionami oraz sierp i młot.

Zapomniane słowo: honor

Aż do lat 60. XX wieku w świecie zachodnim – zaś w Polsce do 1945 roku – było czymś niewyobrażalnym, by urzędnik państwowy kłamał, by dyplomata został przyłapany na szkodzeniu krajowi. Dziś, za naszymi plecami, zgodnie z pryncypiami cywilizacji azjatyckiej, zmieniono reguły. Obowiązu-

eprasa.pl d637dc41e0

je „stan nieważkości". Deklaracje płynące z ust przedstawicieli najwyższych władz wielu państw Zachodu (już nie wspominając o Wschodzie) utraciły ciężar gatunkowy. Nie mają znaczenia ani w ich własnych oczach, ani w oczach opinii publicznej. W każdej chwili mogą być odwołane, uznane za przypadkową pomyłkę, żart, przejęzyczenie bądź „narrację". Ci, którzy żonglują słowami wypowiadanymi publicznie, nie boją się tego, czego bano się zawsze u nas aż do czasów komunistycznych: plamy na honorze. Narażenia się na konflikt z sumieniem, także na konflikt z prawem. Konflikt z cywilizacją, do której Polska należy i której zmuszona była tyle razy bronić, płacąc własną krwią.

Istniały przecież nie tylko publiczne sądy, które natychmiast wyciągały odpowiednie paragrafy. Istniał werdykt opinii społecznej, zgodność powszechnych ocen z chrześcijańskimi normami etycznymi. Istniała sprawiedliwość, której zasad nie trzeba było nikomu tłumaczyć. Istniała realna groźba infamii w wyniku sprzeniewierzenia się publicznej służbie, straszliwe ryzyko utraty dobrego imienia i zdrady stanu, zdrady kraju. Istniało niebezpieczeństwo, że rodacy nie zapomną. Nasi politycy, wysocy urzędnicy, dyplomaci troszczyli się nade wszystko, by słów nie rzucać na wiatr, nie kręcić, nie kłamać, nie działać na szkodę kraju. Bo byli z dobrych domów, gdzie uczono Dekalogu, katechizmu i zasad honoru. W domach tych wchłaniali polską kulturę – po prostu żyjąc i dorastając w nich – uczyli się myśleć, reagować, marzyć na sposób właściwy mieszkańcom naszej cywilizacji; uczyli się niezmiennych reguł wpisanych w polską i europejską historię.

Były polski prezydent Bronisław Komorowski, który oficjalnie chwalił von Stauffenberga w Berlinie, pieczętując to jeszcze swoim poparciem dla ustawy o in vitro, tego wykwitu myślenia nihilistycznego, prowadzącego do mentalności eugenicznej, narażał się na słuszny zarzut, że dał się wciągnąć na służbę antycywilizacji*.

„Teza o zasadniczej wyższości sfery duchowej nad materialną powstała w szkole mnichów w Cluny. Jest to szczyt cywilizacji chrześcijańskiej, bodaj najgenialniejsza myśl, na jaką zdobył się człowiek. Te cztery postulaty wywierają olbrzymi wpływ na kwestię cywilizacji..." (prof. F. Koneczny).

▶ Wielkie dzieło wolnego ducha

Z chwilą, gdy Powstańcy Warszawy chwycili za broń, stali się obrońcami zachodniej cywilizacji i wprowadzili natychmiast – nie dla wszystkich dostrzegalny – ład w miejsce zamętu stworzonego przez barbarzyńców z Zachodu i Wschodu.

Dziś o ten ład upominają się kolejne miliony rodaków. Powszechność głosów oddanych za ponowną kadencją prezydentury Andrzeja Dudy przypomina powszechność udziału i poparcia Polaków dla Powstania Warszawskiego. Oby i tym razem Zachód – nawet niechętnie i bez przekonania – nie zignorował jednak tego poparcia i w porę dostrzegł w nim tratwę ratunkową rzuconą cywilizacji zachodniej, która ucieka mu spod nóg, niby kra znikająca pod wpływem podmuchów ciepłego powietrza.

W sierpniu 1944 roku obydwie armie, ta uzbrojona po zęby, świetnie wyposażona i zorganizowana z iście naukową precyzją, przewidująca, pewna siebie i butna, i ta, która stała jak głodny wilk u bram naszej stolicy, obdarta, wyposażona w broń przez obcych, umiejąca kraść, palić i gwałcić jak nikt w świecie – były ponure i czarne od zgryzoty. Obydwie zostały złamane duchowo przez garstkę „szaleńców" z biało-czerwonymi opaskami na ramionach. Wśród „szaleńców" była moja św. Mama, Maria Osipow (ps. „Mosip"), instruktorka ZHP, drużynowa Warszawskiej Drużyny Harcerek, słynnej „14-stki", prowadząca w czasie Powstania w ramach Harcerskiej Służby Dziecku świetlicę dla dzieci zgubionych, zabłąkanych, głodnych, osieroconych; w Śródmieściu, przy ul. Piusa XI (obecnie ul. Piękna).

Bo tylko w oczach Powstańców palił się żar prawdziwych rycerzy i faktycznych zwycięzców; tylko oni przystępowali do walki ze śpiewem na ustach i z lekkością w sercu. Podczas gdy w sercach tamtych kładł się stupudowym ciężarem kamień nienawiści i żądzy niszczenia, dewastowania, rujnowania. Pragnęli ostatecznego unicestwienia „pańskiej Polski". Powstańcy walczący w ruinach Warszawy budowali wielkie dzieło wolnego ducha. Nie był to tylko szaniec oporu. Kamień po kamieniu, piętro po piętrze, gzyms po gzymsie, łuk po łuku wznosili od nowa wspaniały gmach cywilizacji łacińskiej.

Dziś, u progu kolejnej kadencji prezydentury Andrzeja Dudy, za rządów Prawa i Sprawiedliwości, zachwyca nas ponownie całe jego piękno, strzelistość, proporcje, lekkość, wdzięk i celowość. ■

---

* B. Komorowski nie był pierwszym, który wychwalał Stauffenberga, gorliwego niemieckiego nacjonalistę i zwolennika niemieckiej hegemonii w Europie, pogardzającego Polakami. Znany propagandysta PRL pisał: „Ludzie pokroju Stauffenberga niekoniecznie działali zgodnie z polskimi interesami, ale z punktu widzenia ich własnego systemu wartości byli szlachetni i sprawiedliwi. To wystarczy, aby ich po prostu szanować" (Andrzej Szczypiorski, „Gazeta Wyborcza", 1 X 1992, za: Jerzy Szynkowski „Wilczy Szaniec"); cyt. za Wikipedia.

eprasa.pl d637dc41e0

Tomasz P. Terlikowski

Logika myślenia bywa nieubłagana. I jeśli przyjmie się jakieś założenia, to bardzo trudno – a czas ma dla stopniowego oswajania się z nowymi pomysłami fundamentalne znaczenie – uniknąć ostatecznych wniosków.

IDEE MAJĄ KONSEKWENCJE

eprasa.pl d637dc41e0

O czym mówię? O zgodzie na aborcję eugeniczną, która – teraz widać to doskonale – nieuchronnie prowadzi do ostatecznej zgody na dzieciobójstwo. I nie jest to wniosek filozofa, który bada idee, lecz empiryka, który obserwuje rzeczywistość.

Bio(nie)etyczne „mądrości"

Doskonałym tego przykładem z ostatnich tygodni są wyniki badań wśród belgijskich lekarzy opublikowane przez „Acta Obstetricia et Gynecologica Scandinavica". Wnioski mogą szokować, ale po dłuższym zastanowieniu nie powinny zaskakiwać, bowiem są one prostym skutkiem przyjęcia pewnych założeń, a także konsekwencją ich realizacji w praktyce. O czym mowa? O tym, że większość lekarzy (89,1 proc.) wykonujących późne aborcje we Flandrii (czyli niderlandzkojęzycznej części Belgii) opowiada się za legalizacją także dzieciobójstwa, i to nie tylko w sytuacjach, gdy noworodek jest śmiertelnie chory, lecz także w innych przypadkach. I trzeba powiedzieć jasno, że takie myślenie jest prostą i logiczną konsekwencją przyjęcia prawa do aborcji w sytuacji, gdy dziecko jest chore czy upośledzone. Jeśli bowiem uznajemy, że rodzice mają prawo domagać się uśmiercenia dziecka z powodu jego stanu zdrowia przed jego urodzeniem, to dlaczego nie przyznać im identycznego prawa po narodzinach? Jeśli przeszkodą nie jest przynależność do gatunku ludzkiego (jak to ma miejsce w argumentacji pro life), z której wynika godność i fundamentalne prawo do życia, a zarówno ludzki zarodek, płód, jak i noworodek tak samo należą do tego gatunku, to w istocie każde inne uzasadnienie pozostaje pragmatyczne i umowne. A pragmatyczne uzasadnienia mają to do siebie, że łatwo się je poszerza, szczególnie jeśli jest to wygodne dla silniejszych.

I nie jest to tylko wniosek filozoficzny, lecz także – jak poprzednie – zakorzeniony w empirii. Już teraz w Belgii i Holandii – za sprawą protokołu z Groningen – dzieciobójstwo jest w pełni legalne, o ile dziecko po urodzeniu cierpi na poważną chorobę, która nieuchronnie prowadzi do śmierci albo może znacząco obniżyć jakość jego życia. Już w 1995 roku 8 proc. niemowląt, które zmarły w Holandii, zostało przez lekarzy zabitych poprzez podanie im środków z intencją skrócenia ich życia. W 2005 roku było tak samo, a liczba takich dzieci od tego momentu stale rośnie. Nie inaczej jest w Belgii. Pytanie zadane tamtejszym lekarzom przez badaczy odnosiło się do poszerzenia „dostępności" takiego „zabiegu" na kolejne dzieci, tym razem chore nie terminalnie, lecz po prostu niepełnosprawne.

Bioetycy już dano usprawiedliwili takie pomysły, wskazując, że rodzice powinni mieć prawo do „aborcji pourodzeniowej". W jakich okolicznościach? Peter Singer, australijski bioetyk, sugeruje, że w każdych, w których późniejszy stan zdrowia może mieć znaczenie dla szczęścia rodziców. „Kiedy śmierć niepełnosprawnego niemowlęcia prowadzi do narodzin następnego z lepszymi perspektywami na szczęśliwe życie, całkowita ilość szczęścia będzie większa, jeśli niepełnosprawne niemowlę zostanie zabite [...]. Jeśli więc zabicie dziecka z hemofilią nie ma niekorzystanego efektu dla innych, zgodnie z poglądem całkowitym byłoby dobrze je zabić" – wskazuje Singer. W innym zaś miejscu kontynuuje swoją myśl, sugerując, że obrona także zdrowych niemowląt nie jest konieczna. „Narodziny o tyle są elementem istotnym, że matkę z dzieckiem zaczyna łączyć więź inna niż ta, która łączyła ją z płodem, a inne osoby także odnoszą się do niego inaczej niż wcześniej. Ale nie jest to jeszcze powód, by płód niemający dotychczas żadnego prawa do życia, miałby nagle w tym samym momencie nabywać tych samych praw do życia, jakie mają inni ludzie" – przekonuje australijski bioetyk. Wszystkie wnioski zaś z jego myślenia wyciągnęła para bioetyków Alberto Gublini i Francesa Minerva, którzy uznali, że rodzice powinni mieć takie samo prawo do zabicia dziecka już narodzonego, jak do aborcji, bowiem moralny status noworodka i płodu się od siebie nie różnią. Myślenie australijskich uczonych poszło jeszcze dalej, bowiem uzasadnili oni, że aborcja pourodzeniowa jest lepszym rozwiązaniem niż... adopcja takiego niechcianego dziecka. I obawiam się, że ich myślenie może niebawem stać się rzeczywistością, a nie tylko majaczeniami chorych ludzi.

Pytania na serio

Wszystko zaś będzie uzasadniane współczuciem dla innych, odmową nakładania na innych heroicznych decyzji czy koniecznością liczenia się z wytrzymałością rodziców. W Polsce identyczne głosy słychać w odniesieniu do aborcji eugenicznej, której zwolennicy przekonują, że nie wolno – właśnie z powodu współczucia dla matek czy odmowy nakładania heroicznych wysiłków – jej zakazać. Ale jeśli chcą być oni konsekwentni, to muszą sobie zadać pytanie, dlaczego w takim razie nie zezwolić na dzieciobójstwo prenatalne w sytuacji, gdy wad rozwojowych czy chorób nie dało się wykryć wcześniej? A skoro rodziców nie wolno stawiać w sytuacji heroicznej, nie wolno zmuszać ich do bohaterstwa, to dlaczego nie zalegalizować eutanazji noworodków?

Idąc dalej, trzeba zapytać, co z dziećmi, które na jakieś choroby zapadły później? Na przykład z takimi, które w wyniku wypadku zostały sparaliżowane albo genetyczne schorzenie pozbawia je stopniowo możliwości normalnego funkcjonowania? Niewątpliwie zmierzenie się z chorobą takiego dziecka wymaga od rodziców wysiłku, a czasem heroizmu. Czy zatem w takim wypadku nie należy uznać, że rodzice mogą się owego heroizmu zrzec? Czy nie powinno się im przyznać prawa do likwidacji swojego dziecka, eutanazji na przykład, jeśli nie są oni w stanie podjąć wyzwania, jakim jest niewątpliwie opieka nad niepełnosprawnym członkiem rodziny? A co z dziećmi, które nie radzą sobie z opieką nad chorymi rodzicami? Czy one także, jako że pra-

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d637dc41e0

wo nie wymaga heroizmu, mogłyby zlikwidować swoich rodziców? I znowu pytania te nie są wyrazem jakiegoś dmuchania na zimne, lecz wynikają z obserwacji rzeczywistości. Już teraz prawo holenderskie przyzwala na eutanazję dzieci za zgodą ich rodziców (bo trudno mówić o świadomej zgodzie dwunastolatka), i eutanazję staruszków, która często wymuszana jest lub podpowiadana przez rodzinę. A mąż, gdy jego żona od lat jest w stanie wegetatywnym, czy może uznać, że opieka nad nią go przerasta i zażądać jej śmierci, jak zrobił to mąż Amerykanki Terri Schiavo? Jeśli poważnie traktujemy argument, że prawo nie może zmuszać do heroizmu, i uznajemy, że opieka nad osobą niepełnosprawną nim jest, to we wszystkich tych sytuacjach nie widać powodów, by nie pozwolić na takie ostateczne rozwiązania. A potem zapewniać, że oczywiście chodzi wyłącznie o wolność wyboru, o to, by każdy mógł wybrać tak lub inaczej... Każdy, prócz oczywiście ofiar aborcji, eutanazji czy zagłodzenia (z taką bowiem śmiercią mieliśmy do czynienia w przypadku Schiavo).

▶ „Nie chcę umierać"

Jeśli uznajemy, że część osób już na początku swojego życia z powodu stanu zdrowia albo woli osób od nich silniejszych nie ma prawa do życia, to konsekwentnie trzeba przyjąć, że i osoby dorosłe, a niepełnosprawne nie mają takiego przyzwolenia. Te konsekwencje myślenia eutanazyjnego przewidział już św. Jan Paweł II: „Nie mniej poważne niebezpieczeństwa zagrażają nieuleczalnie chorym i umierającym w takim kontekście społecznym i kulturowym, w którym trudno jest przyjąć i znosić cierpienie, a zatem zwiększa się pokusa rozwiązania problemów cierpienia, eliminując go u podstaw przez przedwczesne spowodowanie śmierci w momencie uznanym za najwłaściwszy" – wskazywał Ojciec Święty. Efektem jest rozpowszechnienie eutanazji, którą usprawiedliwia się, jak zauważał papież, współczuciem, ale coraz częściej także racjami utylitarnymi, „nakazującymi unikanie nieproduktywnych wydatków, które nadmiernie obciążają społeczeństwo".

To, co zapowiedział papież z Polski, już się zrealizowało. W Kanadzie czy Holandii nikt już nie ukrywa, że eutanazja czy wspomagane samobójstwo mają także przyczyny finansowe. Przesada? Otóż nie. W Kanadzie wylicza się nawet szczegółowo, ile budżet zyskał na wprowadzeniu wspomaganego samobójstwa. W „Canadian Medical Association Journal" dr Aaron J. Trachtenberg i dr Braden Manns wyliczyli, że Kanada zaoszczędzi na wprowadzeniu eutanazji (nazywanej w tym kraju „medycznym asystowaniem przy umieraniu") od 34,7 do nawet 138,8 mln dolarów rocznie (w zależności od liczby zabitych pacjentów). W jaki sposób to obliczono? Odpowiedź jest prosta – posługując się holenderskimi współczynnikami. Zaczęto od wyliczenia, o ile tygodni średnio skraca się – dzięki eutanazji – życie chorego. Później uśredniono koszty tygodniowej opieki nad osobami terminalnie chorymi czy cierpiącymi na raka i przemnożono je przez uśrednione skrócenie życia. I wreszcie wszystko pomnożono przez liczbę eutanazjowanych chorych. I w ten sposób osiągnięto wyniki. Przy takich „zyskach" trudno się dziwić, że parlamentarzyści szukają kolejnych grup, na których leczeniu można zaoszczędzić gigantyczne pieniądze. I dlatego parlamentarzyści kanadyjskiej prowincji Quebec zaczęli zastanawiać się, czy do dobrowolnej eutanazji, o którą chorzy muszą prosić, nie dodać eutanazji niedobrowolnej, którą można by „obdarzyć" ludzi, którzy prosić o to nie mogą – chorych na Alzheimera.

Zgoda lub jej brak na takie „rozwiązanie" ze strony bezpośrednio zainteresowanych nie ma jednak znaczenia, gdy w grę wchodzi z jednej strony kwestia pieniędzy, a z drugiej chęć „wyeliminowania cierpienia za wszelką cenę", także za cenę likwidacji chorego. Tym rzekomym dobrodziejstwem obejmowane są kolejne grupy – ludzie w depresji, znużeni życiem, ci, którzy prosić o eutanazję nie chcą lub nie mogą, a nawet ci, którzy nie chcą umierać, ale o tym, co powinno się z nimi stać, lepiej od nich wiedzą lekarze. Nie jest to wcale katolicka przesada, lecz rzeczywistość. W styczniu 2017 roku holenderskie media informowały, że przed komisją badającą zachowanie procedur eutanazyjnych stanął lekarz, który zabił pacjentkę z demencją bez jej wiedzy i zgody. Lekarz podał środki usypiające w kawie. W trakcie robienia zastrzyku kobieta się obudziła i prosiła o życie. Lekarz dokończył zabieg. Jakby tego było mało, pacjentka wielokrotnie, także krótko przed śmiercią, mówiła lekarzowi, że „nie chce umierać". I to mimo iż on sam nie powiedział jej ani o chęci wykonania eutanazji, ani o tym, że w kawie poda jej środki nasenne. Wszystko zostało dokonane bez jej wiedzy i zgody, bowiem lekarz nie chciał „denerwować pacjentki". Komitet eutanazyjny uznał, że lekarz przekroczył granicę, bowiem najpierw uśpił pacjentkę, a do tego nie przerwał procedury, gdy zaczęła ona protestować. Nie oznacza to jednak, że stwierdził, iż działanie lekarza było czymś złym. Jacob Kohnstamm, przewodniczący Komitetu, uznał wprawdzie, że sprawa powinna trafić do sądu, ale nie po to, by ukarać lekarza-zabójcę, lecz po to, by ustanowić precedens prawny, dzięki któremu lekarze będą mogli spokojnie zabijać osoby z demencją, bez ich wiedzy i zgody, i to bez konsekwencji prawnych. „Nie chodzi o to, by karać lekarza, który działał w dobrej wierze, lecz by prawnie zdefiniować, jak powinien zachować się lekarz, gdy dochodzi do eutanazji osób z demencją" – oznajmił Kohnstam.

Ten proces rozpoczyna się zaś od... prostego przyjęcia, że człowiek ma prawo oceniać jakość życia innych, że wolno mu odmawiać prawa do życia ze względu na stan zdrowia. Polska wciąż znajduje się w przestrzeni zgody na takie myślenie. Eugenika jest u nas żywa. W ubiegłym roku ponad tysiąc dzieci zginęło z tego powodu. Warto pamiętać, jakie są konsekwencje tej idei. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Małgorzata Matuszak

Czym jest... cel

Różne możemy mieć cele – krótkoterminowe i długoterminowe, potencjalne i aktualne, ogólne, pośrednie i szczegółowe. Cel, w perspektywie etyki, to stan, do jakiego chcemy doprowadzić, realizując dane działanie. To kres świadomego działania, który postrzegany być może w dwu aspektach: w sensie przedmiotowym, jako przedmiot bądź skutek zamierzonego działania, i w sensie podmiotowym, jako racja, powód lub motyw działania. Celowo działać może pojedynczy człowiek, a także grupa osób – organizacja, grupa społeczna czy też całe społeczeństwo.

Dążenie do celu nie istnieje jedynie jako świadomy wybór celów i ich chcenie. Bowiem chcemy czegoś tylko dlatego, że odczuwamy pierwotne bycie ku temu. Bez tego poczucia świat wokół byłby dla nas obojętny i nie mielibyśmy powodów, by chcieć tej właśnie, a nie innej rzeczy. Chcemy czegoś, bo to wydaje się nam wartościowe, bo jawi się nam jako dobro. I od tego, co nam się dobrem wydaje, zależy to, czego chcemy, co więc obierzemy za cel, do którego warto dążyć. Ważne zatem jest to, jakim wartościom hołdujemy w swoim życiu, które z nich uznamy za te, które warto realizować.

W ujęciu teleologicznym odpowiadamy najpierw na pytanie: „co chcę osiągnąć?", a następnie: „jak to mogę osiągnąć?". Szukając odpowiedzi na drugie zagadnienie, musimy rozważyć wszystkie sposoby osiągnięcia zamierzonego celu i wybrać ten, który pozwoli nam sięgnąć upragnionego. Wybór jednego z możliwych do realizacji środków podyktowany jest odrzuceniem tych, których człowiek nie chce albo nie może podjąć, a przyzwoleniem na te, które są dlań akceptowalne. Żadnego wszak celu nie warto osiągać, gdy środki są niegodne. Czasami celu nie możemy osiągnąć, gdyż sięgnięcie po najwłaściwszy ku niemu środek nie leży w naszych możliwościach.

Według Arystotelesa początkiem i punktem wyjścia działania, ruchu charakteryzującego człowieka, jest pożądany przedmiot bądź też jego wyobrażenie. Myśl o nim skłania człowieka do tego, by poczynił starania w celu jego osiągnięcia. Na ruch składają się zatem trzy czynniki: to, co ruch wywołuje, to, za pomocą czego człowiek się porusza, i on sam, ruchowi podlegający. To zaś, co ruch wywołuje, dwojakiego jest rodzaju; czynnikiem nieruchomym jest tu bowiem dobro praktyczne, a będącym w ruchu i jednocześnie w ruch wprawiającym – władza pragnąca. Z tym że i dobro pozorne może być punktem wyjścia dla rozumu praktycznego. Ważne jest współgranie rozumu i pragnienia, rozum sam z siebie bowiem niczego nie porusza. Wydaje rozkazy, bo wie, czego pożądać i czego unikać. Rozkazy jego nie muszą być jednak z konieczności wykonane – człowiek nieopanowany nie wypełnia wszak nakazów rozumu, lecz kieruje się swoimi pragnieniami. Z drugiej strony także pragnienia nie wywołują z konieczności ruchu w kierunku zdobycia tego, co upragnione; mogą być powstrzymane przez rozum. Tak więc ani rozum, ani pragnienia same z siebie nie powodują jeszcze ruchu.

Według Arystotelesa początkiem i punktem wyjścia działania, ruchu charakteryzującego człowieka, jest pożądany przedmiot bądź też jego wyobrażenie. Myśl o nim skłania człowieka do tego, by poczynił starania w celu jego osiągnięcia.

Co więc go powoduje? Postanowienie. Jeśli jednak rozpatrzymy strukturę postanowienia, czyli współgrania sądu i pragnienia, to pierwszeństwo w powodowaniu ruchu przyznaje Arystoteles pragnieniu: to ono pobudza rozum, by rozpatrzył wszystkie możliwości osiągnięcia upragnionego, wybierając i postanawiając ten najlepszy. Zdolność wyboru jest ważna, gdy – i dlatego że – człowiek działa celowo: wtedy, gdy musi wybrać środek do celu. Rozum praktyczny, liczący się z przyszłością, musi przyjść z pomocą pragnieniu, niezważającemu raczej na przyszłe konsekwencje. Jeśli tak się nie stanie, pragnienie sięgnie raczej tego, co leży najbliżej, co ma „pod ręką". Postanowienie łagodzi dychotomię rozumu i pragnienia, będąc źródłem i pierwszym etapem działania.

Pisze Arystoteles, że ten, kto dał się opanować namiętnościom, przestaje dostrzegać to, co słuszne. Wymknęła się mu bowiem własna słuszność, właściwa orientacja. Stracił z oczu cel, a wraz z nim umiejętność w cel celowania. Cel przesłania mu namiętność. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Małgorzata Matuszak

W zalewie nieheteronormatywności

Wszelakie ruchy LGBT i propagowanie mniejszości seksualnych spowodowało nasilenie promocji różnego rodzaju seksualnych doświadczeń, naturalnych być może dla pewnych środowisk, nieakceptowalnych jednak jako standardowe dla ogółu społeczeństwa.

eprasa.pl d637dc41e0

Coraz częściej w filmach i serialach zobaczyć możemy homoseksualnych bohaterów. Wielu producentów przyjęło to wręcz za obowiązkową normę. Wszystko to ponoć po to, by otworzyć oczy widzom, którzy dopiero zapoznają się z tym, co nieheteronormatywne i często zupełnie nieznane.

Lansowanie na ekranie

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że działania te są wymuszone i skierowane na to, byśmy uznali, że lawirowanie pomiędzy różnymi orientacjami seksualnymi jest czymś normalnym. Dzieje się tak przede wszystkim w serialach proponowanych przez serwisy streamingowe, w szczególności przez Netflix. Jednak nawet w rodzimych produkcjach spotykamy się z tym problemem. W jednej z produkcji popularnej komercyjnej stacji bohaterka wdała się w lesbijski romans ze swoją koleżanką ze studiów. Została lesbijką dość nagle, wcześniej bowiem wszystko wskazywało na to, że interesują ją wyłącznie osobnicy płci męskiej. Trudno w tym miejscu powstrzymać się od sarkazmu, tak jednak wygląda fabuła wielu zachodnich seriali: kobieta kocha mężczyznę, w związku pojawiają się problemy, kobieta odchodzi – przynajmniej emocjonalnie – od mężczyzny, zakochuje się w innej kobiecie i odkrywa swoje drugie, nieznane jej dotąd oblicze.

Co gorsza, tego typu wątki pojawiają się już nawet w produkcjach kierowanych do dzieci. Główna bohaterka nowego serialu animowanego „The Owl House" wyprodukowanego przez Disney Channel, Luz Noceda, jest biseksualna. Postać ta zamiast iść do obozu dla nieletnich, trafia poprzez portal do innego świata. Tam zaprzyjaźnia się z czarownicą, której zostaje uczennicą, oraz z jej demonicznym przyjacielem. Twórczyni serialu, Dana Terrace, na Twitterze wyznała, że Disney na początku odmówił jej przedstawiania nieheteronormatywnych związków, po czym zmienił zdanie. Stwierdziła: „Kiepsko kłamię, więc przemycenie tego wątku było trudne. Kiedy otrzymaliśmy zielone światło, niektórzy przywódcy Disneya jasno powiedzieli mi, że nie mogę przedstawić na antenie Disney Channel żadnej relacji homo- lub biseksualnej" i dodała: „Na szczęście mój upór się opłacił i teraz jestem bardzo wspierana przez obecne kierownictwo Disneya".

Niektórzy „twórcy" idą jeszcze dalej. Przed wybuchem pandemii koronawirusa zakończono zdjęcia do filmu „Habit", w którym Paris Jackson gra rolę „lesbijskiego Jezusa". Dystrybutorzy nie puścili jeszcze filmu w obieg, nie zapowiedziano też daty jego premiery. Natychmiast pojawiła się internetowa petycja w sprawie zakazu dystrybucji filmu, która trafiła na Charge.org., a podpisywali się pod nią przeciwnicy filmu. Została skierowana do firmy Warner Bros, która jest odpowiedzialna za dystrybucję, nie wiadomo jednak, jaki odniesie ona skutek. Film ten może niestety trafić na platformy VOD lub serwisy streamingowe typu Netflix, co znacznie poszerzy zasięg „dzieła".

„Każda kobieta jest trochę lesbijką"

Cameron Diaz, aktorka słynąca z kontrowersyjnych wypowiedzi, w czasie sesji dla „Glamour" stwierdziła, że każda kobieta czuje naturalny pociąg seksualny do drugiej kobiety: „Myślę, że wszystkie kobiety czują pociąg seksualny do innych pań. To naturalne i przychodzi z wiekiem. Myślę, że kobiety są piękne, absolutnie piękne. Kocham kobiety i nie jestem niezazdrosna".

W Internecie znaleźć możemy dużą liczbę tekstów zachęcających heteroseksualne kobiety do podejmowania kontaktów intymnych z innymi kobietami. Wiele z nich opublikowanych jest na popularnych liberalnych portalach, dostępnych zatem szerokiemu gronu czytelniczek i czytelników. Dowiedzieć się z nich możemy na przykład, że niezobowiązujący seks z inną kobietą może zaspokoić potrzebę przygody i pobudzić wyobraźnię mężczyzny, i przy okazji zaspokoić ją w sposób niemożliwy do uzyskania w kontaktach z mężczyzną.

W jednym z artykułów Jagoda, kobieta, która po swoich pierwszych doświadczeniach seksualnych myślała, że jest lesbijką, potem przechodziła etap biseksualności, wreszcie doszła do tego, że jest jednak heteroseksualna, osobom poszukującym przygodnego seksu z kobietą radzi rozejrzeć się za zdeklarowanymi lesbijkami po 30., które naprawdę wiedzą, co robią. I dodaje: „Tylko trzeba od razu postawić sprawę jasno, powiedzieć, że jest się hetero i chce się spróbować, wiele dziewczyn czuje się potem wykorzystanych, wbrew pozorom sporo jest kobiet eksperymentujących".

Kobiety przekonywane są do tego, że zdobywanie lesbijskich doświadczeń jest dla nich nie tylko naturalne, lecz wręcz pożądane. I że nie będzie to miało negatywnych skutków dla ich relacji z mężczyznami. Andrzej Gryżewski, psychoterapeuta i seksuolog, twierdzi wręcz: „Uważam, że seks dwóch kobiet, które są w związkach z mężczyznami, nie jest większym zagrożeniem dla tych relacji. Pod jednym warunkiem – kobiety muszą być heteroseksualne. W heteronormatywnych społeczeństwach wiele kobiet zagłusza swoje naturalne skłonności. Historie z rodzaju »odchowała dzieci, rozstała się z mężem i związała z kobietą« nie są wcale takie rzadkie".

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d637dc41e0

Niestety zapomina się w tym wszystkim o tym, że tego typu eksperymenty, zaczynające się często niewinnie, mogą być bardzo niebezpieczne. Mogą przerodzić się w stały związek, rozbić istniejący, wreszcie spowodować zmianę orientacji seksualnej. Psycholodzy twierdzą, że przejawy erotycznych upodobań niekoniecznie dają o sobie znać w dzieciństwie i w wieku dojrzewania. W przypadku kobiet skłonności lesbijskie pojawiają się dopiero wtedy, gdy osobowość kobiety osiągnie już dojrzałość. Tym bardziej wtedy, gdy wmówi się jej, że to będzie dla niej dobre i że wpłynie na poprawę jej samopoczucia. Rozwiązłe eksperymentowanie czy usilne szukanie intymnego kontaktu z drugą kobietą może zniszczyć jej psychikę i zaburzyć sferę seksualną.

Homoseksualizm kobiecy

W Internecie przeczytać można wiele artykułów na temat biseksualnych skłonności kobiet, przytaczających badania przeprowadzone przez dr. Gerulfa Riegera z Wydziału Psychologii Uniwersytetu w Essex w Wielkiej Brytanii i opublikowanych w „Journal of Personality and Social Psychology". Badał on ruchy gałek ocznych i reakcje fizjologiczne kobiecego organizmu na zdjęcia atrakcyjnych mężczyzn i kobiet. I chociaż przed eksperymentem 72 proc. kobiet określiło siebie jako heteroseksualne, u aż 82 proc. z nich nastąpiło silne podniecenie jako reakcja na obie płcie. Na tej podstawie dr Rieger stwierdził, że kobiety, nawet jeśli są w związkach z mężczyznami, mają naturalne skłonności lesbijskie. Trudno uznać wynik tych badania za wiarygodny, zostały one bowiem przeprowadzone jedynie na grupie 345 kobiet. Nie potwierdzają ich też statystyki.

Nie tylko te badania stanowią ukłon w stronę potwierdzenia, że homoseksualizm kobiecy jest we współczesnym świecie zjawiskiem znacznie częstszym, niż by się wydawało. Według prowadzonych przez naukowców badań, prawie co piąta czterdziestoletnia kobieta przyznaje się, że przynajmniej raz w życiu uprawiała seks z inną kobietą, a wśród kobiet samotnych, rozwiedzionych lub wdów związki lesbijskie są jeszcze częstsze. Jak widać, rozluźnienie obyczajów sprawia, że kobiety podejmują działania, o których wcześniej nawet by nie pomyślały, gdyby nie fakt, że istnieje coraz większa społeczna zgoda na tego typu postępowanie. Nie ma pewnych danych dotyczących homoseksualizmu kobiecego, szacuje się jednak, że w krajach Europy Zachodniej, takich jak Niemcy, Austria czy Szwajcaria, wyłącznie homoseksualne relacje utrzymuje 3–4 proc. kobiet, w USA – 3,8 proc.

Dramatopisarka Lorrie Hansberry napisała w liście do lesbijskiego pisma „The Ladder" słowa, które winniśmy czytać ku przestrodze: „Podejrzewam, że problem zamężnych kobiet, które w rzeczywistości wolałyby emocjonalne i fizyczne związki z kobietami, jest statystycznie dużo częstszy niż analogiczna sytuacja wśród mężczyzn. (Choć z całą pewnością nikt nigdy nie stworzy takiej statystyki). A to dlatego, że sytuacja kobiet jest, jaka jest – jak możemy nawet próbować odgadnąć liczbę kobiet, które nie odważą się zaryzykować życia odmiennego od tego, co od dziecka miały wpajane jako swoje »naturalne« przeznaczenie, a także jedyną nadzieję na bezpieczeństwo majątkowe? Prawdopodobnie dlatego kwestia ta dla kobiet jest bardziej znacząca niż ma to miejsce w przypadku homoseksualnych mężczyzn [...]. Silna i uczciwa kobieta może, jeżeli podejmie taką decyzję, zakończyć swoje małżeństwo i wyjść za mąż za innego mężczyznę. Społeczeństwo będzie co prawda zmartwione, że odsetek rozwodów wzrasta, ale jest niewiele miejsc – przynajmniej w Stanach Zjednoczonych – gdzie taka kobieta byłaby traktowana jako ktoś w rodzaju społecznego wyrzutka. Sprawa oczywiście miałaby się całkiem inaczej, gdyby kobieta odeszła od męża, by związać się z inną kobietą".

W przestrzeni liberalnej kobiety są przekonywane, że zdobywanie lesbijskich doświadczeń jest dla nich naturalne, wręcz pożądane. I że nie będzie to miało negatywnych skutków dla ich relacji z mężczyznami.

Przeciw propagandzie

Bez wątpienia homoseksualizm kobiecy istnieje, nikt nie może temu zaprzeczyć. Nie wolno jednak dopuścić do sytuacji, w której kobiety nakłaniane są, by zostać lesbijkami. Nie można homoseksualizmu promować, nie można pozostawiać w gestii wyboru. Do sytuacji, o których pisała L. Hanberry, w większości pewnie by nie doszło, gdyby nie silny wpływ tęczowych lobby i faktu, że zalewani jesteśmy propozycjami swoich możliwości bycia kimkolwiek chcemy. Jej słowa pouczają nas, że nie warto eksperymentować ze swoją seksualnością. I z uczciwością wobec samych siebie. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Ryszard Czarnecki

Pompka Królaka, mleko siatkarzy i moje kapsle

Jakiś czas po II wojnie światowej do Polski przyjechała reprezentacja Czechosłowacji w brydżu sportowym. Polacy byli lepsi, lecz nie o poziom licytowania tu chodzi. Zwrócono uwagę, że jeden z brydżystów nazywał się Nedojad, drugi Nedopil, trzeci Nedospal... Jak nazywał się czwarty? Smutny. „Nic dziwnego" – komentowali zgryźliwie Polacy.

Najsłynniejszy trener w historii polskiej piłki nożnej, lwowiak Kazimierz Górski, w czasach kiedy był prezesem PZPN, na pewnym zasiadanym przyjęciu uznał, że pora się pożegnać. Wziął łyżeczkę, zastukał w szklankę, a gdy wszyscy przerwali rozmowy i zrobiła się cisza, pan Kazimierz rzekł: „To ja już tak po angielsku wyjdę "...

Trener Górski funkcjonował w czasach przedtelewizyjnych, gdy liczyli się szkoleniowcy dobrzy, mający rezultaty, a nie mający „gadane" i zdolności PR-owskie. Doprowadził Polaków do trzeciego miejsca w mistrzostwach świata oraz złotego i srebrnego medalu olimpijskiego. W rezultacie anons pewnego biura turystycznego we Włoszech głosił: „Zapraszamy do Polski 2 zobaczcie, skąd się biorą tak świetni piłkarze"...

Dziś część naszych trenerów piłkarskich to geniusze – ale w studiu telewizyjnym, bo na boisku wręcz przeciwnie...

Na początku lat 70. wszystkie chłopaki w Polsce – w tym ja – grali w kapsle. Na chodnikach kredą wyznaczano trasę Wyścigu Pokoju, na wewnętrznej stronie kapsla umieszczano święte dla polskiego kolarstwa nazwiska: Szurkowski, Szozda, Hanusik, Czechowski, Mytnik. Oczywiście zawsze „polskie" kapsle wygrywały z reprezentantami Związku Sowieckiego: Lichaczowem, Gorelowem, Gusiatnikowem czy Pikkuusem (ten był z Estońskiej SRS). Ci z „DDR" też przegrywali z kretesem – nawet sam Hans-Joachim Hartnick. Czechosłowacy z Vlastimilem Moravcem – takoż.

Szurkowski cztery razy wygrał Wyścig Pokoju. Polacy u progu dekady lat 70. dwa razy wygrywali drużynowo tę imprezę, która miała fatalny patronat – organów komunistycznych partii z NRD, PRL i Czechosłowackiej Republiki Ludowej – ale rzeczywiście żyła nią cała Polska i okolice. Kolarze, podobnie jak siatkarze, piłkarze, w jakiejś mierze lekkoatleci czy szermierze, budowali dumę narodową Polaków. Do legendy przeszły opowieści, jak to „Ruskie" nie mogąc zdzierżyć szybkiego Szurkowskiego, łapali go za siodełko, za wszelką cenę starając się go powstrzymać. Na te opowieści nakładała się legenda Stanisława Królaka, który wygrał Wyścig Pokoju przy zaczynającej się politycznej „odwilży" w 1956 roku. Zasłynął nie tylko z tego zwycięstwa nad kolarzami z ZSRS, lecz także z legendy, jak to nie mogąc zdzierżyć wyjątkowo chamsko atakującego go Rosjanina, zdzielił go w tunelu pod Stadionem Dziesięciolecia pompką od roweru. Akurat tam, bo było ciemno i nie było świadków. Przez lata władze zaprzeczały temu faktowi, a im bardziej zaprzeczały, tym bardziej polski antysowiecki lud w to wierzył...

Nasi siatkarze po raz pierwszy zdobyli mistrzostwo świata w Meksyku w 1974 roku. W decydującym meczu pokonali Japończyków – gdyby przegrali, złoto zdobyłby etatowy kolekcjoner tych tytułów, czyli Związek Sowiecki. Do historii i legendy przeszło to, co działo się w hotelu zamieszkałym przez Biało-Czerwonych. Polacy bawili się całą noc, zapraszali, kogo się dało, sami za kołnierz nie wylewali, a o świcie, gdy już spakowani siedzieli w autokarze i mieli jechać na lotnisko, zdyszany i przejęty przygalopował dyrektor hotelu z długim, bardzo długim rachunkiem za długą, bardzo długą noc w barze – nasi wzięli nie tylko tytuł mistrza świata, lecz także bar. Sytuacja była ambarasująca, czasu do odlotu bardzo niewiele. Tylko kierownik drużyny zachował olimpijski spokój: „Moi zawodnicy piją tylko mleko" – zgasił Meksykanina.

Historię tę opowiedziało mi parę lat temu dwóch reprezentantów, członków „Złotej Drużyny" z Meksyku 1974 i Igrzysk Olimpijskich w Montrealu 1976.

Uwielbiam takie sportowe, z życia wzięte legendy... ■

eprasa.pl d637dc41e0

Na zdjęciu od prawej: por. Kazimierz Szosland, rtm. Henryk Dobrzański, ppłk Karol Rómmel, rtm. Zdzisław Dziadulski, rtm. Adam Królikiewicz.

Granat ręczny, napad na pociąg i Liga Mistrzów

Piotr Lisiewicz

Poprasa.pl d637dc41e0

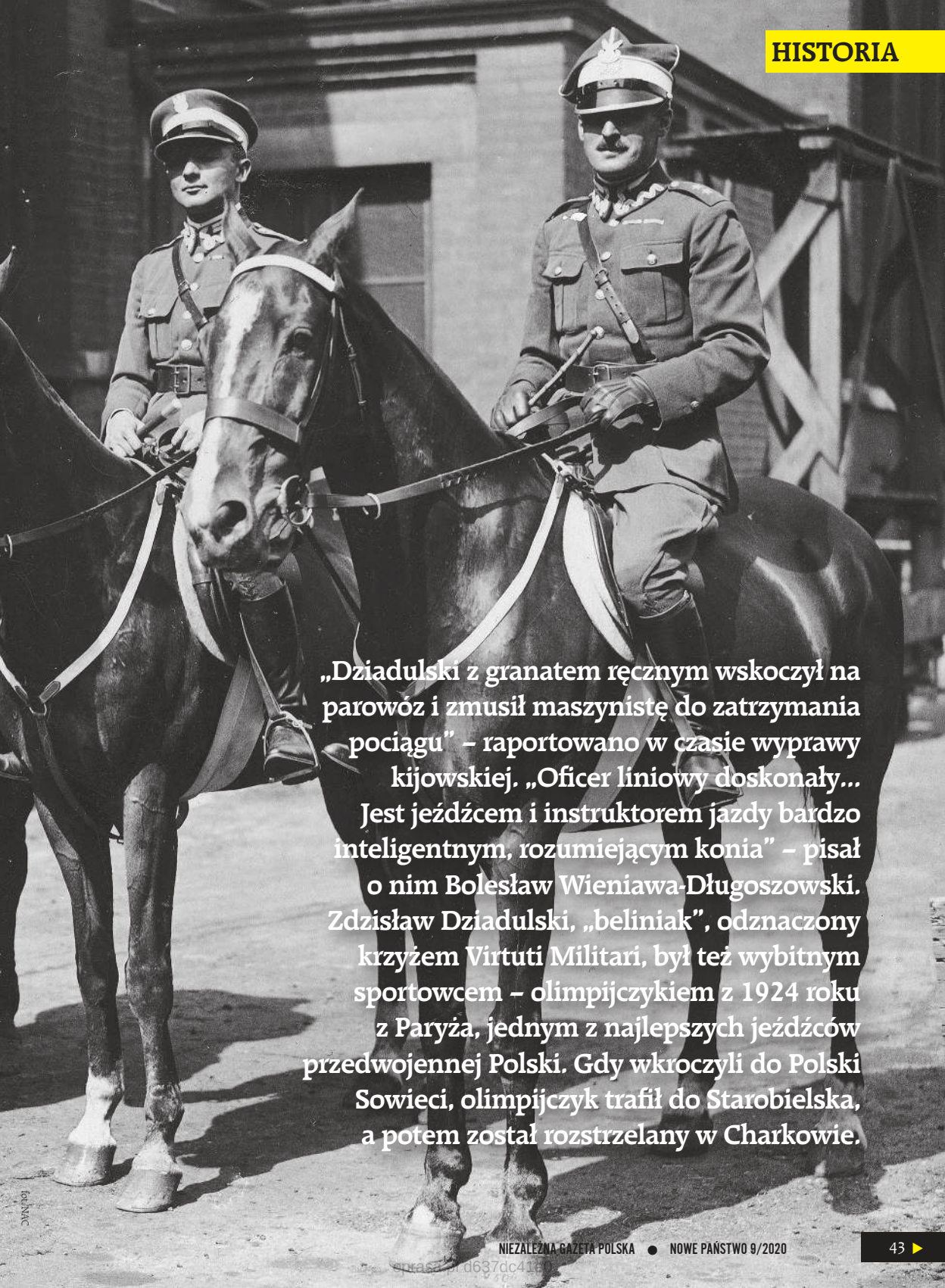

„Dziadulski z granatem ręcznym wskoczył na parowóz i zmusił maszynistę do zatrzymania pociągu" – raportowano w czasie wyprawy kijowskiej. „Oficer liniowy doskonały... Jest jeźdźcem i instruktorem jazdy bardzo inteligentnym, rozumiejącym konia" – pisał o nim Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Zdzisław Dziadulski, „beliniak", odznaczony krzyżem Virtuti Militari, był też wybitnym sportowcem – olimpijczykiem z 1924 roku z Paryża, jednym z najlepszych jeźdźców przedwojennej Polski. Gdy wkroczyli do Polski Sowieci, olimpijczyk trafił do Starobielska, a potem został rozstrzelany w Charkowie.

fot. NAC

oprasa_prd637dc41e0

Zdzisław Dziadulski został „beliniakiem", gdy miał zaledwie 18 lat. Co to oznaczało? Chyba najbardziej barwny opis Beliny i jego kawalerzystów, którzy w 1914 roku pierwsi rozpoczęli bój o niepodległość, zostawił nam Julian Kaden-Bandrowski: „ten Belina ze źdźbłami słomy na portkach i w czuprynie, zionący koniem i czarką wódki wypitą na śniadanie... Kiedy się Komendantowi Belina na kwaterze meldował... radość, jaką promieniował Komendant, kiedy te kawalerzysty w jakimś specjalnym trójkowym szyku mijały kłusem, prowadzone przez Belinę i jego dzikich, wariackich oficerów... oni wszyscy, właśnie pod dowództwem tego rotmistrza byli dla Piłsudskiego czymś niezwykłym niespodziewanym. Byli spełnieniem marzenia".

Dziadulski wskoczył na parowóz i granatem sterroryzował maszynistę

No więc Dziadulski był jednym z owych „dzikich, wariackich oficerów". Do jakich wyczynów on sam był zdolny? W książce „Zarys historii wojennej pułków polskich 1918–1920. 1 Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego" ze wstępem Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego czytamy o wspomnianym wydarzeniu w czasie wyprawy kijowskiej i zdobywania stacji Teterew: „Podporucznik Dziadulski z granatem ręcznym wskoczył na parowóz i zmusił maszynistę do zatrzymania pociągu. W tym czasie stacja już była przez szwadrony opanowana, a wydostający się z pociągów Rosjanie potracili głowy i do obrony nie byli zdolni. Zaraz na wstępie zniszczono urządzenie stacyjne, by przerwać połączenie między Kijowem a Korosteniem".

W książce Joanny Wieliczki-Szarkowej „Żołnierze niepodległości" czytamy o wartościach, które kształtowały takich jak on: „Belina nosił w sobie niemal wszystkie zalety i wszystkie wady dawnego rycerza Rzeczypospolitej – mieściła się w nim zawadiackość niepohamowana, rubaszność i złote, dobrotliwe serce, okrucieństwo w słowie, spojrzeniu i geście, połączone z łagodnością kobiety, indywidualność bliska warcholstwa z poczuciem nakazanego obowiązku i ofiary, beztroski śmiech i zabawa z umiejętnością harowania dniem i nocą bez snu i jedzenia".

O tym samym, czyli powrocie etosu rycerza Rzeczypospolitej wraz z beliniakami, Artur Oppman, czyli Or-Ot, pisał proroczo: „I niech się zespoli w cudownej legendzie / Ta Polska co była, Ta Polska co będzie / W skrzydlatych ułanach Beliny".

Styl jazdy oklaskiwany na całym świecie

Ale w wydanej z okazji 100. rocznicy Bitwy Warszawskiej książce „Sportowcy dla Niepodległej" (to już trzeci tom tej bardzo ważnej serii) znajdujemy opis wyglądu Dziadulskiego, w którym nie ma już dzikiego 18-latka. Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik piszą o kimś... eleganckim: „O takich ludziach jak Zdzisław Dziadulski bez wielkiej przesady można powiedzieć, że urodzili się w siodle. Jego sposób prowadzenia konia, sylwetka i styl jazdy były bardzo widowiskowe, szeroko komentowane i głośno oklaskiwane na całym świecie. Ten znakomity jeździec reprezentował narodowe barwy na wszystkich ważniejszych międzynarodowych konkursach. I to w czasach, kiedy hippika była nie tylko dyscypliną sportową. Była czymś znacznie więcej – emanacją niezłomnego polskiego ducha i świadomości narodowej w odrodzonym państwie".

Nie dość, że elegancki, to jeszcze wytworny: „Gdy człowiek przez większość życia chodzi w mundurze, zyskuje to coś, co z miejsca zdradza wojskowego. Sztywna postawa, wysoko uniesiona głowa, pewne, zdecydowane spojrzenie – to właśnie widać na zdjęciach, na których Zdzisław Dziadulski pozuje w towarzystwie kolegów z pułku". To nie była, wbrew pozorom, nietypowa ewolucja, takich cudów dokonywały w wielu przypadkach polskie szkoły oficerskie II Rzeczypospolitej...

Puść, panienko

Zdzisław Dziadulski urodził się 5 grudnia 1896 roku w Krakowie, jako syn Leona i Katarzyny, z domu Korneckiej. Już jako 16-latek wstąpił do Polskich Drużyn Strzeleckich, a mając 18 lat, 4 sierpnia 1914 roku, do Legionów Polskich. Wtedy trafił do 1. Pułku Ułanów Legionów Polskich, dowodzonego przez Władysława Belinę-Prażmowskiego, z którym miał przejść cały bojowy szlak.

Sam Piłsudski wspominał, że początki działań owego pułku miały znamiona wspomnianej dzikości: „Kawaleria, muszę wyznać otwarcie, nie odznaczała się poszanowaniem czyjejkolwiek własności, o ile chodziło o konia czy siodło. Formowana przez Belinę w okresie kieleckim, że tak powiem, z niczego, szukała ona stale albo konia, albo siodła, albo najczęściej i jednego, i drugiego".

Ponieważ literatów w Legionach nie brakowało, wiele opowieści z owego szlaku doczekało się książkowych lub poetyckich opisów. Gdy w lipcu 1915 roku kawaleria Beliny stanowiła czołówkę I Brygady wkraczającej do Lublina, pisarz, poeta i legionista Edward Słoński napisał:

Jak to było ładnie, kiedy do Lublina
Na karkach Moskali wjechał pan Belina!
Jak to było ładnie, gdy po tym na rynku
Stanął z ułanami w bojowym ordynku.

Z kolei Piłsudski podczas II Zjazdu Legionistów wspominał ich kwaterowanie na Polesiu Wołyńskim: „Pamię-

eprasa.pl d637dc41e0

tam, jak długi czas jeżdżąc po pustkowiach, trafiłem do pułku ułanów tzw. Beliniaków. Zdumiony byłem tym, co się tu dzieje. Jest tu życie! Tu, przy Belinie, przy tym szlagońskim typie człowieka, gospodarzącym tu, na wsi, mającym cały szereg zalet i przywar szlacheckich, śmiech panował, tu, w tej wiosce, wieczorami odbywały się bale, tu wieczorami wyprawiano tańce, tu grała muzyka, tu było wesele, tu było życie – w ponurym obrazie wojny".

Najbardziej znany opis obyczajów tychże ułanów zachowała piosenka wszystkim znana: „Przybyli ułani pod okienko./ Pukają, wołają: „Puść, panienko!"/ O Jezu, a cóż to za wojacy?/ Otwieraj, nie pytaj, beliniacy!".

Rzecz jasna, gdy w II RP o Belinie mówiono w szkołach, nieco inaczej już rozkładano akcenty. Jak stwierdza Tomasz Gąsowski, autor wstępu do książki „Belina i jego ułani": „postać zamaszystego junaka, dzielnego oficera kawalerii z czasów I wojny światowej oraz wojny polsko-bolszewickiej, jakim był legendarny »Belina« [...] dla kilku pokoleń Polaków stanowiła ważny punkt odniesienia w patriotycznej edukacji".

Oddział uratował podporucznik Dziadulski

Tymczasem póki co Dziadulski odmówił złożenia przysięgi na wierność Królestwu Polskiemu i dotrzymanie braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier do końca wojny. Po kryzysie przysięgowym został wcielony do 1. Pułku Ułanów Armii Austro-Węgier i brał udział w walkach na froncie włoskim. W 1917 roku odniósł kontuzję i... miał czas, by zdać maturę w krakowskiej szkole realnej.

W listopadzie 1918 roku wstąpił do Wojska Polskiego. Podczas wojny z bolszewikami dwukrotnie został ranny. Za męstwo na polu walki został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. W cytowanej już książce „Zarys historii wojennej pułków polskich 1918–1920. 1 Pułk Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego" postać młodziutkiego ułana Dziadulskiego pojawia się kilkukrotnie, nie tylko w związku z napadem na lokomotywę. Po zdobyciu Kijowa, w czasie kontrofensywy spod Mińska nad Berezynę, opisane zostały w niej walki o wieś Czysty Bór: „Nieprzyjaciel podszedł pod samą wieś, a widząc moment kwaterowania uderzył gwałtownie. Uratował oddział w tej sytuacji podporucznik Dziadulski, który spostrzegł podchodzące tyraliery, a mając rozjuczone karabiny maszynowe swego plutonu, natychmiast rozpoczął z nich ogień, czym zatrzymał Rosjan i zaalarmował pułk. Podjazd, wysłany po akcji w pościg, stwierdził, że piechota sowiecka odeszła w kierunku północnym, kryjąc się w lesistym terenie".

Jeździectwo jak dzisiejsza Liga Mistrzów

Po wojnie Zdzisław Dziadulski służył dalej w polskim wojsku, osiągając kolejne awanse. Jak wylicza portal Olimpijski.pl, został kolejno awansowany do stopnia podporucznika (1921), rotmistrza (1925) i majora (1932). Większą część służby spędził w macierzystej jednostce, czyli I Pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, w którym był m.in. kwatermistrzem (w latach 1934 –1936), a wreszcie zastępcą dowódcy.

Zyskiwał pochlebne opinie przełożonych, a jednym z nich był cytowany już adiutant Marszałka Piłsudskiego Bolesław Wieniawa-Długoszowski, który pisał o nim: „Oficer liniowy doskonały, jako instruktor drobiazgowy, metodyczny, staranny i pilny. Umie znaleźć środki, by trafić do podwładnego i wpoić mu żądane wiadomości. Posiada ukończony kurs ujeżdżania przy Centrum Wyszkolenia Artylerii. Jest jeźdźcem i instruktorem jazdy bardzo inteligentnym, rozumiejącym konia. Jako dowódca posiada charakter, szybką decyzję, silną wolę i konsekwencję działania. Jako dowódca dyonu wyczuwa dobrze sytuację taktycznie, orientuje się świetnie i decyduje słusznie. Taktycznie dobrze przygotowany, regulaminy zna i umie celowo stosować".

Równolegle rozwijała się kariera sportowa szwoleżera, którą szczegółowo opisują Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik w książce „Sportowcy dla Niepodległej": „Jeździectwo sportowe zaczął uprawiać na początku lat 20. i szybko uznano go za znakomitego jeźdźca. Osiągnął tak wysoki stopień zawodowstwa, że w 1922 roku trafił do grupy olimpijskiej przy 1. Pułku Szwoleżerów".

Autorki objaśniają, czym w dwudziestoleciu międzywojennym były zawody jeździeckie: „A były ni mniej, ni więcej tym, czym obecnie są mecze Ligi Mistrzów. Zawody WKKW (Wszechstronny Konkurs Konia Wierzchowego) cieszyły się ogromną popularnością i prestiżem. Oglądały je tysiące widzów – z równie wielkimi emocjami, z jakimi dziś kibicujemy piłkarzom na mistrzostwach świata".

Z czego wynikała tak ogromna popularność? „W odrodzonym państwie jeździectwo urastało do rangi sportu narodowego. Łączyło się bowiem z piękną historią polskiej wojskowości, naszymi siłami zbrojnymi i zwycięstwami na polu walki, w których koń pełnił przecież ważną funkcję. Hippiczne sukcesy na arenie międzynarodowej traktowano jako pokaz siły i odrodzonego ducha polskiej armii" – piszą.

Marmurowy spokój

Wiktorie jeździeckie mile widziane były także jako dowód, że Polska nie jest „bękartem Traktatu Wersalskiego", a wraca jako ważne państwo, jakim była w swojej historii. Stokłosa i Wójcik przypominają, że jeszcze w czasie wojny w 1920 roku (!) utworzono pierwszą ekipę jeździecką, która miała pojechać na igrzyska olimpijskie w Antwerpii. Ostatecznie wojna to uniemożliwiła.

eprasa.pl d637dc41e0

Tym intensywniej przygotowywano się do Olimpiady w 1924 roku w Paryżu. Sprawdzianem przed nią miały być Wojskowe Międzynarodowe Konkursy Hippiczne w Nicei. Polacy wysunęli się tam na prowadzenie, zdobywając około 30 nagród.

Prasa szczegółowo relacjonowała te zawody. Tadeusz Jaworski w „Polsce Zbrojnej" („O znaczeniu konkursów w Nicei, nr 151/1924") pisał o występie Dziadulskiego: „Jeździ z ogromnym sercem, bardzo energicznie prowadząc konia. Młody ten jeździec ma dużą przyszłość". Czasopismo „Stadion" w tekście „U szwoleżerów" odnotowywało, że wyróżniał się on „postawą i kamiennym spokojem, którego mógłby mu pozazdrościć... marmur".

A próbą generalną dla polskich jeźdźców przed Olimpiadą były zawody konne w Lucernie, w których uczestniczyli najlepsi jeźdźcy z Francji, Włoch, Niemiec czy Szwajcarii. Warunki były na wskroś nowoczesne. „Plac konkursowy, gęsto otoczony drzewami, zorganizowano w dzielnicy luksusowych hoteli, tuż przy ulicy. Dookoła biegły kryte trybuny dla widzów. Konkursy zgromadziły tłumy. Chwalono, że przeszkody – w dużej liczbie – rozmieszczono pomysłowo i umiejętnie, tak że koń zmuszony był do galopu, a nie do kręcenia się w kółko jak chomik w klatce" – opisują autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej".

Polacy zdobyli tam ponad połowę nagród, w tym dwie pierwsze. Podkreślano, że osiągnęli to, mimo że konie naszych zawodników prezentowały się mniej efektownie niż zwierzęta rywali. Dziadulski zaliczył też sytuacje mniej przyjemne, bo nowoczesność placu niekoniecznie sprawdziła się w trudnych warunkach: „Z powodu mżawki grunt stał się śliski i porobiły się bajora. Utrudniało to jazdę i precyzyjne branie przeszkód. W dodatku sam tor był niezwykle skomplikowany – biegł wężykiem i miał ostre zakręty, które konie musiały pokonywać w szybkim tempie. Nic też dziwnego, że porucznikowi Dziadulskiemu dwukrotnie zdarzył się wypadek, a mianowicie przy ostatnich przeszkodach, wskutek poślizgnięcia się, upadł z koniem, na szczęście nie odnosząc ani on, ani wierzchowiec poważniejszych obrażeń".

Zbiórka na wyjazd kawalerzystów na Olimpiadę

Mimo tych osiągnięć udział Polaków w olimpiadzie nie był pewny, a to z powodu braku pieniędzy na wyjazd. Zorganizowano więc społeczną zbiórkę funduszy na wyjazd jeźdźców na igrzyska. Okazała się ona popularna i zebrana kwota przewyższyła niemałą państwową subwencję.

Polscy sportowcy w czasie olimpiady w Paryżu długo nie potrafili zdobyć medalu. Czasopismo „Stadion" pisało: „zdawało się, że już nie zabłyśnie nic, gdy na kilka godzin przed zakończeniem ciągnących się tyle miesięcy Igrzysk, doczekaliśmy się na koniec i my, że nam promyk światły zajaśniał, że sztandar polski załopotał na maszcie olimpijskim".

Na zakończenie igrzysk odbywały się bowiem zawody jeździeckie – konkurs skoków na stadionie Colombes. „Konkursy hippiczne w Paryżu rozgrywano w formule czampionatu konia wojskowego. Oznacza to, że rywalizowano w konkursie tresury, wyścigu na dystansie 36 km w terenie i na torze wyścigowym z przeszkodami oraz w konkursie skoków. Na torze ustawiono 16 przeszkód, każdą innego typu... Nie był to łatwy dla koni parkur. Znajdował się na murawie boiska do piłki nożnej, a teren przed przeszkodami posypano grubą warstwą piasku, która utrudniała odskok. Ani jeden koń nie przejechał czysto, nawet zwycięzca miał sześć punktów karnych" – opisują autorki „Sportowców dla Niepodległej".

Ale udało się – przyjaciel Dziadulskiego Adam Królikiewicz zdobył brązowy medal! „Jak na debiut drużyny w zawodach olimpijskich wynik należy uważać za dobry, jeśli np. wziąć pod uwagę, że ekipy gospodarzy nie ukończyły w całości ani konkursu skoków, ani WKKW... Wynik uzyskany przez rtm. Królikiewicza jest oczywiście wybitny. Podawać to w wątpliwość mógłby chyba tylko ktoś, kto nie zdaje sobie sprawy, jak trudnym jest zdobycie medalu olimpijskiego, gdzie toczy się walka w najwyższym napięciu sił i nerwów" – pisało po latach pismo „Jeździec i Hodowca".

Sam Dziadulski na koniu Zefir zajął 6. miejsce w skokach drużynowych (poza nim startowali Adam Królikiewicz, Karol Rómmel i Kazimierz Szosland) oraz 28. miejsce w skokach indywidualnych.

Nonszalancja w dobrym stylu

Oficer i wybitny sportowiec ożenił się z rok młodszą od siebie Adelą Bohomolec, która urodziła się w 1897 roku w Rozentowie, majątku rodzinnym Bohomolców na terenie dzisiejszej Łotwy. Jak czytamy w Biuletynie Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku (listopad 1998 – marzec 1999), po „rewolucji październikowej" wydostała się ona wraz z rodziną do Polski, do Warszawy, gdzie zajęła się tłumaczeniem na język francuski arcydzieł literatury oraz korespondencjami dla „Revue de Paris", „Revue de Geneve" i „Revue des deux Mondes".

Dziadulski duży sukces sportowy odniósł w 1926 roku w czasie zawodów w Nicei, gdzie rywalizował z ekipami z Belgii, Hiszpanii, Portugalii, Szwajcarii, Włoch i Francji. Polacy zdobyli tam dziewięć nagród. „Dziadulski wykazał się szczególnie podczas konkursu myśliwskiego o Grand Prix Monako, na torze z 22 przeszkodami. Była to – jak twierdził dziennikarz – najładniej zdo-

eprasa.pl d637dc41e0

byta przez nas nagroda. Początkowo to Włosi prowadzili, Dziadulski zaś dosiadał konia pierwszy raz po stłuczeniu, i to z chorą nogą. Mimo to udało mu się uzyskać lepszy czas" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej".

Adam Królikiewicz w książce „Olimpijska szarża" opisywał: „Dziadulski wyróżniał się pewnego rodzaju (w dobrym stylu) nonszalancją, wygodnictwem, niemniej bardzo poprawną sylwetką i jazdą stosowaną raczej dla aplauzu niż na efekt zwycięstwa. Na zdobyciu nagrody mniej mu zależało".

W tym samym 1926 roku szwoleżer za swoje osiągnięcia otrzymał odznaczenie, tym razem nie bojowe, a pokojowe – Srebrny Krzyż Zasługi. W uzasadnieniu napisano: „Rotmistrz Z. Dziadulski przyjmując udział w międzynarodowych zawodach konnych w Nicei, Rzymie, Neapolu i Mediolanie w 1926 przyczynił się w znacznym stopniu, dzięki swej energii, umiejętności i pracy położonej w dziedzinie sportu konnego, do osiągnięcia wybitnych wyników przez ekipę polską za granicą, gdzie kawalerzyści polscy zyskali sympatię szerokich sfer społeczeństwa we Francji i we Włoszech, przyczyniając się w znacznym stopniu do propagandy Polski za granicą".

NKWD wkracza do akcji

We wrześniu 1939 roku Dziadulski został zmobilizowany. Piszę w „Nowym Państwie" często o pięknej karcie, jaką polscy sportowcy zapisali w tym czasie. Wynikała on z wychowania i wyznawanych przez nich wartości, w których pasja sportowa nieodmiennie łączyła się z patriotyzmem. Na 311 żyjących wówczas polskich olimpijczyków w kampanii wrześniowej walczyło aż 124.

Zdzisław Dziadulski otrzymał awans na stopień podpułkownika. We wrześniu 1939 roku został zastępcą dowódcy Warszawskiego Pułku Ułanów. Dowodził walkami pułku na Lubelszczyźnie, w tym w bitwie pod Krasnobrodem.

To była jedna z ostatnich bitew kawalerii w kampanii wrześniowej. Rotmistrz pułku, w wychodzącej gazecie „Żołnierz Polski w Drugiej Wojnie Światowej" nr 37/1942 r., opisywał ją tak: „Główną kolumnę prowadzi z-ca dowódcy pułku (ppłk Dziadulski). Idziemy szosą, ku rzece, przez szerokie płaskowyże. Nad rzeczką (dość bagnistą i tworzącą stawy) leży Krasnobród. Szosa idzie przez groblę na stawie i most... przed Krasnobrodem otrzymaliśmy wiadomość, że straż przednia przeszła groblę i bije się w lesie z Niemcami. Słychać strzały broni ręcznej i maszynowej. Pułk w szykach luźnych wchodzi na płaskowzgórze i zostaje ostrzelany przez artylerię nieprzyjacielską".

Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", Polakom udało się ukryć przed zmasowanym ogniem karabinów maszynowych i dotarli do pierwszych zagród miasta. Ostatecznie jednak potyczka zakończyła się niemal całkowitą zagładą szwadronu ułanów.

Po napaści Związku Sowieckiego na Polskę podjęta została decyzja, by ułani małymi grupami przedzierali się na Węgry. W nieznanych okolicznościach ppłk Dziadulski dostał się do sowieckiej niewoli. Trafił do obozu w Starobielsku. W 1940 roku wraz z innymi jeńcami został przewieziony do gmachu NKWD w Charkowie i rozstrzelany.

Kawaleria dla Polski tym, czym Marynarka dla Anglii

Jego żona miała więcej szczęścia – udało jej się wydostać do Paryża. W czasie wojny pracowała w emigracyjnym Ministerstwie Informacji, a po wojnie działała w Towarzystwie Historyczno-Literackim. „Była także wieloletnim, ofiarnym członkiem naszego Instytutu, któremu ofiarowała ciekawe dokumenty związane ze służbą ppłk Dziadulskiego" – czytamy w Biuletynie Instytutu Piłsudskiego w Nowym Jorku.

Po wojnie Adela tłumaczyła na francuski książkę Józefa Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi". Wyszła ponownie za mąż za Władysława Żeleńskiego, prawnika i dziennikarza, bratanka Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Żyła aż sto lat – zmarła 24 lipca 1997 roku. Po śmierci obojga małżonków będące w ich posiadaniu obrazy Czapskiego przekazane zostały Muzeum Narodowemu w Krakowie.

Nie jest tajemnicą, dlaczego legenda „beliniaków" zakazana była w czasach komunistycznych – pogromcy zarówno carskich, jak i bolszewickich Rosjan byli ostatnimi postaciami, które według okupacyjnej władzy poznawać powinna młodzież.

Po 1989 roku pojawiły się niezbyt liczne inicjatywy upamiętniające Zdzisława Dziadulskiego. W 2009 roku został on uhonorowany poprzez zasadzenie Dębu Pamięci przy Szkole Podstawowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Staniszewskiem na Podkarpaciu. Został mu poświęcony jeden z odcinków filmowego cyklu dokumentalnego „Epitafia katyńskie" z 2010 roku. Pojawił się wreszcie w obficie cytowanej serii „Polacy dla Niepodległej", nad którą patronat sprawuje europoseł Ryszard Czarnecki. I tyle póki co.

Wraz ze Zdzisławem Dziadulskim odeszły bezpowrotnie czasy, w których militarne znaczenie mieli kawalerzyści na koniach. Wacław Zbyszewski, wybitny emigracyjny publicysta, tak ocenił znaczenie tego faktu dla Polski: „My, Polacy, mamy specjalne powody, by żegnać konia ze wzruszeniem. Kawaleria była dla Polski tym, czym marynarka dla Anglii. Bez floty Anglia stała się własnym cieniem. Bez husarii i jej roli, Polska po raz drugi utraciła niepodległość". ■

eprasa.pl d637dc41e0

Dariusz Jarosiński

SIERPNIOWE CIENIE

Organizatorzy i uczestnicy strajku w Stoczni Gdańskiej nie przypuszczali nawet, że stając w obronie Anny Walentynowicz, poruszą całą Europę, że narodzi się wielki, prawie 10-milionowy ruch społeczny „Solidarność". Sierpniowe strajki uchyliły Polakom bramę do wolności, skruszyły system komunistyczny.

Historyczna ładowarka firmy Fadroma z tablicą z wypisanymi pierwszymi postulatami strajkujących 14 sierpnia 1980 roku. Stała przed Działem Socjalnym Stoczni Gdańskiej obok bramy nr 2. Przy niej rano 14 sierpnia zgromadziło się kilka tysięcy robotników. Przemawiała z niej m.in. Anna Walentynowicz.

Sala BHP Stoczni Gdańskiej, 31 sierpnia 1980 roku. Moment po podpisaniu tzw. porozumień sierpniowych. Wszyscy udają się w kierunku bramy nr 2. Na zdjęciu od lewej: Zenon Kwoka, delegat Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego (na strajku pełnił rolę sekretarza Lecha Wałęsy); NN, członek Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej; Gerard Bobrowski, członek KS SG; Mieczysław Jagielski, przewodniczący Komisji Rządowej i wiceprezes Rady Ministrów PRL; Lech Wałęsa, przewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego; NN, członek komisji rządowej. Wokół delegaci do MKS z różnych zakładów pracy z województwa gdańskiego.

FOT. ARCH. ZENONA KWOKI

Zapaść komunistycznej gospodarki sprawiła, że w lipcu 1980 roku przetoczyła się przez Polskę fala strajków i protestów. Demonstranci ograniczyli się do postulatów ekonomicznych. Sierpniowy strajk w Stoczni Gdańskiej różnił się od wcześniejszych tym, że zgłoszone zostały żądania godnościowe, i to już w pierwszej fazie protestu. Stoczniowcy domagali się przywrócenia do pracy zwolnionej 7 sierpnia za działalność opozycyjną w Wolnych Związkach Zawodowych Wybrzeża Anny Walentynowicz oraz budowy pomnika poległych w grudniu 1970 roku. Zgłosili również żądania materialne.

Czas opowiedzieć „o tych wypadkach"

W audycji radiowej Polskiego Radia sprzed roku pt. „Gdzie jest pan Cogito" Robert Kostro, historyk, mówił, że w sierpniu 1980 roku wydarzyło się coś, co w tamtym czasie nie miało prawa się zdarzyć. „Komunizm nie przewidywał czegoś takiego jak strajki, czegoś takiego jak wolne związki zawodowe, nie przewidywał czegoś takiego, jak ugoda władzy ze społeczeństwem, i nagle okazało się, że w czasie strajku powstała jakaś taka dynamika, że komuniści się wystraszyli. Ruch 1980 roku tym różnił się od poprzednich zrywów w 1956, 1970 czy 1976 roku, że ludzie nabrali nadziei, że coś się da zrobić" – mówił historyk.

Prawda o tym, co się wydarzyło 40 lat temu w Stoczni Gdańskiej, w sierpniu 1980 roku, jak rodziła się „Solidarność", wspólnota Polaków zatroskanych losem ojczyzny, jak tę wspólnotę później rozbijano, niszczono ludzi – z trudem przebija się do naszej świadomości. Przez kilkadziesiąt lat byliśmy karmieni propagandową papką założycieli III RP, „Gazety Wyborczej", TVN, filmów Andrzeja Wajdy. Od kilku lat główną rolę propagandową przejęło utworzone w Gdańsku Europejskie Centrum Solidarności.

Bohaterami sierpniowego strajku w Stoczni Gdańskiej, „Solidarności", mogli być w III RP jedyni ci, którzy wspierali układ z komunistami po roku 1989. Ci, którzy nie zdradzili sierpniowych ideałów „Solidarności", pozostali wierni swoim antykomunistycznym poglądom, zostali wypchnięci na obrzeża histo-

eprasa.pl d637dc41e0

rii i życia. Mogłaby powstać długa lista nazwisk osób zasłużonych dla naszej wolności, którzy dzielnie walczyli z komuną w latach 80., a w późniejszym czasie musieli znosić upokorzenia, często klepać biedę, kiedy komuniści uwłaszczali się za grosze na majątku państwowym.

Wielu z nas słuchającym strajkowej pieśni „Piosenka dla córki" przechodzą ciarki po plecach. „Nie mam teraz czasu dla ciebie / Nie widziała cię długo matka / Jeszcze trochę poczekaj, dorośnij / Opowiemy ci o tych wypadkach". Córka już dorosła i czas najwyższy opowiedzieć „o tych wypadkach". Ta nasza opowieść, czerpana z różnych źródeł, wypowiedzi uczestników strajku, jest niestety ciągle pełna luk. Do tej pory nie powstała na temat strajku rzetelna monografia naukowa. Polskim historykom brakuje najwyraźniej odwagi, by napisać książkę, która odsłoniłaby wszystkie kulisy sierpniowych dni w stoczni, które mają swoje konsekwencje do dzisiaj. Chcemy, żeby świat znał naszą historię, historię wielkiego ruchu „Solidarności", a sami nie potrafimy opowiedzieć w sposób uczciwy o swoich losach.

„W opublikowanym w 2012 roku artykule »Solidarność jako Nieciekawość« Krzysztof Wyszkowski, współzałożyciel Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, pytał: »Czy wiemy, jak wybuchł strajk? Czy to tak trudny temat, że nauka polska boi się go i poprzestaje na bezkrytycznym przyjęciu stwierdzenia Borusewicza, że strajk zorganizowało pięciu ludzi – on sam, Jerzy Borowczak, Bogdan Felski, Ludwik Prądzyński i Lech Wałęsa?«.

Przez lata stworzono historię fałszywą i zakłamaną do tego stopnia, że nie próbujemy nawet tego kłamstwa kontestować, mimo że coraz częściej widzimy i czujemy jego absurd. Tymczasem wykazanie fałszu tej prymitywnej propagandy nie wymaga nawet głębokiej znajomości tematu. Wystarczy szablon zupełnie podstawowej logiki użyty do porównania wciskanych nam od lat kłamstw, aby zauważyć ich całkowity bezsens" – pisał w artykule „Jak doszło do sierpniowego strajku, czyli oddzielmy prawdę od kłamstwa" Lech Zborowski, który brał udział w przygotowaniach do strajku w sierpniu 1980 roku.

▶ Jak się zaczęło?

W pierwszej bodaj wydanej książkowej publikacji o strajku „Gdańsk. Sierpień 80" autorstwa Wojciecha Giełżyńskiego i Lecha Stefańskiego (Książka i Wiedza, Warszawa 1981) dziennikarze, którzy obserwowali strajk, piszą: „Nie byliśmy na samym początku strajku w Stoczni im. Lenina. Co więcej – nie spotkaliśmy człowieka, chyba zresztą takiego nie ma, który

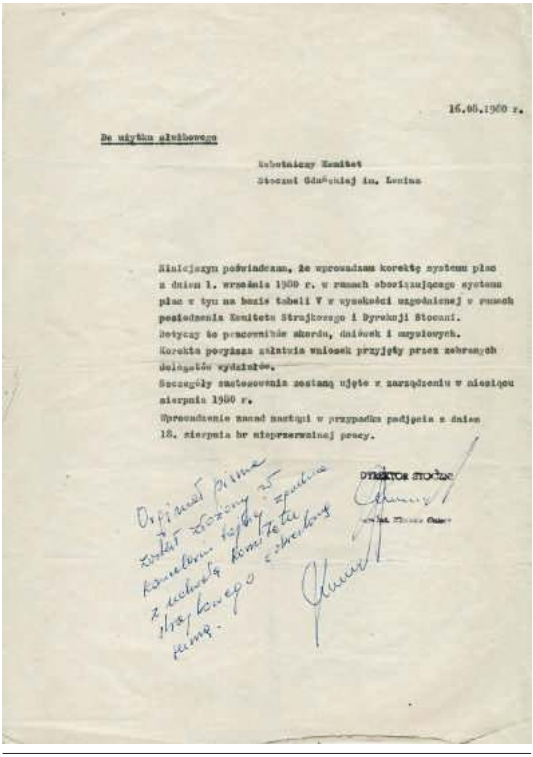

16.08.1980 r.

Do użytku służbowego

Robotniczy Komitet
Stoczni Gdańskiej im. Lenina

Niniejszym poświadczam, że wprowadzam korektę systemu płac z dniem 1. września 1980 r. w ramach obowiązującego systemu płac z tym na bazie tabeli V z wysokości uzgodnionej w ramach postanowienia Komitetu Strajkowego i Dyrekcji Stoczni.
Dotyczy to pracowników akordu, dniówek i zmianowych.
Korekta powyższa uzależnia wniosek przyjęty przez zebranych delegatów wydziałów.
Szczegóły zastosowania zostaną ujęte w zarządzeniu w miesiącu sierpniu 1980 r.
Uprawnienie nabędą następni w przypadku podjęcia z dniem 18. sierpnia br nieprzerwanej pracy.

DYREKTOR STOCZNI

Otrzymał pismo Komitet Stoczni im. Lenina. Komitet tego pisma z uchwałą komitetu strajkowego o zakończeniu strajku.

Porozumienie zawarte między dyrektorem Stoczni Gdańskiej im. Lenina Klemensem Gniechem a Komitetem Strajkowym. Po otrzymaniu tego dokumentu Lech Wałęsa ogłosił zakończenie strajku.

by całkiem mógł opowiedzieć, jak to się właściwie zaczęło".

W książce Piotra Zaremby „Młodopolacy. Historia Ruchu Młodej Polski. Gdańsk 2000" znajdujemy opowieść:

„[...] 8 sierpnia Piotr Dyk urządził przyjęcie. – Tam byli wszyscy: młodopolacy, wuzetzetowcy, korowcy, Wałęsa – pamięta Krzysztof Wyszkowski. Aram Rybicki przypomina, że w tym samym mieszkaniu odbył się zjazd ROPCiO od początku do końca podsłuchiwany przez generała Andrzejewskiego, wojewódzkiego komendanta MO. – Nie ulega wątpliwości, że mieszkanie było na podsłuchu – przyznaje Rybicki.

A jednak...Właśnie na tym przyjęciu zapadła decyzja o zorganizowaniu strajku w gdańskiej stoczni. Bezpośrednią przyczyną było ostateczne zwolnienie z pracy Anny Walentynowicz – dyrekcja stoczni nie zastosowała się do wyroku sądu pracy. – To się działo w gronie ludzi WZZ, między Bogdanem Borusewiczem, Jerzym Borowczakiem, Lechem Kaczyńskim, Lechem Wałęsą – wspomina Aram Rybicki. – A że

eprasa.pl d637dc41e0

w mieszkaniu lepiej było nie rozmawiać, najważniejsze ustalenia zapadały na schodach i na podwórku.

Młodopolacy wiedzieli ogólnikowo, że w stoczni ma się coś stać. [...] Lech Wałęsa, wówczas trzydziestosiedmioletni, był – słusznie pisze o tym Barbara Szczepuła w szkicu poświęconym Wolnym Związkom Zawodowym – przywódcą trochę z przypadku, bez doświadczenia i elementarnej wiedzy o świecie".

Od wielu lat o prawdę o strajku, o „Solidarności" upominają się działacze Wolnych Związków Zawodowych – Krzysztof Wyszkowski, Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Lech Zborowski, Andrzej Karandziej, Andrzej Bulc. To o nich dwa lata temu mówił na spotkaniu dr Jarosław Szarek, prezes IPN: „Nie byłoby wolności i »Solidarności« bez was, bez waszej odwagi i wysiłku. Wy, ludzie Wolnych Związków Zawodowych, byliście pierwszą kompanią kadrową tej walki (walki o niepodległość). Była idea, ale wy tę ideę przekuliście w czyn. Byliście garstką, ale porwaliście setki tysięcy, a później miliony ludzi".

14 sierpnia o godzinie 5 rano działacze WZZ zaczęli prowadzić akcję ulotkową w kolejkach elektrycznych, na dworcach PKP, na przystankach autobusowych, tramwajowych. Rozdawali jadącym do pracy ludziom druczki, które miały przekonać ich do tego, by stanęli w obronie zwolnionej z pracy Anny Walentynowicz.

▶ Fałszowanie historii

O godzinie 6 rano Lech Prądzyński, Bogdan Felski i Jerzy Borowczak przystąpili do organizacji strajku w stoczni, poszczególne wydziały wyłoniły przedstawicieli do Komitetu Strajkowego. O godzinie 6 rano miał się też pojawić w stoczni Lech Wałęsa, ale się nie pojawił. O 7 rano zebrał się już kilkutysięczny tłum robotników przy bramie nr 2. Do stoczni samochodem dyrektora została przywieziona przez stoczniowców Piotra Maliszewskiego i Bogdana Felskiego Anna Walentynowicz, w obronie której przerwali pracę. „Wjeżdżamy do stoczni. Serce podchodzi mi do gardła. Widzę nieprzebrane tłumy. Stoi koparka [była to w istocie ładowarka – przyp. D.J.]. Ludzie chcą mnie widzieć. Wdrapuję się na dach koparki. Ktoś podaje mi bukiet róż. Stoję z różami na koparce i widzę morze głów. Na transparencie ze spilśnionej płyty wypisane kredą słowa: »Przywrócić Annę Walentynowicz do pracy, 1000 złotych dodatku drożyźnianego«. Chcę coś powiedzieć, ale nie mogę. Kręci mi się w głowie.

Lech Wałęsa przybył do stoczni nieoczekiwanie około godziny jedenastej, kiedy strajk już trwał od kilku godzin i działał Komitet Strajkowy. Dyrektor stoczni, Klemens Gniech, przyjął propozycję niepracującego od roku w stoczni Wałęsy, by ten brał udział w negocjacjach w sprawach wewnętrznych stoczni. Nie sposób nie zadać choćby kilku pytań. Dlaczego dyrektor Gniech, człowiek z dużym doświadczeniem życiowym, dyrektorskim, ongiś, w grudniu 1970 roku, członek komitetu strajkowego, bez żadnych oporów zaakceptował wyrzuconego z pracy Wałęsę jako przedstawiciela załogi stoczni do rozmów? Dlaczego Wałęsa nie zjawił się o godzinie szóstej rano w stoczni, skoro miał zdaniem Borusewicza poprowadzić strajk? W jaki sposób dostał się na teren stoczni? Dlaczego tak często zmieniał powody prawie pięciogodzinnego spóźnienia, a także miejsca pokonania muru stoczni. Przedziwne podawał powody spóźnienia – bo urodziło mu się dziecko i musiał je zarejestrować, innym razem, że wstąpił do sąsiada na kawę, jeszcze innym razem, że żona »naszemu narodowemu bohaterowi« kazała posprzątać pokój. – Wałęsa nie mógł znaleźć się w stoczni bez zgody bezpieki – uważa Lech Zborowski.

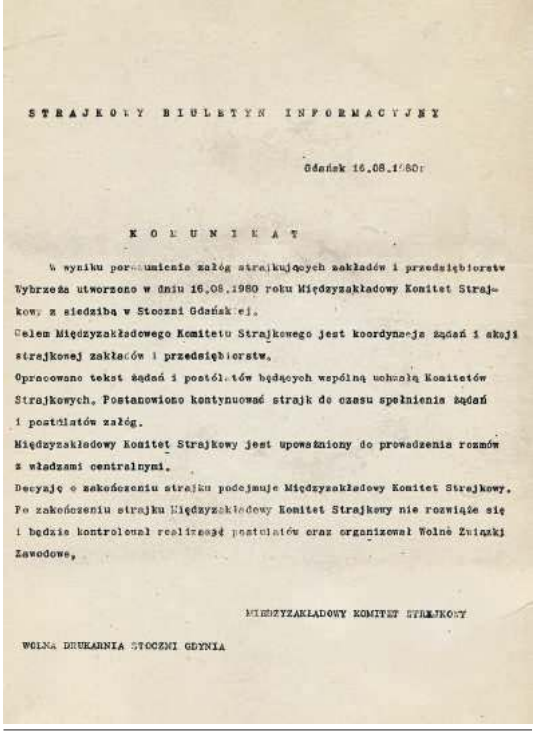

STRAJKOWY BIULETYN INFORMACYJNY

Gdańsk 16.08.1980r

KOMUNIKAT

W wyniku porozumienia załóg strajkujących zakładów i przedsiębiorstw Wybrzeża utworzono w dniu 16.08.1980 roku Międzyzakładowy Komitet Strajkowy z siedzibą w Stoczni Gdańskiej.

Celem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego jest koordynacja żądań i akcji strajkowej zakładów i przedsiębiorstw.

Opracowano tekst żądań i postulatów będących wspólną uchwałą Komitetów Strajkowych. Postanowiono kontynuować strajk do czasu spełnienia żądań i postulatów załóg.

Międzyzakładowy Komitet Strajkowy jest upoważniony do prowadzenia rozmów z władzami centralnymi.

Decyzję o zakończeniu strajku podejmuje Międzyzakładowy Komitet Strajkowy.

Po zakończeniu strajku Międzyzakładowy Komitet Strajkowy nie rozwiąże się i będzie kontrolował realizację postulatów oraz organizował Wolne Związki Zawodowe.

MIĘDZYZAKŁADOWY KOMITET STRAJKOWY

WOLNA DRUKARNIA STOCZNI GDYNIA

Pierwszy komunikat Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego wydrukowany w formie ulotki w Wolnej Drukarni Stocznia Gdynia 16 sierpnia 1980 roku. Autorem tekstu jest Zenon Kwoka, delegat WPK Gdynia, sekretarz Lecha Wałęsy na strajku sierpniowym.

FOT. ARCH. ZENONA KWOKI

eprasa.pl d637dc41e0

Wałęsa nie musiał przeskakiwać żadnego płotu czy muru, mógł wejść swobodnie choćby przez bramę nr 2. Stoczniowiec Marek Krówka zorganizował już wcześnie rano robotniczą straż, która obstawiła m.in. bramy stoczni. Wobec krętactw Wałęsy z przeskakiwaniem muru, najbardziej prawdopodobna wydaje się wersja, że został on przywieziony na strajk motorówką marynarki wojennej. Pierwsza powiedziała o tym publicznie Anna Walentynowicz. Informację tę uzyskała od Tadeusza Fiszbacha, ówczesnego I sekretarza KW PZPR w Gdańsku. Wałęsa przyparty do muru miał powiedzieć w czasie konfrontacji, że motorówką płynął jego sobowtór.

W 2013 roku w restauracji Amber Room została nagrana rozmowa między nieżyjącym już Janem Kulczykiem i Leszkiem Millerem. Jej treść przytoczył w tym roku w lutym portal tvp.info. Dowiadujemy się z niej, że film Wajdy „Człowiek z nadziei" miał na celu wzmocnienie słabnącej pozycji Wałęsy, aby uwiarygodnić go w atakach na Jarosława Kaczyńskiego. „»Lech Wałęsa nie skakał przez żaden płot; on mówi, że przeszedł boczną bramą, a mi nieżyjący już komandor Marynarki Wojennej mówił, że tak naprawdę to go przywieźli« – ujawnił były premier Leszek Miller, podkreślając, że jest pewny tej informacji" – podał portal tvp.info.

Lech Wałęsa był traktowany instrumentalnie przez środowisko polityczne Adama Michnika i Bronisława Geremka, do którego należał Andrzej Wajda. Film „Człowiek z nadziei" jest filmem fabularnym, ale opartym na historycznych wydarzeniach. Wajda posunął się daleko w zafałszowaniu historii. Między innymi z tramwajarki, łamistrajka, Henryki Krzywonos, którą w filmie zagrała Dorota Wellman z TVN, uczynił w filmie narodową bohaterkę. Henryka Krzywonos miała zastąpić w historii wspaniałą kobietę, rzeczywistą bohaterkę, Annę Walentynowicz.

Kariera Krzywonos zaczęła się 30 sierpnia 2010 roku, kiedy na uroczystym Zjeździe „Solidarności" w Gdyni zaatakowała w sposób chamski Jarosława Kaczyńskiego, prezesa Prawa i Sprawiedliwości. „Jestem sygnatariuszką porozumień sierpniowych. To ja zatrzymałam komunikację w Gdańsku" – tak rozpoczęła swoje wystąpienie. Bardzo szybko media głównego ścieku podchwyciły jej wypowiedź i zrobiły z niej bohaterkę. Została „Kobietą Roku 2010" „Twojego Stylu", tygodnik „Przekrój" dał okładkę z Krzywonos stylizowaną na Matkę Boską piastującą logo „Solidarności"; tygodnik „Wprost" nie mógł być gorszy, zatytułował swoją okładkę „Henia Solidarność" – w sposób prostacki nawiązujący do bohaterskiej „Anny Solidarność", czyli Anny Walentynowicz. To wówczas, na łamach m.in. redagowanego przeze mnie miesięcznika „Debata", Zenon Kwoka, jeden ze współorganizatorów strajku w Wojewódzkim Przedsiębiorstwie Komunikacji w Gdańsku, współorganizator wielkiego strajku w Stoczni Gdańskiej, wyjaśniał, że Krzywonos mimo ogłoszonego strajku okupacyjnego wyjechała tramwajem z Nowego Portu, a jej tramwaj zatrzymał się przy Operze, bo został wyłączony prąd. Była po prostu łamistrajkiem. Strajkujący wygrażali jej tramwajowi. Wkrótce po zakończeniu protestu w stoczni Krzywonos została odwołana z funkcji delegata do Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego „Solidarności". Krzywonos jest od kilku lat aktywną działaczką KOD-u, posłanką PO, bywalczynią warszawskich salonów.

Strajk nazywany wielkim

W istocie w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 roku mieliśmy dwa strajki. Ten pierwszy był strajkiem wewnętrznym stoczniowców, ale dzięki działaczom WZZ, a także dzielnym dziewczynom, kobietom oraz przywódcom strajkujących zakładów Trójmiasta, przerodził się w strajk solidarnościowy – nazywany też wielkim, który zmienił historię Polaków i naszej części Europy. 16 sierpnia, w sobotę, dokładnie o godzinie 14.17 Wałęsa ogłosił publicznie przez radiowęzeł decyzję Komitetu Strajkowego o zakończeniu strajku. Dyrektor stoczni Klemens Gniech zapewnił, że anulowane zostało rozwiązanie umowy o pracę z Anną Walentynowicz, każdy pracownik miał otrzymać 1500 złotych podwyżki, a Tadeusz Fiszbach, sekretarz KW PZPR, dał gwarancję, że robotnicy nie będą szykanowani. Na koniec swego wystąpienia Wałęsa poprosił stoczniowców o wytężoną pracę, aby nadrobili zaległości, które powstały w wyniku strajku. Po czym zaintonował hymn Polski. Nikt mu nie towarzyszył, śpiewał sam. Żałośnie brzmiał hymn w jego wykonaniu wydobywający się z głośników stoczniowego radiowęzła. Potok robotników ruszył w kierunku bram stoczni.

Pracownicy zakładów Trójmiasta strajkujących w imię solidarności ze stocznią byli oburzeni, że Wałęsa zadbał jedynie o sprawy stoczni i zakończył strajk. Na szczęście nie wszyscy stoczniowcy opuścili miejsce pracy, nie wszyscy zgadzali się z decyzją Wałęsy. Do solidarności ze strajkującymi nawoływali działacze WZZ. Do akcji ruszyły też kobiety: Alina Pienkowska, Anna Walentynowicz, Maryla Płońska, Ewa Ossowska. Wymusiły na strażnikach zamknięcie bram. W stoczni pozostało 800 robotników. Wieczorem 16 sierpnia zebrali się delegaci komitetów strajkowych z wiodących zakładów Trójmiasta i proklamowali Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Tak rozpoczął się nowy strajk – solidarnościowy.

eprasa.pl d637dc41e0

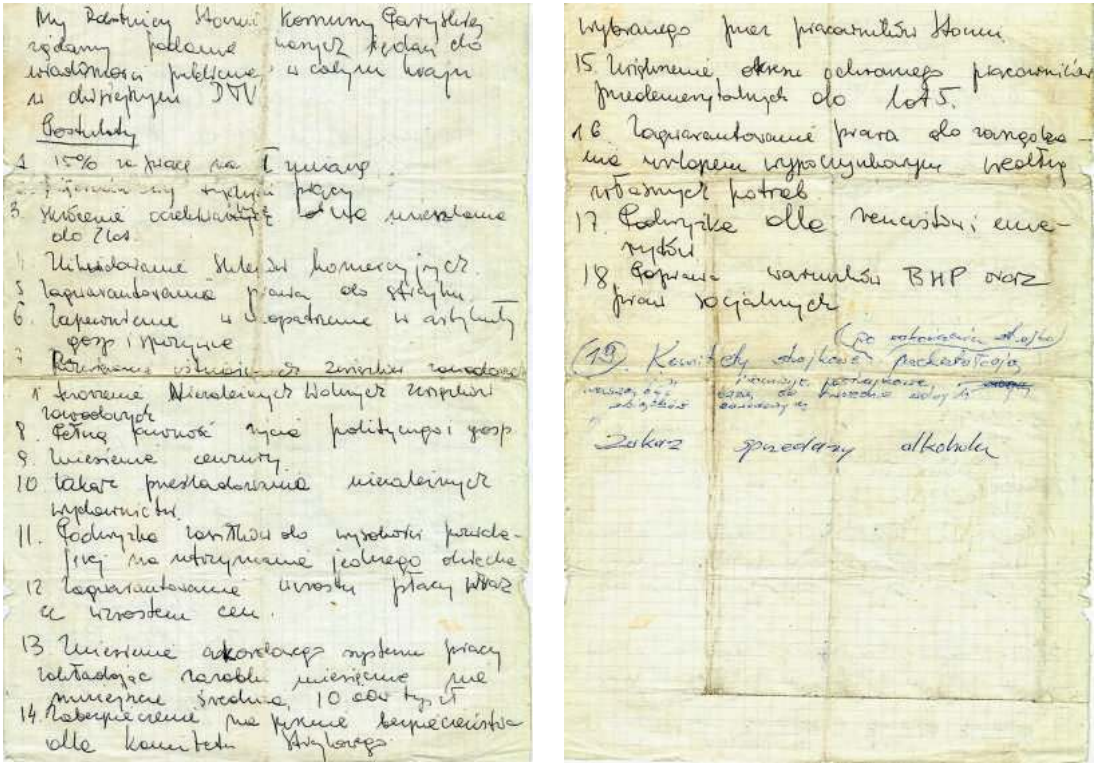

My załoga Stoczni Komuny Paryskiej żądamy podania wyników badań do wiadomości publicznej w całym kraju w dzienniku TV

Postulaty

1. 15% na płace na 1 miesiąc
2. Jawność zasady tworzenia płacy
3. Wrócenie odwołanych do pracy do 2 lat
4. Likwidacja Służby Bezpieczeństwa
5. Zagwarantowanie prawa do strajku
6. Zaprzestanie represji politycznych
7. Przywrócenie wolnych związków zawodowych
8. Tworzenie Niezależnych Związków Zawodowych
9. Pełna jawność życia politycznego i gosp.
10. Zniesienie cenzury
11. Zakaz prześladowania niezależnych wydawnictw
12. Podwyżka zasiłku do wysokości przeciętnej na utrzymanie jednego dziecka
13. Zagwarantowanie wzrostu płacy wraz z wzrostem cen
14. Uniesienie zdezorganizowanego systemu pracy
15. Wypłacanie zarobku miesięcznie nie mniejszego średnio 10 dni tygodnia
16. Zabezpieczenie na życie bezpieczeństwa dla komitetu wybranego
17. Wybranego przez pracowników Stoczni
18. Uchylenie okresu odbywanego pracowników przedemerytalnych do lat 5.
19. Zagwarantowanie prawa do zarządzania urlopem wypoczynkowym według własnych potrzeb
20. Podwyżka dla rencistów i emerytów
21. Poprawa warunków BHP oraz praw socjalnych
22. (po ustanowieniu strajku) Komitety strajkowe przekształcają się w komisje postrajkowe i będą stanowić bazę do tworzenia WZZ
23. Zakaz sprzedaży alkoholu

Odręcznie spisane postulaty strajkujących stoczniowców gdyńskich 15 sierpnia 1980 roku, przedyskutowane z delegatami innych zakładów gdyńskich. Zenon Kwoka, pracownik WPK, dopisał 19. postulat mówiący o tym, że komitety strajkowe po zakończeniu strajku przekształcą się w komisje postrajkowe i będą stanowić bazę do tworzenia WZZ. Z tymi postulatami Zenon Kwoka udał się do Stoczni Gdańskiej 16 sierpnia.

FOT. ARCH. ZENONA KWOKI

Zenon Kwoka w 1980 roku miał 26 lat. Pracował w Zakładzie Komunikacji Miejskiej w Gdyni, będącym częścią Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacji w Gdańsku. Przed sierpniem 1980 roku nie był działaczem opozycji. 15 sierpnia po rozwiezieniu pracowników do zakładów pracy około godziny 11 rozpoczął się strajk okupacyjny, Zenon stał się jednym ze współorganizatorów.

– Delegaci wszystkich zakładów Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Komunikacji zebrali się 15 sierpnia w Zajezdni we Wrzeszczu – opowiada Zenon Kwoka. – Przyjechał do nas m.in. Włodzimierz Koenig, wicewojewoda gdański, Jan Zdancewicz, dyrektor WPK Gdańsk, Kordian Borejko, dyrektor Wojewódzkiego Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Gdańsku. Obiecali nam, że jeżeli komunikacja przystąpi do pracy w niedzielę 17 sierpnia, to każdy z pracowników otrzyma co najmniej 2 tysiące złotych podwyżki. Myśmy tych pieniędzy nie przyjęli w imię solidarności ze stocznią. W nocy z piątku na sobotę przyjechał do mnie do zajezdni autobusowo-trolejbusowej w Gdyni Bogdan Borusewicz w ubraniu stoczniowca, w żółtym kasku. Umówiliśmy się, że „WPK nie zakończy strajku bez stoczni, a stocznia bez WPK". Borsuk jednak nie dotrzymał umowy. Moim zdaniem należałoby dokładnie wyjaśnić rolę Borusewicza w czasie strajków sierpniowych, jak też w późniejszym okresie, kiedy kierował podziemną „Solidarnością" w Gdańsku po wprowadzeniu stanu wojennego. Wydarzenia związane ze strajkiem nie zostały do dzisiaj zbadane – wspomina Zenon Kwoka.

Po zakończeniu strajku przez Wałęsę 16 sierpnia, w stoczniowej sali BHP zebrali się delegaci z 21 komitetów strajkowych trójmiejskich zakładów. W gronie delegatów znalazł się też Zenon Kwoka. Tym razem to nie Borusewicz czy Wałęsa decydowali o dalszej strategii. Nie można było zawieść zaufania ludzi, którzy prowadzili strajki okupacyjne. Ukonstytuowany został Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Zenon Kwoka był autorem pierwszego komunikatu sygnowanego 16 sierpnia 1980 roku przez Międzyzakładowy Komi-

eprasa.pl d637dc41e0

tet Strajkowy. Do dzisiaj przechowuje brudnopis tego dokumentu. W komunikacie znalazło się żądanie utworzenia Wolnych Związków Zawodowych: „Po zakończeniu strajku MKS nie rozwiąże się i będzie kontrolował realizację postulatów oraz organizował Wolne Związki Zawodowe". Komunikat kolportowany był w formie ulotki. W bezsenną noc z 16 na 17 sierpnia członkowie MKS spisali 21 postulatów strajkowych. W niedzielę rano maszynistka przepisała postulaty na maszynie. To owe postulaty stały się umową społeczną zawartą 31 sierpnia między komunistami a Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym.

17 sierpnia rano zaczął się faktycznie wielki strajk. O godzinie 9 została odprawiona na terenie stoczni Msza święta. Wzięło w niej udział 6 tysięcy wiernych. Po Mszy przy bramie nr 2, gdzie w roku 1970 wojsko strzelało do robotników, stoczniowcy postawili krzyż i zbudowali ołtarz polowy. Niemal z każdą godziną do MKS-u przystępowały nowe zakłady, instytucje.

– Wałęsa przyszedł gdzieś około godziny 3 nad ranem do sali BHP – wspomina Zenon Kwoka. – Myśmy siedzieli już od wielu godzin i dyskutowali o postulatach. Mnie przypadła w czasie strajku rola sekretarza Wałęsy. Od wielu lat nie rozmawiamy ze sobą, nie spotykamy się. Najtrudniejszym do wynegocjowania punktem w czasie strajku był punkt, że Wolne Związki Zawodowe będą zakładane przez komitety strajkowe. W porozumieniu znalazł się zapis, że „mogą być zakładane". Ja optowałem za tym, żeby to były Wolne Związki Zawodowe, a nie Niezależne Samorządne Związki Zawodowe. 17 września 1980 roku naciskaliśmy z kolegami, m.in. z Jankiem Samsonowiczem, by koniecznie dodać człon „Solidarność", bo powstało dużo NSZZ w ramach OPZZ. Czerwoni chcieli przechwycić tę nazwę. To 17 września powstała *de facto* „Solidarność", w stoczni powstał NSZZ, a nie „Solidarność". Jak wiesz, były próby rozbicia MKS-u, piszą o tym Giełżyński i Stefański w książce „Gdańsk. Sierpień 80". 19 sierpnia wicepremierowi Tadeuszowi Pyce udało się wyrwać 17 zakładów z MKS-u. Pyka chciał podpisać w Sali Herbowej Urzędu Wojewódzkiego zobowiązanie do spełnienia wygórowanych nawet żądań płacowych, odrzucał zaś postulaty polityczne, przede wszystkim utworzenie Wolnych Związków Zawodowych. Po nieudanym manewrze Pyka wyjechał ze stoczni. Gdybyśmy wówczas my z WPK przyłączyli się do tych z Sali Herbowej, strajk by padł i historia potoczyłaby się inaczej. Wielki strajk dzięki ludziom z MKS-u wymknął się służbom spod kontroli – wspomina Zenon Kwoka.

Po 1989 roku mężczyzna nie poszedł do polityki. Zajął się wyjaśnianiem zbrodni dokonanych przez SB na opozycjonistach, m.in. Tadeuszu Szczepań-

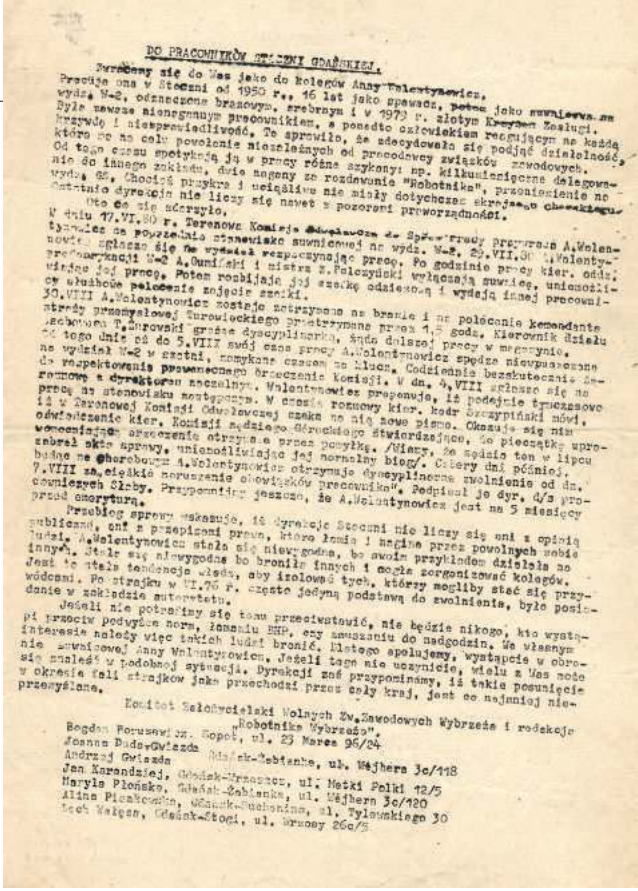

DO PRACOWNIKÓW STOCZNI GDAŃSKIEJ.

Zwracamy się do Was jako do kolegów Anny Walentynowicz. Pracuje ona w Stoczni od 1950 r., 16 lat jako spawacz, potem jako suwnicowa na wydz. W-2, odznaczona brązowym, srebrnym i w 1973 r. złotym Krzyżem Zasługi. Była zawsze nieugiętnym pracownikiem, a ponadto człowiekiem reagującym na każdą krzywdę i niesprawiedliwość. To sprawiło, że zdecydowała się podjąć działalność, która ma na celu powołanie niezależnych od pracodawcy związków zawodowych. Od tego czasu spotykają ją w pracy różne szykany: np. kilkusiecinczne delegowanie do innego zakładu, dwie nagany za rozdawanie "Robotnika", przeniesienie na wydz. G5. Chociaż prawie i uciążliwe nie zdały dotychczas skrajnego charakteru. Ostatnio dyrekcja nie liczy się nawet z pozorami praworządności.

Oto co się zdarzyło.

W dniu 17.VI.80 r. Terenowa Komisja Międzyzakładowa do Spraw Pracy przyznała A.Walentynowicz na poprzednie stanowisko suwnicowej na wydz. W-2. 23.VII.80 A.Walentynowicz zgłasza się na wydział rozpoczynając pracę. Po godzinie pracy kier. oddz. produkcyjnej W-2 A.Gumiński i mistrz Z.Pełczyński wyłączają suwnicę, uniemożliwiając jej pracę. Potem rozbijając jej szafkę odzieżową i wysyłają innej pracownicy słuchowe polecenie zajęcia szafki.

30.VIII A.Walentynowicz zostaje zatrzymana na bramie i na polecenie komendanta strefy przemysłowej Gurowieckiego przetrzymana przez 4,5 godz. Kierownik działu technicznego T.Żurowski grozi dyscypliną, kiedy dalszej pracy w magazynie. Od tego dnia od do 5.VIII swój czas pracy A.Walentynowicz spędza niewpuszczana na wydział W-2 w szatni, zamknięta czasem na klucz. Codziennie bezskutecznie zgłasza się do respektowania prawomocnego orzeczenia komisji. W dn. 4.VIII zgłasza się do pracy na stanowisku montażowym. W czasie rozmowy kier. kadr Szczypiński mówi, że w Okręgowej Komisji Odwoławczej zmienił się nowe pismo. Okazuje się nim odwołanie kier. Komisji sądzącej orzeczenie otrzymane przez powyżej. /Wiecz, że sądzie ten w lipcu wnosząc orzeczenie stwierdzające, że pieczątka uprawnia ne chorobowym A.Walentynowicz otrzymuje dyscyplinarne zwolnienie od dn. 7.VIII za ciężkie naruszenie obowiązków pracownika". Podpisał je dyr. d/s przyzakładowej Służby. Przypomnijmy jeszcze, że A.Walentynowicz jest na 5 miesięcy przed emeryturą.

Przebieg sprawy wskazuje, iż dyrekcja Stoczni nie liczy się ani z opinią publiczną, ani z przepisami prawa, które łamie i nagina przez powołanych sobie ludzi. A.Walentynowicz stała się niewygodna, bo swoim przykładem działała na innych. Stała się niewygodna bo broniła innych i mogła zorganizować kolegów. Jest to stała tendencja władz, aby izolować tych, którzy mogliby stać się przywódcami. Po strajku w VI.70 r. często jedyną podstawą do zwolnienia, było posiadanie w zakładzie autorytetu.

Jeżeli nie potrafimy się temu przeciwstawić, nie będzie nikogo, kto wystąpi przeciw podwyżce norm, łamaniu BHP, czy zmuszaniu do nadgodzin. We własnym interesie należy więc takich ludzi bronić. Dlatego apelujemy, wystąpcie w obronie zwolnionej Anny Walentynowicz. Jeżeli tego nie uczynicie, wielu z Was może się znaleść w podobnej sytuacji. Dyrekcji zaś przypominamy, iż takie posunięcie w okresie fali strajków jaka przechodzi przez cały kraj, jest co najmniej nieprzyzwoite.

Komitet Międzyzakładowy Wolnych Zw.Zawodowych Wybrzeża i redakcja „Robotnika Wybrzeża".

Bogdan Borusewicz, Sopot, ul. 23 Marca 96/24
Joanna Duda-Gwiazda
Andrzej Gwiazda
Jan Karandzieja, Gdańsk-Oliwa, ul. Wejhera 3c/118
Maryla Płońska, Gdańsk-Żabianka, ul. Matki Polki 12/5
Alina Pieńkowska, Gdańsk-Zaspa, ul. Wejhera 3c/120
Lech Wałęsa, Gdańsk-Stogi, ul. Kruczej 26a/5

Ulotka w obronie zwolnionej ze Stoczni Gdańskiej Anny Walentynowicz. Drukowana trzy dni przed strajkiem sierpniowym przez Piotra Kapczyńskiego, Macieja Kapczyńskiego i śp. Zbigniewa Nowka. Kolportowana 14 sierpnia wcześnie rano, wśród ludzi jadących do pracy kolejką SKM oraz przed Stocznią Gdańską – przez działaczy WZZ i SKS, m.in. Leszka Zborowskiego, Jana Karandzieja, Tomasza Wojdakowskiego, Kazimierza Żabczyńskiego i Sylwestra Niezgodę.

skim, 20-letnim działaczu Wolnych Związków Zawodowych, Janie Samsonowiczu, współzałożycielu Ruchu Młodej Polski. W Wigilię Bożego Narodzenia ubiegłego roku sędzia Lidia Żabczyńska umorzyła sprawę o bestialskie pobicie Zenona Kwoki w czasie pacyfikacji stoczni w grudniu 1981 roku po wprowadzeniu stanu wojennego. Bili go wyżsi oficerowie Milicji Obywatelskiej ze Szkoły Oficerskiej w Szczytnie. Do dzisiaj nie wiadomo z imienia i nazwiska, kto pacyfikował Stocznię Gdańską, kto był dowódcą, kto wydawał rozkazy.

▶ Bo Wałęsa sobie nie życzył

Już we wrześniu 1980 roku Wałęsa zaczął realizować plan wycinania niewygodnych mu ludzi.

eprasa.pl d637dc41e0

Z MKZ została usunięta Anna Walentynowicz, od której zaczęła się historia „Solidarności", nowa historia Polski. Kilka lat temu rozmawiałem z Ewą Kubasiewicz, dzielną kobietą, która po wprowadzeniu stanu wojennego zorganizowała w Wyższej Szkole Morskiej strajk okupacyjny, chcąc zaprotestować przeciwko bezprawiu komunistów. Przeszła do historii Polski jako symbol represji stanu wojennego. Dostała wyrok 10 lat więzienia, najwyższy wyrok stanu wojennego.

– Byłam dumna, że już w I turze wyborów weszłam do Zarządu Regionu „Solidarności" – pewnie liczył się tu mój udział w WZZ. Szybko zorientowałam się, że w tym Zarządzie Regionu nie da się nic zrobić, bo cokolwiek Zarząd przegłosował, a nie odpowiadało to Wałęsie, szło to do szuflady. Bo Wałęsa sobie nie życzył. Cała prasa była w rękach Ruchu Młodej Polski – cenzura była potworna. Przeforsowaliśmy na Zarządzie Regionu, żeby stworzyć wolną prasę, nawet zostałam włączona do redakcji, ale nigdy do niczego nie doszło, nie mogłam sobie na nic pozwolić. Kiedy urządzono nagonkę na Anię Walentynowicz, powołaliśmy siedmioosobową komisję, w której było troje prawników, m.in. była też Ania Kurska [matka Jacka i Jarosława Kurskich – przyp. D.J.], ażeby zbadać zasadność zarzutów, jakie Wałęsa miał przeciwko Annie Walentynowicz. Zarzuty okazały się wierutną bzdurą, przegłosowaliśmy zatem, aby opublikować wyniki niezależnego raportu. Kiedy zaczęto ten raport drukować, wpadła bojówka z pałami – drukarze zostali pobici, matryce poniszczone, podeptane i raport się nie ukazał. W tej sytuacji ja, która byłam wiceprzewodniczącą „Solidarności" w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni i osobą odpowiedzialną za wydawnictwa, doprowadziłam do wydrukowania tego raportu w mojej uczelni – mówi Ewa Kubasiewicz.

I dodaje: – Słowem – niczego nie można było zrobić. W grupie 15 osób doszliśmy do wniosku, że nie możemy być marionetkami w rękach Wałęsy. Zdarzały się sceny jak z komedii filmowej, na przykład przegłosowaliśmy jakiś wniosek jako Zarząd Regionu, po czym przychodził Wałęsa i mówił: „Jak wy będziecie się tak zachowywali, to ja was zaraz zostawię. Zaraz to ogłoszę, że tu się pracować nie da. Zachód żadnych pieniędzy nie da, a wszystko przez was legnie". Wychodził obrażony, trzaskał drzwiami. Często ludzie kruszeli po tych przemowach Wałęsy i bezmyślnie mówili: „To przegłosujmy to jeszcze raz". I przegłosowywali, co on chciał. Zdrowy rozsądek wykluczał możliwość współpracy w takich warunkach. Zdecydowaliśmy z grupą przyjaciół, że wycofujemy się z prac Zarządu Regionu. To było dobre posunięcie. Andrzej Gwiazda też się wycofał. Chcieliśmy zrobić to już wcześniej, kiedy Lech Wałęsa wyrzucił ze Związku Anię Walentynowicz, ale to Ania prosiła: „Zostańcie. Najważniejsza jest sprawa, co tam moja osoba". Robiliśmy naturalnie wokół tego wówczas dużo szumu, ale nikt się nie wycofał – wspomina Ewa Kubasiewicz.

– Statut Prezydium Związku mówił, że Zarząd Regionu ma być wybierany przez całą Regionalną Komisję Wyborczą, a Wałęsa i tak robił po swojemu, mówiąc: „Chyba ja wiem najlepiej, z kim mam pracować". I dobierał sobie ludzi. To była szopka. Byłam atakowana przez współpracowników z Wyższej Szkoły Morskiej, którzy mówili: „Przecież ciebie wybraliśmy, ty masz nas reprezentować w Zarządzie Regionu". Czułam, że inaczej nie możemy. To było bardzo dobre posunięcie. I ośmielam się powiedzieć, że ta nasza decyzja mogła przyspieszyć wprowadzenie stanu wojennego. Wiesz dlaczego? Jak myśmy zrezygnowali, a co ważniejsze, zrezygnował Andrzej Gwiazda, który był postacią centralną sierpniowego strajku – przecież to on prowadził wszystkie najważniejsze negocjacje, walczył o ten pierwszy punkt postulatów, czyli o wolne i niezależne związki zawodowe – ataki ubecji stały się coraz częstsze i bardziej dotkliwe – wspomina tamte chwile Ewa Kubasiewicz.

– Po naszym wystąpieniu z Zarządu Regionu nie mogliśmy opędzić się od zaproszeń, zapraszano nas do zakładów pracy w różnych zakątkach Polski. Wszyscy chcieli poznać informacje wprost ze źródła, czyli od nas, wszyscy chcieli dowiedzieć się, dlaczego wycofaliśmy się z Zarządu Regionu. Prasy niezależnej nie było, do ludzi zaczęło docierać, co się dzieje. Myślę, że gdyby była wolna prasa, to nie Lech Wałęsa zostałby przewodniczącym Zarządu Regionu, a Andrzej Gwiazda – dodaje Ewa Kubasiewicz.

– Po marcu Związek zaczął iść w dół. Komuniści zrozumieli, że nie jesteśmy tacy jednomyślni. Kiedy Związek był silny, bo rzeczywiście był silny, to trzeba było przeprowadzić strajk generalny. Zaczęło się od Bydgoszczy – w Bydgoszczy władza przeprowadziła test, aby zobaczyć, na co może sobie pozwolić. Uważam, że podobny test komuniści przeprowadzili później, uprowadzając i mordując księdza Jerzego Popiełuszkę.

Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że ubecja następnym razem zaatakuje dużo mocniej. Składaliśmy wniosek do Wałęsy, aby opracować coś w rodzaju instrukcji, jak ma się zachować społeczeństwo na wypadek wprowadzenia stanu wyjątkowego. Wałęsa nawet nie chciał o tym słyszeć. My, to znaczy tzw. Gwiazdozbiór, zredagowaliśmy tekst takiej instrukcji. Wzięłam ze sobą ten tekst, ale już nie zdążyłam go dać do druku. Była to noc z 12 na 13 grudnia 1981 roku – kończy Ewa Kubasiewicz. ■

FOT. ARCH. ZENONA KWOKI

eprasa.pl d637dc41e0

Aktorzy podczas nagrywania słuchowiska w studio przy ul. Zielnej (1929–1939)

HALO, TU POLSKIE RADIO

Agnieszka Kowalczyk

eprasa.pl d637dc41e0

„Fale radiowe docierają wszędzie [...]. A przy tym jakież nowe, żywiołowe dają tempo. Jakie znakomite ułatwienie w życiu. [...] To jest tak, jak gdyby człowiek zasnął, dajmy na to, we czwartek, żeby nabrać sił przed dalszą drogą – i dowiedział się w piątek o świcie, że nie pojedzie końmi, tylko automobilem. To jest tak, jak gdyby w sobotę czekał nań nie automobil – a aeroplan... A w niedzielę radio". Tymi słowy w swym inauguracyjnym numerze z 1926 roku pismo „RAdio" zapowiadało w Polsce erę wynalazku, który pozwalał dźwiękom docierać w tej samej sekundzie do milionów, stając się wszechpotężnym „ośrodkiem promieniowania myśli i natchnienia".

fot. NAC.

Zanim doszło do narodzin polskiej rozgłośni, na Starym i Nowym Kontynencie dokonywała się rewolucja radiofoniczna. Przełomowym momentem w dziejach radia stał się koncert światowej sławy śpiewaczki Nellie Melby, nadany w czerwcu 1920 roku z Anglii dla posiadaczy radioodbiorników w całej Europie. Z kolei 2 listopada w Stanach Zjednoczonych zaczęto emitować codzienne programy radiowe, a dwa lata później szał radiofoniczny ogarnął Anglię, Francję i Niemcy. Właściciele pierwszych radioodbiorników w Polsce z dreszczem emocji „łapali fale" różnych europejskich stacji nadawczych, których w 1923 roku było już osiemnaście. Wiadomości prasowe przekazywały radiostacje: Stuttgart, Berlin, Lipsk II, Khelby, Radio Paris, Lyon, Bruksela oraz Chelmsford – angielska rozgłośnia o największej mocy (15kW). Wśród uwielbiających nowinki techniczne Polaków coraz większą popularnością cieszyły się publiczne pokazy radiowe. Pod wrażeniem takiego „seansu" pozostawała na długo pewna mieszkanka Szczuczyna Lidzkiego, która w styczniu 1925 roku znalazła się w miejscowej szkole, by wśród tłumu ciekawskich wysłuchać zapowiedzianej audycji. Gdy wyczekiwany przez wszystkich radiowiec ustawił na stole magiczną skrzynkę sporych rozmiarów i uroczyście zapowiedział Rzym – sala zamarła w bezruchu. „Pochylone głowy, wyciągnięte szyje i oto naprawdę trzask, jakiś szmer, piokanie i – o cudzie – głos ludzki, szept prawie, a jednak to prawda..." – opowiadała owa uczestniczka pokazu, która jako jedna z pierwszych w swoim powiecie zakupiła w Wilnie radioodbiornik za 1400 złotych. Był nim trzylampowy aparat typu Marconi, dostarczający swej właścicielce tylu wrażeń, że nie przeszkadzały jej nawet niemiłosiernie gniotące słuchawki, zastąpione później przez głośnik wieszany na ścianie.

Eksperyment zakończony sukcesem

„Halo, tu Polskie Radio, halo, tu próbna stacja nadawcza Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego na fali 385, Warszawa, Polska" – tymi słowy, 1 lutego 1925 roku inżynier Roman Rudniewski, dyrektor Spółki Akcyjnej PTR, zapoczątkował codzienną emisję audycji radiowych w Polsce, nadawanych każdego wieczoru między 18.00 a 19.00. Program składał się z koncertów i odczytów zapowiadanych przez Halinę Wilczyńską – pierwszą polską spikerkę radiową.

Powołanie do życia stacji, której słuchałaby cała Polska i Europa, przybrało postać wielkiego eksperymentu podjętego przez prawdziwych pasjonatów skupionych wokół Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego. Jego legendarna rozgłośnia powstała przy ulicy Narbutta 29 w Warszawie. Nadajnik, zajmujący wraz

eprasa.pl d637dc41e0

ze sprzętem zasilającym tyle miejsca co szafa na ubrania, zainstalowano w hali fabrycznej, antenę rozpięto na dwóch masztach, zaś studio urządzono w dużym pokoju, którego podłogę wyłożono grubymi chodnikami kokosowymi, sufit i ściany obito zielonym suknem, a okna zasłonięto kotarami. Stał tu tylko fortepian i nabierający symbolicznej wymowy, kilkukilogramowy mikrofon, który dumnie spoczywał na wojłokowym hamaku. Muzycy, śpiewacy, prelegenci musieli stawać oko w oko z tym „potworem", jak nazwał go żartobliwie jeden z debiutujących artystów, mówiąc, że to „brzydka bestia" i że „stanowczo źle mu patrzy z oczu. To jest właściwie nie z oczu, gdyż ma tylko jedno oko i to przysłonięte i jakby chytrze przymrużone, kpiące a leniwie mrugające na obecnych. Nad okiem – ucho: [...] wygodnie siedzące na czterech gąbkach kauczukowych, macki białe i czerwone zapuściło gdzieś poza siebie – wiadomo, ażeby donieść wszystko, co usłyszy gdzieś w świat [...]. Ha, co robić, zaczynamy. Głos śpiewaczki i fortepianu brzmi głucho, tępo, wykonawcy są zrozpaczeni: na pewno wypadło obrzydliwie. Wchodzi dyr. R. Rudniewski, zamyka potworowi jakiś zatrzask – mówi, że było bardzo dobrze. I wierz tu, człecze, temu potworowi: miał przez cały czas minę tak wyraźnie kpiącą".

Przed tym kapryśnym urządzeniem jako pierwszy stanął w lutym 1925 roku kwartet Władysława Walentynowicza, a potem już cała plejada przedwojennych gwiazd – Argasińska-Choynowska, Dzierzbicka, Kmitowa, Dobosz, Michałowski oraz trio Wiłkomirskich. W studio gościł też często zespół Antoniego Adamusa, który specjalizował się w muzyce rozrywkowej i tanecznej. Oryginalnością wykonania przyciągała grupa mandolinistek, wdzięczną pieśnią zachwycał chór „Harfa" pod dyrekcją Wacława Lachmana, natomiast audycjom muzycznym przydawały blasku słynne głosy Jana Kiepury i Marii Budziszewskiej.

W przeddzień 95. rocznicy wybuchu powstania listopadowego wielkich emocji dostarczył radiosłuchaczom wieczór historyczny, podczas którego mogli stać się odbiorcami opracowanej specjalnie dla radia „Warszawianki" Stanisława Wyspiańskiego (29 XI 1925). Inicjatorami tego artystycznego wydarzenia byli Stanisław Odyniec, ówczesny wiceprezes PTR, oraz Alojzy Kaszyn, pierwszy w Polsce etatowy pracownik programowy, lekarz, który rzucił medycynę dla teatru, a potem zasmakował w radiofonii, obejmując kierownictwo literackie eksperymentalnej stacji nadawczej. To on właśnie podjął się adaptacji radiowej dramatu Wyspiańskiego przy współpracy Miry Łaniewskiej, Marii Kosińskiej i Bronisława Dąbrowskiego. Pomysłowość inscenizatorów zadziwiła wszystkich – odgłosy przejeżdżającej konnicy oddano za pomocą wybijania rytmu o własne kolana, a przemarsz piechoty – przez mocne pocieranie szczotki ryżowej o powierzchnię mebli. Stale powracającym motywem stała się melodia „Warszawianki", wygrywanej na fortepianie bądź śpiewanej przez chór. Po pierwszym udanym eksperymencie, łączącym słowo literackie, muzykę i efekty akustyczne, podjęto się przygotowania kolejnych słuchowisk – tym razem były to „Betleem Polskie" Lucjana Rydla i „Świeczka zgasła" Aleksandra Fredry. Wkrótce zdecydowano się także na wprowadzenie kolejnej innowacji – powieści w odcinkach, a jako pierwszą do odczytania przed mikrofonem wybrano „Wierną rzekę" Stefana Żeromskiego. Innym nietuzinkowym wydarzeniem okazał się program sylwestrowy, który uzyskał rekordowy czas emisji – rozpoczął się o dwudziestej, a zakończył kwadrans po północy. Gdy wybiła dwunasta, przy dźwiękach walczyka i brzęku kieliszków wzniesiono chóralny toast: „Niech żyje radiofonia polska!", po czym w eter popłynęły dźwięki hymnu narodowego.

▶ Polskie Radio i jego początki

Następczynią eksperymentalnej stacji nadawczej PTR stała się spółka Polskie Radio założona przez Zygmunta Chamca i Tadeusza Sułowskiego, która otrzymała od państwa monopolistyczną koncesję na nadawanie programu radiowego w całym kraju. Nowo powstała rozgłośnia przeżyła swój debiut 18 kwietnia 1926 roku, kiedy to ze stołecznego gmachu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, punktualnie o godzinie 17.00, wybrzmiały słowa: „Halo, halo, Polskie Radio Warszawa, fala 480". Na początku audycje nadawano przez sześć godzin na dobę, ale już w połowie lat 30. przy radioodbiorniku można było spędzić cały dzień.

Program Polskiego Radia był imponujący – wypełniała go muzyka symfoniczna, kameralna, lekka i taneczna, opery i operetki, wykonania solistów, chórów i zespołów muzycznych, felietony, pogadanki i „dzienniki prasowe", słuchowiska na rozmaite tematy, w tym kwadranse literackie, przegląd „życia artystycznego i kulturalnego stolicy", fragmenty teatralne, audycje rolnicze, sportowe i dziecięce, transmisje z najważniejszych wydarzeń krajowych i zagranicznych. Słowem znalazło w nim odbicie „wszystko, co mózg ludzki i talent wytworzy, wszystko, co zaspokaja nasze zainteresowania, wszystko, co służy rozrywce i podniesieniu kultury artystycznej, umysłowej i społecznej – wszystko, co jest w Polsce radosne i pozytywne".

Swego rodzaju nowością w sferze twórczości radiowej stała się w latach 30. powieść mówiona, sytuująca się na pograniczu słuchowiska i czytanego tekstu literackiego. Za jej pierwszą artystyczną realizację uznaje się nadawane od listopada 1936 roku „Dni powszednie państwa Kowalskich" Marii Kuncewiczowej.

eprasa.pl d637dc41e0

Opowieść o młodych małżonkach i ich codziennym życiu pokochały tysiące Polaków. Sama Kuncewiczowa tak mówiła o swoich bohaterach: „On skromny nauczyciel, kultywujący jeszcze w okolicach tradycje drobnoszlacheckie, ona – z rodziny mieszczańskiej, podwarszawskiej, z tego typowego środowiska, które nie jest jeszcze miastem, a przestało być już wsią i gdzie ludzie zawieszeni są jakby w próżni między bytem chłopa, rzemieślnika i mieszczanina. Jest skromną ekspedientką w jednym z magazynów stołecznych. Młoda para ma rodziny, teściowe, ciotki, wujów... konglomerat sfer, poziomów zainteresowań, wykształcenia, potrzeb, kultur". Ta osadzona we współczesnych realiach audycja tak wiele mówiła przecież o doświadczeniach i przeżyciach zwykłego człowieka, z którym mogli identyfikować się wierni radiosłuchacze.

▶ Piłsudski na falach eteru

Z okazji ósmej rocznicy odzyskania Niepodległości, 11 listopada 1926 roku, do mikrofonu radiowego przemawiał z Belwederu sam Marszałek Józef Piłsudski. Jego niekonwencjonalna mowa przybrała formę bajki o tym, jak „polskie żołnierzyki", chłopcy w szarych mundurach, drżący z zimna, w podartych, zabłoconych trzewikach szli po wolność. Na ich czele zdążał on sam, „chłopiec szary i brudny", na swej wiernej Kasztance, która po czterech latach wojowania znów widzi swego pana, lecz jakże odmienionego – „na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Na piersi wstęga, co kolorem nieba i żałoby o zwycięstwach mówi w wielkiej wojnie i do niebios o zwycięstwie krzyczy [...]. Grzmią bębny warkotem okrutnym, brzmią trąby mosiężne krzykiem, wołając żołnierzy. Idzie lud zbrojny, idzie twarda w zbrojach piechota, hełmy na nich stalowe, świecą lufy żelazne, idą krokiem twardym, miarowym, idą po zwycięstwo".

Gdy zaś kraj obiegła wieść o śmierci Piłsudskiego, 17 i 18 maja 1935 roku, przez 15 godzin, aż do momentu złożenia trumny w krypcie na Wawelu, trwała transmisja radiowa uroczystości pogrzebowych w Warszawie i Krakowie. W tych dniach przy radioodbiornikach przez długie godziny czuwała polska wieś. Tam, gdzie się dało, stawiano aparaty na oknach, osłaniając je przed deszczem naprędce skleconymi daszkami. Zdarzały się też wsie, gdzie składano się na zakup odbiornika kryształkowego i sprowadzano go czym prędzej z pobliskiego miasteczka, by „rozpoczął swą pracę od służby żałobnej ku czci Marszałka". „Gazeta Polska" pisała, że „ci, co mieli słuchawki przy uszach, powtarzać i opowiadać musieli innym [...] o tym, jak było w Belwederze, w Katedrze, na polu Mokotowskim i na Wawelu. [...] Wiele, wiele bardzo by się dało opowiedzieć faktów i scen, [...] jak to w nocy, po kilkadziesiąt kilometrów posyłano po nowy kryształek, jak to, gdy już starsi legli spać, dzieciaki próbowały szczęścia, czy też się im nie uda czegoś usłyszeć na wolnych nareszcie słuchawkach, jak sąsiedzi składali się po paru – ile kto miał – na najtańszy, najlichszy, choćby odbiornik detektorowy [...] Tak, w dniach wielkiej żałoby radio na wsi spełniało doniosłą służbę państwową i obywatelską".

▶ Krzyk najnowszej stacji Kraków

„Pozdrowienia dla naszych rodaków,/ kujących stal, rąbiących drwa –/ tu mówi Polskie Radio Kraków/ na fali 422" – brzmiały słowa wiersza Jalu Kurka, napisanego specjalnie na okoliczność inauguracji nowej stacji radiowej. Już bowiem w początkach swego istnienia Polskie Radio mogło pochwalić się całą siecią świetnie działających rozgłośni regionalnych, które powstały w Krakowie, Katowicach, Poznaniu, Wilnie, we Lwowie i w Łodzi. Pierwsza z nich, otwarta w lutym 1927 roku, była trybuną krakusów – ludzi twórczych i pomysłowych, a jej sygnałem stał się hejnał wygrywany z wieży mariackiej. W drugim roku swej działalności Radio Kraków nadało już 1062 odczyty, a wśród prelegentów znalazło się aż 120 przedstawicieli świata nauki. Oprócz popularnych „przeglądów polityki zagranicznej" Jana Reguły, wieczorów literacko-teatralnych Zygmunta Nowakowskiego, audycji muzycznych Zdzisława Jachimeckiego, serwisu sportowego Henryka Szatkowskiego słuchacze uwielbiali „Gadki Podhalańskie", program folklorystyczny, podczas którego w rolę ludowego gawędziarza wcielał się po mistrzowsku Władysław Dorula. Najciekawszymi bodaj wydarzeniami artystycznymi były organizowane corocznie (od 1936 roku), a emitowane drogą radiową, Koncerty Wawelskie z udziałem Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrekcją Grzegorza Fitelberga. Radio Kraków nie obawiało się też podejmowania eksperymentów, za jakie uchodziły transmisje koncertów fortepianowych „cudownych dzieci" – dwunastoletniego Tadzia Stefańskiego i ośmioletniej Halusi Schwarzenberg-Czerny. Wyemitowano nawet „koncert na pile", która, jak pisało „RAdio", „zaśpiewała po raz pierwszy przed mikrofonem, i to zapewne nie tylko w Polsce, ale i na świecie", okazując przy tym w pełni radiofoniczne zalety.

▶ Tońko i Szczepko na „Wesołej Lwowskiej Fali"

Lwowska stacja regionalna zasłynęła natomiast dzięki występom satyrycznego duetu, który wkrótce pokochała cała Polska. Mowa tu, rzecz jasna, o niezapomnianych bohaterach „Wesołej Lwowskiej Fali" – o Tońku i Szczepku, a raczej o Henryku Vogelfängerze

eprasa.pl d637dc41e0

i Kazimierzu Wajdzie, którzy od 1932 roku w każdą niedzielę wcielali się w role lwowskich batiarów, rozśmieszając do łez swymi dialogami. Obaj „przemili mikrusi", jak pisano o nich w ówczesnej prasie, swą spektakularną popularność w kraju zawdzięczali „niepodrobionemu, najszczerszemu, pełnemu fascynujących niespodzianek, niewymuszonemu humorowi, którym okraszają swe doskonałe audycje". Talenty Tońka i Szczepka odkrył całkiem przypadkiem, na jakimś towarzyskim spotkaniu, Wiktor Budzyński, reżyser i kierownik literacki lwowskiej radiostacji, po czym zaciągnął obu dowcipnisiów przed mikrofon i tak zaczęło się... „Naiwny, dobry, trochę fajtłapowaty marzyciel Tońko i pewny siebie zawadiacki rezoner Szczepko – te dwie postacie, które napełniają eter polski wesołym i dziwnie chwytającym za serce rozgwarem, to jedna z najszczęśliwszych i najmocniejszych pozycji programowych naszej radiofonii".

U Karlika „przy żeleźnioku"

Radiowym bastionem polskości okazała się rozgłośnia w Katowicach, która, stając w obronie ojczystych wartości na Górnym Śląsku, dawała skuteczny odpór obcej radiostacji niemieckiej w Gliwicach. Jej uroczyste otwarcie nastąpiło w dniu górniczej Barbórki 1927 roku, a dźwiękowym sygnałem stało się charakterystyczne kucie w kowadło – symbol wytężonej pracy górniczej. W studiu bił w nie młotkiem woźny rozgłośni Wacław Siemirski, „chłop wzrostem i bicepsami do tej funkcji odpowiednio dobrany". W związku z tym, że Radio Katowice miało największą moc w tym regionie, strona niemiecka zażądała obniżenia jego energii nadawczej, a gdy polskie władze odmówiły, w piśmie „Der Deutsche Rundfunk" ukazał się prowokacyjny tekst pod tytułem „Niemcy wypowiadają Polsce wojnę radiową. Gliwice będą trzecią z rzędu najsilniejszą stacją niemiecką". Ta prowadzona w eterze wojna zakończyła się zwycięstwem Radia Katowice, które niepodzielnie zapanowało nad przestrzenią Górnego Śląska, zyskując wielką aprobatę mieszkańców tej ziemi. Rozgłośnia potrafiła doskonale wczuć się w potrzeby i specyfikę regionu, co znalazło swój wyraz m.in. w emisji nabożeństw ze słynnych miejsc kultu – z Wielkich Piekar, z katedry Katowickiej czy też z klasztoru oo. Franciszkanów w Panewnikach-Ligocie.

Szczególny urok miały dla słuchaczy „Bery i bojki", czyli barwne opowieści w gwarze śląskiej Stanisława Ligonia, długoletniego dyrektora katowickiej rozgłośni, który występował przed mikrofonem jako Karlik z Kocyndra. Człowiek ten – pisarz, malarz, ilustrator, reżyser i aktor zarazem, a przede wszystkim zapalony radiowiec, pan „z bródką w szpic i z kapeluszem włożonym trochę na bakier", ujmował swoimi stałymi słuchowiskami „Przy sobocie po robocie", „Co niedziela u Karlika brzmi pieśniczka, gro kapela", a także nobilitującymi śląski folklor audycjami „Przy żeleźnioku" i „U Karlika gro muzyka", dopiekając w nich Hitlerowi i nazistom.

Gdy nastała wiosna 1939 roku, a II Rzeczpospolita stanęła w obliczu zagrożenia wojną, Ligoń zainicjował wśród śląskich radiosłuchaczy zbiórkę na sprzęt dla polskiego wojska. „No i zaczęło się! – odtwarza przebieg akcji jego radiowy kolega Edmund Odorkiewicz – Chociaż »Teofilek« z hitlerowskiej wówczas rozgłośni we Wrocławiu ujadał bez przerwy i twierdził, że Ślązacy, którzy przecież czują się Niemcami, ani grosza nie dadzą dla armii polskiej, to wezwanie Karlika rozpętało prawdziwą burzę. Jeszcze tego samego wieczoru dyżurna spikerka podniosła alarm [...], bo zwalił się taki tłum ludzi, że aż policja przyszła regulować ruch". Rzeczywiście, przed katowicką radiostacją stały tłumy, a w jej wnętrzu, w ogromnym holu, trwały w straszliwym ścisku dziesiątki Ślązaków. Wszyscy wyczekujący tu od rana mieli jeden cel – złożyć datek na „Żeleźniok Karlika", tak iż gdy tylko do rozgłośni zawitał ów najpopularniejszy śląski radiowiec, od razu porwano go na ramiona i podrzucając do góry, krzyczano wniebogłosy: „Karlik, mosz na swój »Żeleźniok« na Hitlera!", „Karliczku, a pofedruj Hitlerowi pierońsko!".

Takich żelaznych piecyków pełnych hojnych datków było jeszcze wiele. Do katowickiej rozgłośni ofiary płynęły strumieniami i ciągle pojawiały się nowe delegacje, niosąc zazwyczaj taki „żeleźniok" wypełniony po brzegi banknotami od pracowników kopalń, hut i fabryk. Karlik, jak opowiada Odorkiewicz, „zaskoczony olbrzymimi ponad wszelkie oczekiwania wynikami zbiórki, mógł coraz to radośniejsze przekazywać nowiny: że ze składek radiosłuchaczy śląskich można zakupić cekaemów już nie dla plutonu, ale dla całej kompanii [...]. Z jednej armaty zrobiła się już cała bateria, potem bateria przemieniła się w czołg, jeden czołg – w kompanię czołgów, a wreszcie – W SAMOLOT BOMBOWY".

Wojenna misja Polskiego Radia

1 września 1939 roku w głośnikach radiowych rozległo się wycie syreny. Padły słowa Kazimierza Tylli: „Ogłaszam alarm dla miasta Warszawy". Po chwili spiker Zbigniew Świętochowski mówił do mikrofonu: „Halo, tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia. Dziś o godzinie 4.40 oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc pakt o nieagresji...". Tym samym Polskie Radio rozpoczęło swą służbę wojenną. Przestał obowiązywać zwykły program, bo największe znaczenie miały teraz audycje informacyjne,

eprasa.pl d637dc41e0

zwłaszcza zaś komunikaty ze Sztabu Naczelnego Wodza. W najwyższym oczekiwaniu przy domowych odbiornikach trwali zdezorientowani i spragnieni jakichkolwiek wiadomości Polacy. Tymczasem te płynące z Polskiej Agencji Telegraficznej były nader skąpe i ogólnikowe. Wydział Aktualności Radia starał się więc nawiązać kontakt z rozgłośniami regionalnymi Katowic, Poznania, Łodzi i Krakowa, z których nadchodziły wieści budzące grozę. Prowadzony był też nasłuch stacji zagranicznych, stanowiących niezwykle cenne źródło informacji. Pojawiające się w niemieckich komunikatach nazwy zajętych polskich miejscowości wydawały się czymś niewiarygodnym. W tym czasie na antenie radiowej rozbrzmiewały po wielokroć marsze i piosenki wojenne, to znów rozlegał się „Mazurek Dąbrowskiego" i brzmiały hymny narodowe polskich sojuszników. Program ten „budowany ad hoc i przerywany specjalnymi komunikatami, zapowiedziami alarmów, szyfrowanymi meldunkami i poleceniami" wymagał jednak wzbogacenia i urozmaicenia. Wtedy to właśnie pracownica Wydziału Odczytowego, energiczna Emilia Grocholska, wpadła na pomysł, by skontaktować się z Marią Kuncewiczową i namówić ją do stworzenia kontynuacji „Dni powszednich państwa Kowalskich". Chodziło o to, by cieszący się wielką popularnością bohaterowie słuchowiska włączyli się teraz w wysiłek wojenny narodu i w tym trudnym czasie posłużyli za wzór rodakom. Dla najmłodszych przewidziano zaś codzienne pogadanki, które miały ich oswoić z wojną. Zadania tego, obok Jadwigi Krawczyńskiej, miał się podjąć nie kto inny jak sam Janusz Korczak, który tak ukochał dzieci, że gotów był iść z nimi na śmierć.

W tym dramatycznym czasie po wielekroć stawał przed mikrofonem prezydent Warszawy Stefan Starzyński, który nie opuścił ginącego miasta, to znów przemawiał pułkownik Roman Umiastowski, szef Propagandy Sztabu Głównego, czy też podpułkownik Wacław Lipiński, który 4 września w ten sposób mówił o bohaterskiej obronie Westerplatte:

„I oto dzisiaj na dalekim krańcu rozległego frontu, samotni i odcięci od krzepiącej z nimi wspólnoty – bronią się już trzeci dzień żołnierze morskiego batalionu na Westerplatte. Na wąskim cyplu lądowym, oblani ujściem Wisły z jednej strony i morzem z drugiej, rażeni z najbliższej odległości ogniem ciężkich dział pancernika Schleswig-Holstein, [...] w ulewie karabinowego ognia piechoty nacierającej od lądu, od strony Gdańska, w kurzu bitewnym i dymie, w napięciu mięśni i nerwów, duszy i serca – bronią się nieubłaganie. [...] Żołnierze – apelował na koniec – Gdziekolwiek jesteście, gdziekolwiek Wam w godzinach tej wojny wypadł bój, w strzeleckim okopie czy pancernym wozie, w bojowym samolocie czy na dalekim patrolu, [...] wiedzcie i pamiętajcie, że [...] cały naród, zasłuchany w dalekie echa waszej nierównej walki, Waszego trudu i wysiłku – jest z Wami. W każdej godzinie, teraz i na wieki".

6 września padł rozkaz ewakuacji radia, a nazajutrz polscy saperzy wysadzili w powietrze jeden z masztów nadawczych w Raszynie. Tego jednak dnia odezwała się radiostacja Warszawa II, która nadawać miała odezwy i zarządzenia, ogłaszać alarmy lotnicze, a przede wszystkim dostarczać najnowszych wiadomości z kraju i ze świata. Pracownicy radia trwali niewzruszenie na posterunku. Był wśród nich mistrz fortepianu Władysław Szpilman, któremu dane było przeżyć II wojnę światową, a potem oddać swoje dramatyczne przeżycia w słynnej książce autobiograficznej „Pianista". W jego wykonaniu muzyka Chopina zabrzmiała po raz ostatni w polskich domach 23 września. Grając wśród huku dział, ledwie słyszał dźwięki swego instrumentu. Gdy wychodził ze studia, spotkał w drzwiach śmiertelnie wyczerpanego prezydenta Starzyńskiego, który podszedł do mikrofonu, by powiedzieć:

„Chciałem by Warszawa była wielka [...]. Ja i moi współpracownicy kreśliliśmy plany, robiliśmy szkice wielkiej Warszawy przyszłości. I Warszawa jest wielka [...]. Gdy teraz do Was mówię, widzę ją przez okna w całej wielkości i chwale, otoczoną kłębami dymu, rozczerwienioną płomieniami ognia, wspaniałą, niezniszczalną, wielką, walczącą Warszawę. I choć tam, gdzie miały być wspaniałe sierocińce – gruzy leżą, choć tam, gdzie miały być parki – dziś są barykady gęsto trupami pokryte, choć płoną nasze biblioteki, choć palą się szpitale – nie za lat pięćdziesiąt, nie za sto, lecz dziś Warszawa broniąca honoru Polski jest u szczytu swej wielkości i chwały".

30 września nadana została ostatnia już pożegnalna audycja radiowa: „Dziś oddziały niemieckie wkroczyły do Warszawy. Braterskie pozdrowienia przesyłamy żołnierzom walczącym na Helu i wszystkim walczącym, gdziekolwiek się jeszcze znajdują. Jeszcze Polska nie zginęła. Niech żyje Polska!". Po chwili w eter uleciały dźwięki „Mazurka Dąbrowskiego".

Zaledwie godzinę później rozgłośnia przejęta została przez Niemców. Odtąd obowiązywać miał Polaków bezwzględny zakaz słuchania radia, za którego przekroczenie groziła kara śmierci. Polskie Radio nie zaprzestało jednak swojej działalności, którą wznowiło 2 października w podziemiu. ■

_____

Źródła: M.J. Kwiatkowski, „Narodziny polskiego radia. Radiofonia w Polsce w latach 1918–1929", Warszawa 1972; tegoż, „Wrzesień 1939 w warszawskiej rozgłośni Polskiego Radia", Warszawa 1984.

eprasa.pl d637dc41e0

Piotr Lisiewicz

„Można w dwa tygodnie zrobić w Polsce przewrót, wprowadzić słowo »queer« do potocznego języka, wykonać taki fikołek narracyjny, że wszyscy zaczynają mówić o przemocy politycznej i braku ochrony ze strony państwa" – tak na łamach tygodnika „Polityka" o możliwości manipulacji językiem mówiła niedawno „Łania", założycielka kolektywu Stop Bzdurom. Takie „fikołki narracyjne" były sowiecką specjalnością, uprawianą na łamach tego samego tygodnika „Polityka", o czym w 1957 roku, na wiele lat przed Michałem Głowińskim czy Piotrem Wierzbickim, pisał ciekawie w emigracyjnych, londyńskich „Wiadomościach" Jerzy Wendel. Obecna inwazja zakłamanych pojęć nie jest czymś bardzo tajemniczym i nie do zatrzymania, jak wydaje się niektórym pesymistom. Wendel opisywał komunistyczną nowomowę w ciekawym momencie – gdy przekształcała się po październiku 1956 roku ze stalinowskiej w odwilżową, bynajmniej nie po to, by zniknąć. Ale nowomowy nie trwają wiecznie i dotyczy to zarówno tej starej, częściowo przezwyciężonej, jak i nowej, która nie jest całkiem od poprzedniej odrębna. Potrzeba tylko trochę determinacji i sprytu, by walczyć z ich niszczącą siłą.

Jerzy Wendel

Urząd bezpieczeństwa słów

Wolność zastąpiła dawną niewolę, prawo – bezprawie, suwerenność – poddanie uciskowi kolonialnemu. Rewolucja, kontrrewolucja, reakcja, wyzysk, moralność, demokracja, nawet socjalizm uzyskały znaczenie krańcowo różne od znaczenia konwencjonalnego.

Jako jedną z głównych zdobyczy t.zw. rewolucji październikowej ogłasza się przywrócenie w Polsce wolności słowa i wolności sumienia. Z prasy dowiadujemy się, że zerwała ona ze sztampą, że stała się rzetelna, prawdziwa, że odsłania rzeczywiste życie, że opiera się na faktach, że wydobywa na światło wszystkie bolączki. Koniec królestwa fikcji! Koniec drętwej mowy! Na zawsze zerwanie z drętwą mową!

Co to jest drętwa mowa? Nie jest łatwo podciągnąć pod jeden dach różnorodność zjawisk słownych, jaką ten neologizm obejmuje. Bo oznacza on wszystkie martwe zdania, frazesy, stereotypy, wyświechtane komunały i nomenklatury; oznacza magiczne zaklęcia, mity, tabu, słowa wieloznaczne i słowa bez pokrycia; oznacza patetyczne deklaracje, werbalne mydlenie oczu, wiatrologię, szumnosłowie i pustosłowie. Oznacza również mistyfikacje wszelkiego rodzaju, zdania rzeczywistość fałszujące, zdania rzeczywistość maskujące i zdania rzeczywistość przemilczające. Oznacza łamanie praworządności słownej i wypaczanie zdrowego rozsądku. Jedyne dające się pomyśleć określenie dla tego bogactwa manifestacji słownych jest stwierdzenie, niezbyt zadowalające jako definicja, ale ścisłe, że jest to mowa właściwa publicystyce krajów budujących socjalizm pod przewodnictwem Związku Sowieckiego.

▶ „Jak wiadomo, życie narodu nadaje sens słowom"

[Tak] powiada marzyciel-poeta Mieczysław Jastrun. Być może, ale nie w ustroju socjalistycznym. Tu słowom nadaje znaczenie partia i rząd. Musi chyba istnieć w państwach socjalistycznych jakieś gigantyczne nieujawnione ministerstwo semantyki, które, sądząc po rezultatach, jest, obok policji politycznej, najsprawniejszym w nich resortem. Odpowiednio spreparowane słowa mówią to, co władza chce, by mówiły; ściśle tak jak ludzie urabiani przez urzędy bezpieczeństwa.

Słowa zawsze zażywały opinii, że są cierpliwe i posłuszne; w państwach totalnych nabrały one jednak przedziwnej elastyczności, która da się porów-

eprasa.pl d637dc41e0

nać jedynie z elastycznością sumień ich inkwizytorów. W wielu wypadkach udało się je uwolnić od znaczenia, jakie dźwigały w ciągu stuleci, i nadać im znaczenie przeciwstawne. Wolność zastąpiła dawną niewolę, prawo – bezprawie, suwerenność – poddanie uciskowi kolonialnemu. Rewolucja, kontrrewolucja, reakcja, wyzysk, moralność, demokracja, nawet socjalizm uzyskały znaczenie krańcowo różne od znaczenia konwencjonalnego.

Naukowe podstawy drętwej mowy

W mowie „burżuazyjnej" można, przez użycie przymiotnika kwalifikującego, mniej lub więcej zmienić sens rzeczownika. Amerykańskie złoto nie jest wprawdzie złotem, ale je z wyglądu przypomina; polski urlop nie jest urlopem, ale podczas swego trwania zachowuje się tak jakby był.

W mechanizmie drętwej mowy jest możliwe przez właściwy dobór epitetu odwrócić sens słowa o całe 180 stopni: realizm socjalistyczny jest przeciwstawieniem realizmu; nauka proletariacka jest zaprzeczeniem nauki; demokracja ludowa jest negacją demokracji.

Socjalistyczna drętwa mowa wprzęgła do swoich usług wszystkie zasoby stylistyki odziedziczone po kapitalizmie. Metafory czyli przenośnie, metonimie czyli zamiennie, synekdochy czyli ogarnięcia, hiperbole czyli przesadnie, personifikacje czyli uosobienia, eufemizmy czyli zastępowanie słów drażliwych mniej drażliwymi – żaden ze znanych tropów nie został pominięty w powszechnej mobilizacji środków językowych dla celów komunistycznej mistyfikacji [...].

Październikowe redukcje

Pewne słowa musiały się zmienić, pewne słowa musiały odejść: ostatecznie słowa to nie ludzie by mogły bez żadnej zmiany służyć każdej ideologii.

Zapluty karzeł reakcji skończył swój pracowity żywot (choć kołtun cieszy się nadal zadowalającym zdrowiem). Czujność bardzo ucierpiała na skutek wykrytego pokrewieństwa fonetycznego i ideowego ze szczujnością. Mało się słyszy obecnie o oszukanych dołach akowskich: przeżytki kapitalizmu przestały być magiczną klasyfikacją wszelkich socjalistycznych niedomagań i zaostrzenie walki klasowej przestało być uniwersalnym na nie lekarstwem. Rzadko się teraz pojawia wróg ludu, chyba w skróconej postaci wróg. I w ogóle mniej się ceni teraz bezcenną skarbnicę doświadczeń radzieckich. Nasz dobry znajomy inżynier dusz został zredukowany wraz z cięciami w administracji państwowej, choć jego czynności bynajmniej nie zawieszono: („My przecież nie produkujemy chleba – produkujemy moralne wartości ludzkiej postawy i postępowania" – stwierdził z ujmującą skromnością Andrzej Braun, który był dawniej „inżynierem", teraz, zgodnie z panującymi tendencjami, stał się prywatnym producentem).

Powstały nowe popaździernikowe sformułowania. Cechą ich jest jednak, że się w nowym klimacie prędko zużywają i już po niewielu tygodniach muszą być opatrywane marką ochronną, „t.zw." lub zgoła cudzysłowem. System sowiecki przez pewien czas wygodnie ukrywał się pod dziwnym pseudonimem kult jednostki (pewnie dlatego, że o żadnym kulcie żadnej bolszewickiej „jednostki" nie było nigdy mowy). Omawiano go również przy pomocy takich eufemizmów jak wypaczenia i błędy oraz łamanie praworządności. Ale dzisiaj te zwroty tak się wytarły że dla osiągnięcia zamierzonego celu muszą występować kolektywnie [...].

Ale większość dawnych wyrażeń pozostaje w niezmienionej postaci. Świadczy to, że wbrew plotkom Polska twardo trwa w obozie komunistycznym i nie myśli wyrzekać się jego zdobyczy [...].

Podobnej zamianie sensu uległy wyrazy realizm i utopia. Realizm zarezerwowano dla eksperymentów gomułkowskich; utopia stosuje się do „konserwy" komunistycznej. Prawda, że małżeństwo wyrazów konserwatyzm i utopia może się wydawać dziwne; ale kto się wgłębia w misteria semantyki komunistycznej, musi być przygotowany na wszelkie niespodzianki.

Prawda na usługach kłamstwa

Ale po dawnemu historyczne są uchwały partii i uchwały odwołujące tamte uchwały; po dawnemu postęp służy na określenie praktyk dokonywanych na połaciach leżących nie na zachód, ale na wschód od Łaby. Po dawnemu nędzę szerzącą się w Polsce nazywa się chorobą wzrostu, a nieludzkie warunki bytowania ludności – standardem życia. Skromni Anglicy mówią, że w ich kraju nie ma klimatu, tylko różne rodzaje niepogody; ale w Polsce różne odmiany nędzy upierają się nazywać standardem życia. Dlatego można czytać w odkrywczych wypowiedziach publicystów takie stwierdzenia jak to, że „standard życia w Ameryce jest obecnie niewątpliwie wyższy niż w spustoszonej przez wojnę Polsce", co jest kłamstwem wyrafinowanie skonstruowanym w oparciu na współczynniku prawdy: bo zawiera się w tym sugestia, że porównane zostały dwie porównywalne rzeczy i że rezultat porównania nie wypadł na korzyść „standardu" polskiego [...].

eprasa.pl d637dc41e0

Socjalistyczny zdrowy rozsadek

Gdyby wierzyć temu, co piszą w Polsce literaci i dziennikarze, trzeba by przyjść do przekonania, że jedynym marzeniem ich życia jest „dalsze" umocnienie dyktatury proletariatu i uczynienie go wyłącznym dysponentem wszelkich dóbr materialnych (i niematerialnych) Kraju. Ich aspiracji w tym względzie zdaje się nie zadowalać fakt ogłaszany jako niezbity ze wszystkich trybun, że robotnicy są pełnoprawnymi współgospodarzami swych fabryk.

Konstytucja angielska mówi o królowej, że jest właścicielką wszystkiego, co stanowi majątek państwa. Jest w tym zapewne nieco drętwej mowy w łagodnym wydaniu angielskim; ale nie ma jawnego natrząsania się jak w wypadku „gospodarzy" polskich; tych jedynych w dziejach świata gospodarzy, którzy strajkują przeciw samym sobie, którzy w związku z bezrobociem są bez ceremonii wyrzucani na bruk i których w ich własnych zakładach ma bronić ustawodawstwo pracy; ale gdy z tytułu łamania tego ustawodawstwa zgłaszają roszczenia o miliardowe sumy, ich pretensje zbywane są jako kpiny ze zdrowego rozsądku. Bo socjalistyczny zdrowy rozsądek polega na tym że się zabiera robotnikom ich pracę i pieniądze, a w zamian daje – tytuł własności [...].

Kult faktów

„Nadchodzą czasy – już nadeszły – gdy panować będzie kult faktów" – obwieszcza tryumfalnie najmłodsza latorośl rodu Bocheńskich (z linii bolszewickiej).

A jakie są fakty? Jednym faktem jest, że w Polsce zawsze jest pewność wygrania wyborów, jeżeli ożywiającą je siłą jest nienawiść do komunizmu. To jest koń, który doniesie do mety każdą partię, nie wyłączając Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Bo przecież wybory w Polsce wygrał Gomułka niesiony na skrzydłach swej olbrzymiej popularności. A skąd się ta popularność wzięła? Z przeszłych zasług dla narodu? Z uznania jego geniuszu politycznego? Ach, nie bratajmy się z absurdem.

Wypłynęła ona z jednego jedynego źródła: z nienawiści do partii, z protestu przeciw jej metodom, z naturalnej sympatii dla ofiary jej prześladowań. Gomułce nie tylko „historia włożyła na barki ciężar władzy"; walnie jej w tym dopomógł – wstręt do wszystkiego co bolszewickie. I trzeba było zwariowanych stosunków, wytworzonych w wyniku dwunastu lat gwałcenia praw ludzkich i boskich, by powstała sytuacja, gdy nienawiść do partii mogła stać się wehikułem, którym ta sama partia z większymi niż kiedykolwiek pozorami legalności zdołała dojechać do władzy.

A drugi fakt jest ten, że komunizm w Polsce jest tak silny, że zawsze może bezapelacyjnie wygrać wybory, jeżeli na jego listy oddadzą głosy wyborcy katoliccy. To już jest fakt znacznie mniej dziwny. Ja nie jestem człowiekiem bogatym – piszę te słowa dla chleba, panie, dla chleba – ale gdy się uwezmę, to zawsze mogę sfinansować zaporę wodną w Egipcie, jeżeli mi w tym dopomoże John D. Rockefeller (Jr.).

Występek, który się wstydzi swej nazwy

[...] Pisze się natomiast, że „Marks i Lenin mieli rację nad Wisłą"; że zwycięstwo Gomułki było wynikiem zaufania do partii komunistycznej i bezapelacyjnym dowodem powszechnego pragnienia socjalizmu. To już nie jest drętwa mowa, ale niebosiężny nonsens. Bo co ten socjalizm uczynił, aby usprawiedliwić jakiekolwiek inne dla siebie uczucia niż nienawiść i obrzydzenie? Uczynił jedno: starał się do siebie przekonać – przy pomocy siły. Ale siła nigdy jeszcze nikogo nie przekonała; co najwyżej zrobiła z ludzi hipokrytów. I niczym innym niż hipokrytami są ci, co się deklarują jako entuzjaści tej partii; i jeszcze większymi hipokrytami są ci, co głoszą jej przeszłe zasługi dla narodu.

Ale rzecz ciekawa: ci co mówią o „dorobku" i o „zdobyczach" socjalizmu, których rzekomo „lud nie pozwoli sobie odebrać", starannie przemilczają, jaki to był „dorobek" i jakie „zdobycze". Ba, unikają nawet nazwania okresu, w jakim zostały osiągnięte – socjalizmem. Ich socjalizm to występek, który wstydzi się swej nazwy. Występuje on pod różnymi pseudonimami: przeszły etap, miniony okres, okres błędów i wypaczeń, ponura noc stalinowska, czasy pogardy – wszystko, aby nie powiedzieć wyraźnie: socjalizm. [...]

Wyższość nad Zachodem

W Polsce nie tylko zmiany personalne nie pociągają za sobą zmian ideowych, ale i zmiany ideowe nie pociągają za sobą zmian personalnych – co najwyżej tylko chwilowe absenteizmy [...]. Bo w komunizmie przyszłość, to tylko przeszłość, która wchodzi innymi drzwiami. ■

_____

Przedruk za: „Wiadomości", 16 czerwca 1957, Londyn, nr 24 (585). Tytuł oryginału: „Drętwa mowa. Popaździernikowe metamorfozy".

eprasa.pl d637dc41e0

Marek Kalinowski

W piaskownicy dźwięków

„Primal Forms" to już czwarta płyta wybitnego klarnecisty Wacława Zimpla wydana tylko w tym roku. Album zasługuje jednak na szczególną uwagę, bo w duecie z brytyjskim producentem Samem Shackletonem, Zimpel łączy wielość zaiteresowań – od jazzowych improwizacji po muzykę etniczną i elektronikę.

Dla niektórych artystów czas pandemii okazuje się najbardziej twórczym momentem w dotychczasowej karierze. Wydawanie kolejnych płyt z dwumiesięcznymi przerwami to – przyznają Państwo – wynik dość imponujący. Mówimy jednak o muzyku, który od lat narzucił sobie dość intensywne tempo pracy, a samo wyliczenie projektów, w które był zaangażowany, zajęłoby kilka akapitów.

Wacław Zimpel jest jednym z naszych najwybitniejszych klarnecistów. Wykształcony klasycznie w poznańskiej Akademii Muzycznej, zdobył uznanie publiczności jako wszechstronny muzyk jazzowy, z ogromnymi sukcesami na scenie improwizowanej. Jego kolejne projekty przyciągały uwagę mediów z całego świata, a on wciąż poszerza pole swoich zainteresowań, od muzyki improwizowanej po minimalizm, muzykę etniczną i wreszcie z coraz większą pasją sięgając po elektronikę.

W lutym ukazała się płyta „Massive Oscillations", która jest zupełnie nową odsłoną w muzycznym świecie Wacława Zimpela. Oto nadarzyła się okazja, by spędzić tydzień w niderlandzkim studiu Willem Twee, gdzie miał do pełnej i wyłącznej dyspozycji zabytkowe instrumenty elektroniczne z połowy XX wieku. Wyobrażam sobie, że dla łaknącego nowych doświadczeń artysty wyprawa ta była wymarzoną przygodą, polem doświadczalnym, piaskownicą, w której czekało równie wiele odkryć, co i możliwości zagubienia. Jednak po odsłuchu płyty zatęskniłem za dawnym, minimalistycznym stylem, którym przed laty zachwycał na płycie „Lines".

Shackleton, Zimpel, PRIMAL FORMS, Cosmo Rhythmatic

Owe niderlandzkie poszukiwania, a nawet późniejsza współpraca z producentem „Massive Oscilations" Jamesem Holdenem (również zwieńczona płytą), na szczęście okazuje się zaledwie wstępem do tego, co słyszymy na najnowszym albumie Zimpela – duecie z brytyjskim gigantem muzyki elektronicznej Samem Shackletonem. Jeśli więc wahają się Państwo, po który z tych albumów sięgnąć, bez wątpienia polecam wybór ostatniego krążka – „Primar Drones", bo to duet idealny. Muzycy wypełniają role, w których są bez wątpienia mistrzami – Shackleton od dubstepowej, opartej na niskich dźwiękach elektroniki, a Zimpel od warstwy melodycznej – akustycznych jazzowych improwizacji.

Gdy gęsta elektronika pierwszego utworu „Primar Forms" delikatnie wycisza, wsłuchujemy się w wyraźne podmuchy, oddechy i miarowy stukot, być może kroki. Wacław Zimpel natychmiast wykorzystuje moment, by zarysować na klarnecie prostą, lecz jakże wciągającą melodię. Dochodzące z oddali dźwięki zaczynają na powrót niepokoić, podkład zapętla się i narasta. W transowych powtórzeniach, rytmicznym bogactwie Shackletona, Zimpel zyskuje niezwykłą przestrzeń do jazzowych improwizacji.

Podobnie jak na pierwszej, niderlandzkiej płycie, album budują trzy długie, szesnastominutowe utwory i choć wyraźnie podzielone są na części, to jednak stanowią całość wymagającą skupienia. Podświadomie łapię się na tym, że wolałbym wykorzystać te przejścia, uprościć i poszatkować utwory, zapewne łatwiej byłoby mi do nich wracać. Muzyka Zimpela wymaga jednak cierpliwości i na pewno nie da się przejść przez ten album w pośpiechu. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Męczennicy nierozmiękczeni

Za 100 złotych chłopak woził mamę na nabożeństwo. Przesiadując bite dwie godziny w samochodzie i paląc papierosy. Do dziś nie rozumie, co się wydarzyło tego dnia, kiedy na chwilę wszedł do sanktuarium, chcąc pośpieszyć ociągającą się mamę.

eprasa.pl d637dc41e0

Za oknami wciąż pada. Grube krople stukają o szerokie parapety. Gęste ciemne chmury spowiły niemal całe niebo. Kolejny deszczowy dzień. Mariusz otwiera przeszklone drzwi na końcu szpitalnego korytarza, przepuszczając Beatę. Od pewnego czasu oboje idą w milczeniu. Szarówka dnia dopełnia goryczy, jaka od kilkunastu minut zalewa ich myśli. Co gorsza, nic nie wskazuje, aby ten dzień miał się potoczyć lepiej.

– Żadnych nadziei? – zagaduje mężczyzna, otwierając nad żoną parasol, gdy wychodzą już na zewnątrz.

– Lekarz powiedział, że wyniki są nadal złe. Był szczery. Nie chciał robić złudnych nadziei.

– Chociaż tyle...

– Mariusz?... – dziewczyna jest bliska płaczu. Mężczyzna, widząc co się święci, szybko przytula ukochaną.

– Tak, kochanie?

– Czy to naprawdę już koniec? Nigdy nam się nie uda? Nigdy-nigdy? – rozpaczliwie łka w ramię męża.

– Nie. To nie jest koniec – spokojny głos Mariusza jest niczym balsam na zbolałe serce kobiety. – Nigdy nie można tak mówić. Wszystko jest po coś. Także ta sytuacja.

– Może faktycznie powinniśmy pomyśleć już o adopcji.

– Porozmawiamy o tym w domu. Teraz chodź do samochodu. Podjedziemy gdzieś na obiad. Przed nami troszkę drogi.

Mariusz jedzie powoli. Nie chce się spieszyć. Na dziś wystarczy im już zmartwień. A warunki na drodze nie zachęcają do brawurowej jazdy. Chociaż ruch na krajowej dziewiętnastce też jakiś inny niż zwykle. Ruchliwa zazwyczaj trasa z nadgranicznej Kuźnicy prowadząca przez Białystok, Lublin, Rzeszów aż po granicę ze Słowacją dziś jakby wyludniona.

Pomalowany na jasny błękit most nad Bugiem dziś też jakby smutniejszy. Zwykle przeprawa przez rzekę w tym miejscu kojarzyła się Mariuszowi i Beacie z nadzieją. To właśnie tędy od kilku miesięcy, odkąd trwa ich leczenie, jeździli na badania do białostockiej kliniki. Cały czas wierząc, że ostatecznie uda się pokonać bezpłodność. Że przyjdzie wreszcie upragniona wiadomość, że pod sercem kobiety zaczęło bić maleńkie serduszko. Ten most był więc dla nich oznaką utrzymywania tej nadziei. Mijali go już tyle razy. Dziś jest inaczej. Spowity w chmurach, zmoczony przez deszcz zdaje się też płakać. Razem z małżonkami. Jakby już znał wieść, z jaką wracają do domu.

Zaraz za rzeką drogowskaz wskazuje skręt w lewo na Serpelice. To trasa na wschód. Prowadząca drogami lokalnymi. Przez nadbużańską krainę pełną podmokłości, ciemnych lasów i łąk.

– Byłaś kiedyś w Pratulinie?

– Nie, dlaczego pytasz?

– Bo może warto, byśmy pojechali?

– Naprawdę myślisz, że to dobry dzień?

– Myślę, że najlepszy.

Granatowy peugeot szybko zmienia pas, ustawiwszy się do skrętu w lewo. Po kilku sekundach jest już na lokalnej drodze prowadzącej przez młody las świerkowy. Od tej pory droga będzie wyglądać właśnie tak. Systematycznie odbijając w prawo, jakby spychana przez opływający ją od lewej strony Bug, będzie prowadzić coraz bardziej na południowy-wschód. Aż wyprowadzi na szerokie pola rozlewisk granicznego odcinka rzeki.

▶ Za rękę pod mogiłę

– Jesteśmy – Mariusz z ulgą w głosie przekręca kluczyki w stacyjce. Trasa zaczęła go już troszkę nużyć. Chętnie wyprostuje nogi.

Na dużym placu parkingowym pod Domem Pielgrzyma nie widać żadnego auta ani człowieka. Cisza i pustka.

Młodzi udają się do stojącego przy drodze kościoła. Ku ich zdziwieniu świątynia jest otwarta. W środku jednak nie ma nikogo. Chwilę później udają się na pobliską polanę. Z malowniczym stawem pośrodku. Obok znajduje się drewniana rekonstrukcja świątyni. To replika XIX-wiecznej cerkiewki stojącej niegdyś w tym miejscu. Będącej świadkiem najbardziej dramatycznych i tragicznych zarazem chwil, jakie pamięta historia tej ziemi. Właśnie w tym miejscu swoje życie za wiarę i wierność wyznawanej tradycji oddało trzynastu mężczyzn. Mężnych unitów. Dziś już błogosławionych.

– Chodź, tam ich pochowali – Mariusz czytając na pobliskiej tablicy historię feralnego dnia 24 stycznia 1874 roku, jest coraz bardziej podekscytowany. Chwyta za rękę siedzącą na drewnianej ławeczce Beatę i zaczyna prowadzić ją polną drogą.

– Gdzie idziemy tym razem?

– Do miejsca pochówku tych dzielnych ludzi – odpowiada, idąc z pośpiechem. – Opowiem ci, jak dojdziemy na miejsce.

Niewielka mogiła znajduje się na skraju gęstego lasu. Na środku wykoszonej przez kogoś polany widać kapliczkę. Otoczoną niewysokim ogrodzeniem. Jest i kamień. Z białym napisem: „Tu spoczywają ciała męczenników, którzy dnia 24 stycznia 1874 roku w Pratulinie oddali życie w obronie wiary, Kościoła i polskości. Módlmy się o wyniesienie ich na ołtarze".

– Rosjanie pogrzebali ich w anonimowym dole. Z dala od rodzimej wioski – szepcze Mariusz, gdy oboje z żoną stoją przed kamienną płytą zbiorowej mogiły. – Tak bardzo bali się ich świadectwa.

– Zakopali ich właśnie tutaj? – dopytuje dziewczyna.

– Tak, tutaj. Przy lesie – mężczyzna na chwilę zawiesza głos. – Pomodlimy się?

– Teraz? – Beata jest wyraźnie zaskoczona.

– Tak, teraz. Krótko. O wieczny odpoczynek dla tych ludzi. A dla nas... A dla nas wiesz, o co...

– Wiem...

eprasa.pl d637dc41e0

Wnętrze pratulińskiego Martyrium. Budowla, która miała nawiązywać do stojącej w tym miejscu cerkiewki z 1874 roku, pochodzi z podłukowskiego Stanina

„Jak nie oni, to już nikt"

Ksiądz Jacek właśnie wrócił z koszenia trawy. Lubi to robić. Podobnie jak lubi spocić się, gdy trzeba narąbać drewna. Czy zreperować dach plebani. Spełnia się fizyczną pracą. Wychowany na kockiej ziemi nigdy nie brzydził się pracą w polu. Nawyk pozostał do dziś. Dopiero teraz dostrzega kilka nieodebranych połączeń w telefonie. Musiał nie słyszeć, gdy kosił.

– Szczęść Boże! – w słuchawce słychać mocno podniecony głos kobiety.

– Bóg zapłać. Tu ksiądz Jacek. Ktoś kilka razy dzwonił na ten numer. Można wiedzieć, z kim mam przyjemność?

– Jestem Beata – przedstawia się kobieta. – Chciałam księdzu powiedzieć coś bardzo ważnego.

– Zamieniam się w słuch – ksiądz właśnie wchodzi na plebanię.

– Wraz z mężem byliśmy niedawno w pratulińskim sanktuarium...

– Bardzo się cieszę – wtrąca sympatycznie ksiądz Jacek. – Mam nadzieję, że się podobało.

– Oj, tak. Pięknie tam. Ale ja o czymś innym... Od lat leczymy się z mężem na bezpłodność. Tego dnia wracaliśmy z białostockiej kliniki. Z bardzo kiepskimi wiadomościami, jeśli chodzi o dalszy proces leczenia. Lekarze nie dawali nam już większej nadziei. Zboczyliśmy z trasy, aby zajechać do Pratulina. Mąż zaproponował modlitwę w miejscu pochówku błogosławionych męczenników.

– Brawo! To dobry adres! – podchwytuje temat ksiądz Jacek.

– Ksiądz nie uwierzy, ale...

– Jesteś w ciąży – zgaduje kapłan.

– Tak! Niedawno odebraliśmy wyniki badań! To jest niewiarygodne! To jakiś cud!

– A pamięta pani, jak się modliliście wtedy nad grobem?

– Oj, to nie było nic szczególnego. Kilka słów, dosłownie „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie... Pratulińscy Męczennicy, módlcie się za nami". Krótka, zwykła modlitwa.

– Ale poczuliście coś podczas tej modlitwy? – pyta nieco prowokująco kapłan. – Jakiś znak, jakieś ciepło, cokolwiek?

–A gdzie tam?! Proszę księdza, normalna modlitwa. Bez fajerwerków.

– No właśnie. To jest to... – ksiądz Jacek jest nad wyraz spokojny. Po jego głosie można wywnioskować, że podobnych rozmów odbył już przynajmniej kilka. Jeśli nie kilkadziesiąt. – Widzi pani, my w Pratulinie mamy takie powiedzenie, że „jak pratulińscy męczennicy nie pomogą, to już nic nie pomoże".

eprasa.pl d637dc41e0

Współczesna historia sanktuarium to coraz więcej świadectw i cudów w życiu odwiedzających to miejsce wiernych

Wyjątkowy strażnik

– Widzi pan... – ksiądz Jacek odkłada na chwilkę przeglądaną księgę z nadesłanymi świadectwami. – Tego typu historii jest w Pratulinie coraz więcej.

– Rzeczywiście mocna historia z tym małżeństwem – odpowiadam, samodzielnie przeglądając kolejne spisane świadectwa.

– Ale niejedyna, panie Stefanie, niejedyna. Tego jest coraz więcej – uśmiecha się kapłan. By po chwili zażartować: – Aż się boję, że te kobiety zaraz mi tu urządzą jakieś „sanktuarium poczęcia", jak to niektórzy zaczęli już Pratulin nazywać...

Sanktuarium opiekuje się od sześciu lat. Ma do pomocy dwóch wikarych. Przed pandemią wszyscy mieli pełne ręce roboty.

– Sława cudów za wstawiennictwem błogosławionych męczenników z Pratulina zataczała coraz szersze kręgi – wyjaśnia. – Koronawirus troszkę nas zastopował. W zeszłym roku przyjechało do nas jakieś 50 tysięcy pielgrzymów. W obecnym Dom Pielgrzyma świeci pustkami.

Ksiądz Jacek jednak nie narzeka. Nadal robi swoje. Jako pasjonat każdemu z przybyłych w to miejsce pielgrzymów poświęca tyle czasu, na ile pozwalają mu obowiązki. Kreśląc pokrótce historię tego miejsca. A także opowiadając o kolejnych cudach, o jakich piszą mu ludzie w coraz liczniej przesyłanych na adres parafii świadectwach.

„To czerstwy, zdrowy chłop. Dogadasz się z nim" – zachwalał mi swego czasu księdza Jacka Marek. Przyjaciel miał okazję poznać go nieco wcześniej. „Męska perspektywa, zdecydowanie. Żadnego gwiazdorzenia. Robienia problemów. Zobaczysz". Miał rację. Zresztą po wizycie tutaj odnoszę wrażenie, że pratulińscy męczennicy nie pozwoliliby, aby w tym miejscu rozporządzał ktoś o innym charakterze. I to raczej oni go sobie wybrali, a nie na odwrót. I chyba ksiądz Jacek doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Dobrze wie, że jest tu z powołania. Że stoi na straży czegoś niezwykle cennego.

Carowie walczą z unitami

To był piątek. Wspomniany już 23 stycznia 1874 roku. Mała wioska na prawym brzegu Bugu. Pratulin. Kilka dni temu niejaki Kutanin, carski naczelnikiem powiatu, usunąwszy dotychczasowego biskupa oraz księży, zapowiedział parafianom tutejszego Kościoła unickiego (powstałego na mocy traktatów Unii Brzeskiej z 1596 roku, które to umowy doprowadziły do tak długo oczekiwanego zjednoczenia Kościoła prawosławnego na terenach Rzeczpospolitej z Kościołem katolickim i papieżem), że do ich cerkwi zostaną wprowadzenie obrzędy prawosławne, samych zaś wiernych wcieli się do Kościoła prawosławnego znajdującego się pod jurysdykcją Moskwy. W praktyce oznaczało to ponowne zerwanie jedności

eprasa.pl d637dc41e0

Relikwie Pratulińskich Męczenników przechowywane są dziś w głównym ołtarzu sanktuarium

z papieżem. Cały zaś proceder wpisywał się w szeroko zakrojoną od lat carską akcję likwidacji niewygodnego dla Moskwy Kościoła dzielnych unitów. Kolejni carowie i caryce bezskutecznie próbowali przecież włączyć krnąbrnych wiernych Kościoła greckokatolickiego do swojego, prawosławnego. Wprowadzając nakazy, zakazy, nakładali kary pieniężne. Do najbardziej opornych wiosek wprowadzali oddziały kozackie, które żyły od tej pory na koszt mieszkańców, odbierając miejscowym dobytek i płody rolne. Wobec tych bardziej opornych stosowano drastyczniejsze metody, choćby zabraniając przez całe tygodnie wypędzania bydła na pastwiska.

W Pratulinie zadziało się jednak coś z ludzkiego punktu widzenia zupełnie nieprawdopodobnego. Ani ryk niewyprowadzonych przez kolejne tygodnie na pole zwierząt, ani płacz głodnych dzieci, ani życie w strachu przed uzbrojonymi Kozakami nie były w stanie zmusić miejscowych unitów do porzucenia swojej wiary. Pozbawieni przywództwa – ich duchowni zostali już dawno uwięzieni siłą w cerkwiach księży prawosławnych, bardziej oporną część zesłano zaś na Sybir – nadal trwali. Doskonale przeczuwając, czym taki czynny opór może się skończyć. Jak wysoką cenę trzeba będzie za niego zapłacić.

Namaszczony przez carską władzę duszpasterz ksiądz Leontyn Urban nie został więc wpuszczony do pratulińskiej cerkwi. Obruszony Kutanin postanowił zatem wprowadzić nowego proboszcza siłą. Nie swoją. Kozaków.

▶ Rzeź

„Może także ja będę godny, że mnie zabiją" – powiedział do swoich bliskich 19-letni Anicet Hryciuk, wychodząc tegoż piątkowego dnia z domu. Podobnie zresztą myślało wielu pragnących bronić tego dnia unickiej świątyni. Opuszczali swoje domostwa dostojnie ubrani. Jakby przeczuwając, że może być to dla nich dzień ostatecznego powołania. Mieli rację.

Sotnia Kozaków przybyła tego dnia do Pratulina pod dowództwem pułkownika Steina, niemieckiego luteranina. Miejscowi czekali na najeźdźcę pod cerkwią. Dowódca Kozaków pozostawiwszy uzbrojony oddział za świątynnym ogrodzeniem, raz jeszcze zażądał kluczy do cerkwi.

„Panie naczelniku" – odpowiedział mu Daniel Karmasz, jeden z tarasujących wejście do świątyni. „Gdyście zabierali nam organy, zaręczałeś nam, że rząd nie ma zamiaru narzucać nam prawosławia. Powiedziałeś, że gdyby kto kiedy od nas lub od naszej cerkwi zażądał czegoś więcej, to wtedy możemy wszyscy, starzy i młodzi, wziąć kołki i za wieś przepędzić każdego, choćbyś ty sam był wtrącającym się do naszej wiary i cerkwi. Tyś sam więc nas nauczył i upoważnił, że dziś stoimy w obronie naszej cerkwi i wiary, gdy nam przez popa chcecie narzucić prawosławie, a cerkiew świętą sprofanować. Dziś sądzisz, panie, swoją własną sprawę i swoje słowa. Nie wzięliśmy jednak kołków, jakieś ty nam

eprasa.pl d637dc41e0

O miejscu potajemnego pochówki Męczenników wiemy od kilku miejscowych, którzy podejrzeli zawczasu niecne działania Rosjan

nakazał, wolimy stać i umrzeć bezbronni, przy świętym progu naszej cerkwi".

I rzeczywiście. Pratulińscy chłopi czekali na Kozaków bez żadnej broni. Z wyjątkiem pozbieranych w okolicy kamieni czy leżących przed cerkiewką drewnianych badyli. To właśnie nimi dali odpór pierwszemu napadowi Kozaków. Ten drugi miał się już dokonać z użyciem broni palnej. Wycofanym poza świątynne ogrodzenie żołnierzom rozkazano rozwinąć sztandar wojskowy i nabić karabiny. W odpowiedzi obrońcy cerkwi chwycili za ostatnią broń, jaką dysponowali. Za krzyż. Dzierżony akurat przez Daniela Karmasza. „Odrzućcie wszystko! Kołki i kamienie! Pod kościół!" – zakrzyknął przytulony do drewnianego krzyża chłop. „To nie bitwa o kościół! To walka za wiarę i za Chrystusa!".

„Kto się w opiekę odda Panu swemu, a całym sercem szczerze ufa Jemu..." – zaintonował ktoś ze stojących za Karmaszem.

„гонь!" – rosyjska komenda do wystrzału przerwała na chwilę śpiewaną pieśń.

Pierwsze strzały dosięgły Wincentego Lewoniuka. Na ziemię padł również Daniel Karmasz. Krzyż, który przed chwilą trzymał, szybko podniósł ze śniegu Ignacy Frańczuk. Po chwili jednak nie żył także on. Na ziemię padł również Anicet Hryciuka, który z taką wiarą w śmierć wychodził tego poranka z domu.

„Już narobiliście mięsa!" – wykrzyknął naraz do strzelających Filip Geryluk, podnosząc martwe ciało dziewiętnastoletniego sąsiada. „Możecie go mieć więcej, bo wszyscy jesteśmy gotowi umrzeć za naszą wiarę!".

Po chwili i jego dosięgła kula. Podobnie jak i ośmiu kolejnych. Przez bezwładne ciała trzynastu zamordowanych unitów Kozacy dostali się wreszcie do bram świątynnych. Wyważając drzwi siekierą. W tym czasie na pokrytym białym puchem polu miejscowi szukali swoich bliskich. Licząc, że znajdą się oni wśród około 180 rannych leżących bądź ratujących się ucieczką spod świątyni. Ciała bohaterskich trzynastu męczenników trzymano na mrozie jeszcze całą dobę. Dopiero po tym czasie pogrzebano ich w tajemnicy. Maskując mogiłę tak, aby nikt nie wiedział, gdzie leżą ich ciała. Na szczęście znaleźli się świadkowie, którzy potrafili odnaleźć miejsce pochówku pratulińskich męczenników. To właśnie w to miejsce po niespełna 150 latach zawędrowali wracający z Białegostoku Mariusz z Beatą.

Nierozumiane nawrócenie

– Przewrotnie wcale tak dużo świadectw o cudach wśród lokalnych mieszkańców nie mamy – opowiada ksiądz Jacek. – Bardzo dużo ludzi mówi nam wprost, że wolą przeżywać te cuda w swoim sercu. Nie chcą zbierać dokumentacji, dowodów. Wolą pokazywać owoce tych cudów swoim życiem.

eprasa.pl d637dc41e0

Pomimo to świadectw nawróceń i cudów w pratulińskich księgach już trochę jest. Jest historia uzdrowienia dziewczyny ze stwardniania rozsianego. Cud wymodlony przez rodziców chorej. Jest też historia pewnego niewierzącego młodzieńca.

– Przyjeżdżał tutaj z mamą. Ta płaciła mu stówę, żeby tylko przywoził ją na comiesięczne nabożeństwa „Pratulińskiej Szkoły Wiary" – opowiada ksiądz Jacek. – Chłopak więc brał stówę i przywoził. Przesiadując całe nabożeństwo w aucie i paląc papierosy. I tak trwało to kilka miesięcy. Kobieta, jak łatwo zgadnąć, modliła się w tym czasie za swego pogubionego syna. Któregoś dnia nabożeństwo troszkę nam się przedłużyło. Zniecierpliwiony chłopak postanowił więc wejść do kościoła, aby namówić mamę do wyjścia. „Ileż można się modlić?!" – pomyślał zdenerwowany. Wszedł i kątem oka zobaczył siedzącego w konfesjonale kapłana. Podszedł i się wyspowiadał.

– Jak zgaduję, tym kapłanem w konfesjonale był ksiądz? – pytam, uśmiechając się.

– Tak, to byłem ja. Słuchając tej spowiedzi, powiedziałem temu chłopakowi, że to jedna z najlepszych spowiedzi, jaką słyszałem. Pogratulowałem przygotowania. A on mi na to, że jest u kratek konfesjonału po raz pierwszy od czasów bierzmowania. I że on zupełnie tego nie rozumie. Nie planował.

– Moment łaski. Znalazł się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu...

– Żeby było śmieszniej, o tej porze nabożeństwa zwykle już nie spowiadamy. Uznając, że kto chciał, już zdążył podejść. Tym razem postanowiłem posiedzieć w konfesjonale nieco dłużej. Poobserwować, jak z prowadzeniem tego nabożeństwa radzi sobie mój wikariusz...

– Wie ksiądz, co wydarzyło się z tym chłopakiem po spowiedzi?

– Oczywiście. Sam mi to potem opowiadał – śmieje się ksiądz Jacek. – Tego samego dnia wieczorem, gdy mama klękała do różańca, on podszedł i zapytał, czy może się przyłączyć. Kobieta w szloch. W niedzielę zapytał, czy może pojechać z nią do kościoła. Kobieta wyciągnęła banknot pięćdziesięciozłotowy, by tak jak zwykle zapłacić za transport. A on na to, że nie. Że tym razem to on też chce iść z nią na mszę. Kobiecie znów zaszkliły się oczy. Jej modlitwy zostały wysłuchane.

Bez pointy

Gdy ksiądz Jacek kończy swoją opowieść, słuchać delikatny łoskot. Szuranie dochodzi gdzieś z tyłu drewnianej cerkiewki, w której akurat siedzimy. Okazuje się, że naszej rozmowie od pewnego czasu przysłuchuje się dwójka mężczyzn. Przyjechali odwiedzić sanktuarium. Po niepewnych ruchach można wnioskować, że też są tu po raz pierwszy. Nie wiem, jak długo siedzą za moimi plecami i słuchają historii proboszcza. Ale po uśmiechach dedukuję, że to już jakiś dłuższy czas.

„Bardzo dziękujemy!" – machają przyjaźnie na pożegnanie, wstając z miejsc.

To jednak jedyni goście, jakich dziś tutaj dostrzegłem. Poza nimi nie ma nikogo.

– To ja wracam do pracy, a ty sobie tutaj teraz posiedź, porób zdjęcia, popracuj... – ksiądz Jacek również opuszcza Martyrium.

Zostaję sam. Przez otwarte okna drewnianej cerkiewki przewiezionej tu aż spod Łukowa (według archeologów właśnie XVII-wieczna świątynia ze Stanina najbardziej pasowała, jeśli chodzi o wierność, do oryginalnej cerkwi stojącej niegdyś na pratulińskim placu) słychać delikatny podmuch wiatru. Mam teraz troszkę czasu, aby nieco dokładniej przyjrzeć się wiszącym na ścianach tablicom. Są tu historie męczeńskiej śmierci pratulińskich błogosławionych. Są zdjęcia. Są świadectwa. Są drewniane elementy, zachowane pamiątki które mają pomóc w wędrówce w czasie. O te 146 lat wstecz.

Wychodzę na zewnątrz. Za malowniczym ogrodzeniem otaczającym Martyrium widać równo skoszoną łąkę. Kapłani sami dbają o to, aby to miejsce było także ucztą dla oka. Póki co udaje im się to nad wyraz doskonale.

Dokoła stawu widać drewniane figurki zabitych przez kozacki oddział błogosławionych. Od jednego do kolejnego prowadzą tzw. Dróżki Męczenników. Za wąską pustą szosą leśny dukt prowadzi już inną drogą. Tym razem krzyżową. Za ostatnią czternastą stacją znajduje się mogiła bohaterskich chłopów. Także tutaj wszystko jest zadbane. Skoszona trawa, jakiś pieniek, kwiaty.

– Relikwie męczenników znajdziesz w kościele. Są pod głównym ołtarzem – instruuje mnie ksiądz Jacek. – Jak skończysz, zapraszam do siebie na obiad.

Tym razem jem w milczeniu. Za wiele dziś usłyszałem. Jeszcze więcej zobaczyłem. Wreszcie przekonałem się o sile rozcieńczania naszej wiary. O przepaści, jaka dzieli mnie od tych trzynastu świętych. Bo przecież mogli machnąć ręką. Zasypać sumienie usprawiedliwieniem, że „inaczej się przecież nie dało". Że „władza kazała". Że „takie czasy". Ale tej trzynastki nie dało się rozcieńczyć. Chcąc być w łączności z umiłowanym ojcem świętym, oddali to, co mieli najcenniejsze.

Mocne przesłanie. Pobudzające. Wręcz zawstydzające. Do Pratulina warto przybyć przede wszystkim właśnie dla tego uczucia. Dla otwarcia oczu. Może teraz łatwiej będzie zrozumieć? Ci wyniesieni na ołtarze ludzie nie mieli wątpliwości nawet przez chwilę. Doskonale wiedzieli, co mają robić. Po której stronie się opowiedzieć. I tutaj nie ma już co dodawać. Nie ma co myśleć nad zaskakującą pointą tekstu. Zwłaszcza dzisiaj w 2020 roku. Zwłaszcza teraz. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Dorota Kania

Borowinowe dzieci

Chcesz mieć córkę albo syna, przyślij żonę do Połczyna – powiedzenie, które powstało dziesiątki lat temu, funkcjonuje do dziś. Kryje się za nim naturalna metoda leczenia bezpłodności borowiną, która została odkryta w latach 50. poprzedniego stulecia.

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl d637dc41e0

Obecny rok jest ostatnim rokiem rządowego planu leczenia bezpłodności, co nie oznacza, że zostanie on definitywnie zakończony. Jak czytamy w „Programie kompleksowej ochrony zdrowia prokreacyjnego w Polsce na lata 2016–2020", w trakcie realizacji strategii oraz po jej zakończeniu będzie przeprowadzona analiza oraz ocena jej efektów. Dopiero potem zostanie podjęta decyzja o jej kontynuowaniu w ramach kompleksowego programu polityki zdrowotnej. Program był bardzo mocno krytykowany przez środowiska liberalno-lewicowe, ponieważ nie ma w nim metody *in vitro*, podczas której zanim dojdzie do skutecznego zapłodnienia (co nie zawsze się udaje), jest niszczone życie ludzkie. Przedstawiciele Kościoła zwracają uwagę, że *in vitro* narusza godność wszystkich uczestników procedury: małżonków, tworzonego lub zamrożonego zarodka oraz medyków podejmujących niegodne ich profesji działania. W tym kontekście dodaje się, że omawiane metody są niebezpieczne dla kobiety oraz dla dziecka, które jest poczęte w całkowicie sztucznych warunkach. Wśród przedstawicieli Kościoła pojawia się także opinia, że *in vitro* to omijanie, a nie rozwiązanie problemu niepłodności.

Poważny problem

Rządowy kompleksowy program leczenia bezpłodności wszedł w życie w 2016 roku. Za czasów rządów koalicji PO-PSL w 2013 roku wprowadzono refundację zabiegów *in vitro* i była to tak naprawdę jedyna propozycja dla par, które nie mogły mieć dzieci, a pragnęły potomstwa. Teraz jest realizowany program oparty na naprotechnologii – naturalnej metodzie leczenia bezpłodności; kompleksową diagnostyką niepłodności zajmuje się 16 ośrodków referencyjnych. Według szacunków przyczyny niepłodności są rozłożone równomiernie zarówno po stronie kobiet, jak i mężczyzn, przy czym czasami diagnozuje się ją u obojga partnerów. Dodatkowym problemem jest to, że u około 20 proc. par dotkniętych niepłodnością nie można zdiagnozować jej przyczyny. Dlatego też w rządowym programie uwzględniono specjalistyczne szkolenie dla personelu medycznego z zakresu procedur diagnozowania i leczenia bezpłodności oraz prowadzenia kompleksowej diagnostyki niepłodności.

Wśród metod leczenia bezpłodności refundowanych przez Narodowy Fundusz Zdrowia nie znalazło się leczenie borowiną, chociaż są dowody na jego skuteczność.

Leczenie bezpłodności w Połczynie ma bardzo długą tradycję. Do lat 80. w sanatorium w Połczynie-Zdroju był specjalistyczny profil: leczenie bezpłodności. – W tej chwili przyjeżdżają do nas kuracjuszki kierowane przez NFZ, ponieważ mamy profil ginekologiczny. Staramy się o przywrócenie marki i powrót do korzeni, czyli leczenie bezpłodności metodami naturalnymi. Wiemy, że są one skuteczne, że pomagają i teraz jest najważniejsze nawiązanie współpracy z akademiami medycznymi, żeby nie tylko mieć patronat naukowy, lecz przede wszystkim odpowiednią kadrę. Wierzę, że to się uda. Jesteśmy po rozmowach w NFZ i widzimy szansę w reaktywacji turnusów, na które będą do nas kierowane pacjentki w związku z leczeniem bezpłodności. Rozmawialiśmy z wieloma uczelniami medycznymi – rozmowy zawsze wyglądały obiecująco, ale finalnej współpracy nie było. Mam nadzieję, że osiągniemy sukces – jeżeli nie uda się z NFZ, to będziemy organizować turnusy komercyjne, ponieważ borowinowa metoda leczenia bezpłodności była i jest skuteczna – mówi Romuald Michel, prezes zarządu Uzdrowiska Połczyn Grupa PGU S.A.

Skuteczna metoda

– 25 procent naszego młodego społeczeństwa boryka się z problemem niepłodności – jest to ważny temat i dlatego też trzeba mówić o zaletach i pozytywnych skutkach leczenia niepłodności za pomocą borowinowych zabiegów – mówi dr Helena Krasowska-Podpora, ginekolog położnik z Połczyna-Zdroju, gorąca orędowniczka leczenia bezpłodności borowiną.

– Żyjemy w takich czasach, w których do leczenia niepłodności stosuje się różne metody: leczenie borowiną może być jedyną metodą, może też być metodą wspomagającą, może być ogromnym wsparciem w osiągnięciu sukcesu macierzyństwa. Borowina działa na nasze zmysły, na nasze hormony, powoduje lepszą owulację, lepsze przekrwienie narządów rodnych, niekiedy udrożnienie jajowodów, lepszą perystaltykę. Jeżeli nie ma przeciwwskazań medycznych – na przykład chorób nowotworowych, to polecam sięgnięcie po zabiegi borowinowe. Zawsze warto spróbować – myślę, że borowina może być przedsionkiem do innych metod, a czasami jest to jedyna skuteczna metoda – podkreśla dr Helena Krasowska-Podpora.

Dziś, po wielu latach doświadczeń i badań, okazuje się, że te wszystkie walory borowiny zostały potwierdzone – jako surowiec zabiegowy ma ona ogromne znaczenie w medycynie baneologicznej, w leczeniu chorób kobiecych, a przede wszystkim niepłodności.

– Mam osobiste doświadczenie związane z tą metodą leczenia niepłodności – do Połczyna przyjeżdża-

eprasa.pl d637dc41e0

ją tzw. borowinowe dzieci. Odwiedzają nas panie i mówią: „Moja babcia była tu przed laty i po zabiegach urodziła się moja mama, która też miała problemy z zajściem w ciążę. Przyjechała więc do Połczyna i po kuracji borowinowej ja się urodziłam". Nie mamy statystyk, ile urodziło się „borowinowych dzieci", a szkoda. Przychodzą natomiast do nas listy z całej Polski, z Litwy, Francji, ze Szwecji ze zdjęciami maluchów z podpisami, że są to właśnie borowinowe dzieci – mówi dr Krasowska-Podpora.

Podczas leczenia bezpłodności i chorób kobiecych w Połczynie-Zdroju są stosowane tzw. majtki borowinowe, wlewki, okłady, tampony – do tego celu jest wydzielony cały kompleks leczniczy w uzdrowisku.

▶ „Czarne złoto"

Połczyn-Zdrój jest jednym z wielu miast uzdrowiskowych, które swoją działalność leczniczą opierają na naturalnych surowcach, czyli borowinie i solance. Borowinę wydobywa się podobnie jak węgiel brunatny, czyli w kopalni odkrywkowej. W latach 50. ubiegłego stulecia, kiedy tę borowinę zbadał Henryk Gromadzki, profesor gdańskiej Akademii Medycznej, stwierdził, że może ona przynieść pozytywne skutki w leczeniu chorób kobiecych, a przede wszystkim niepłodności. Kobiety, które były poddawane zabiegom borowinowym, bardzo często zachodziły w ciążę i szczęśliwie zostawały matkami. Henryk Gromadzki w Sanatorium Podhale w Połczynie-Zdroju utworzył ośrodek balneologii ginekologicznej zajmujący się leczeniem niepłodności i chorób kobiecych. Borowina połczyńska ma szczególne walory lecznice i uchodzi za jedną z najlepszych w Europie Środkowej. Zawiera najwięcej elementów leczniczych: sole mineralne, enzymy, kwasy hialuronowe, fitohormony. Po podgrzaniu długo utrzymuje wysoką temperaturę, ale nie parzy, co jest niezwykle istotne przy zastosowaniu jej w zabiegach. Dzięki temu uzyskuje się efekt silnego, głębokiego i równomiernego podgrzania części ciała poddanych zabiegowi (42–45°C), a zawarte w borowinie kwasy organiczne i sole nadają jej właściwości przeciwzapalne, ściągające, bakteriostatyczne i bakteriobójcze. Zabiegom borowinowym z uwagi na temperaturę okładów towarzyszy intensywne pocenie. Wraz z potem organizm pozbywa się zbędnych produktów przemiany materii. Ciepło przyspiesza przepływ krwi i łagodzi ból, a rozpuszczone w wodzie aktywne składniki borowiny (kwasy huminowe, enzymy, estrogeny i mikroelementy) wnikają w głąb organizmu przez skórę i działają nawet na odległe narządy, takie jak jajniki i macica. Ponadto istnieje też transport odwrotny, tj. ze skóry do warstwy borowiny. W ten sposób skóra i organizm oczyszczają się, a zjawisko to nazywane jest „dializą skórną".

Borowina, nazywana „czarnym złotem", ma niezwykłe właściwości lecznicze. Stosowana jest w leczeniu chorób reumatycznych, niektórych chorób narządów wewnętrznych i właśnie schorzeń ginekologicznych. Nie wszyscy mogą korzystać z leczenia borowiną – przeciwwskazaniem są nowotwory, czynne postacie reumatoidalnego zapalenia stawów, stany gorączkowe, skłonność do krwawień, ciąża, gruźlica, choroby nerek, niewydolność oddechowa oraz krążenia, ostre stany zapalne, niestabilna dusznica bolesna, zaawansowana miażdżyca, nadczynność tarczycy, choroby zakaźne.

Borowina jest rodzajem torfu, którego badaniem przez całe życie zajmował się prof. Stanisław Tołpa, wrocławski naukowiec. Jak czytamy w opracowaniach dotyczących prof. Tołpy, pod jego kierunkiem przebadano bagna i torfowiska w Dolinie Biebrzy, na Mazurach i na Lubelszczyźnie. Opracował klasyfikację torfów europejskich. Z czasem zainteresowania przesuwały się z historii i morfologii torfowisk na chemiczne i biologiczne właściwości ich składników. Wykrył związki chemiczne o szczególnej aktywności biologicznej. Na podstawie jego badań w latach 60. XX wieku powstał preparat torfowy Tołpy, mający w założeniu stać się lekiem przeciwnowotworowym. Jego badania przyczyniły się także do uchwalenia ustawy o ochronie złóż torfowych w Polsce. ■

„25 PROCENT NASZEGO MŁODEGO SPOŁECZEŃSTWA BORYKA SIĘ Z PROBLEMEM NIEPŁODNOŚCI – JEST TO WAŻNY TEMAT I DLATEGO TEŻ TRZEBA MÓWIĆ O ZALETACH I POZYTYWNYCH SKUTKACH LECZENIA NIEPŁODNOŚCI ZA POMOCĄ BOROWINOWYCH ZABIEGÓW".

eprasa.pl d637dc41e0

Olga Doleśniak-Harczuk

Amo, Dibobe, Fortuna. Opowieści afroniemieckie

Biały nagrobek w popołudniowym skwarze zlewa się z murami twierdzy San Sebastian. Na kamieniu wyrzeźbiono prosty krzyż, całość okala niski murek. Mieszkańcy Shamy suszą nad grobem ubrania, wyrzucają śmieci, pasą kozy. Tu spoczywa Anton Wilhelm Amo (1703–1784), ikona ruchu Afroniemców, człowiek, którego imieniem nazwano właśnie jedną z ulic Berlina. W przybranej ojczyźnie w końcu uhonorowany, w prawdziwej prawie nieznany. Pierwszy czarny filozof Europy, zaprzęgnięty do walki z rasizmem i kolonializmem, spoczywa pod sznurem z wypraną bielizną.

Johann Jakob Schmetz, portret Franziski Christine von Pfalz-Sulzbach.

epfasa.pl d637dc41e0

FOT. WIKIPEDIA

740 tysięcy – na tyle Federalny Urząd Statystyczny szacuje dziś liczbę Afrykańczyków na stałe mieszkających w Niemczech. Wielu z nich wywodzi się z diaspory czasów kolonialnych, to potomkowie tych, którzy zostali przywiezieni z Kamerunu i Togo, wnuki przetrzymywanych w obozach koncentracyjnych przez Niemców ludów Herrero i Nama, czasem Senegalczycy. Od 2015 roku do starej emigracji afrykańskiej dołączyła ta nowa. Przedstawiciele zasiedziałej emigracji są dobrze zasymilowani, często wszechstronnie wykształceni i zaangażowani w życie społeczno-kulturalne Niemiec, które postrzegają jako swój dom. Pytani o to, kim się czują, odpowiadają: Afroniemcami. Niektórzy wybierają karierę polityczną. Tak jak Charles M. Huber, były członek CDU, a dziś doradca prezydenta Senegalu, Karamba Diaby, poseł SPD, z wykształcenia chemik i geolog, czy Aminata Toure, polityk Zielonych, która do Niemiec zbiegła z Mali po pamiętnym puczu 1991 roku.

Dealerzy z Görli

Świeża emigracja to odrębny temat. Miną dekady, zanim wsiąkną w nową rzeczywistość, odnajdą cel. Niektórym nigdy się to nie uda, czeka ich życie w poczuciu odizolowania i krzywdy. Wielu skończy źle. Będą dealować narkotykami w takich miejscach jak berliński Görlitzer Park, sami lub na usługach arabskich klanów, które w otwarciu granic 2015 roku w przeciwieństwie do entuzjastów „ludzkiego odruchu kanclerz Merkel" widzieli w jej decyzji przede wszystkim szansę na zrekrutowanie taniej siły roboczej do dealerki. I tak się stało. Wielu Afrykańczyków złapało się na lep łatwego zarobku.

Görlitzer Park – to najsłynniejszy punkt przerzutowy narkotyków w Niemczech, tu zawsze dzieje się dużo i zazwyczaj źle. Morderstwa, napady, gwałty, handel kokainą, heroiną i marihuaną, wszystko na 14 hektarach zieleni w centrum Kreuzbergu. Setki dealerów, w większości czarnoskórych, czekają na klienta, przychodzą miejscowi i turyści, najlepszy ruch jest w weekendy, w pandemii sprzedaż nieco przycichła, bo klubowe serce Berlina przestało bić, ale kto musi, ten przyjdzie. A musi wielu. W 2016 roku Scott Holmquist, amerykańsko-francuski artysta mieszkający w Berlinie, złożył do władz Kreuzbergu petycję w sprawie postawienia pomnika afrykańskim dealerom w uznaniu „ich męstwa i odwagi", rok później otwarto wystawę przybliżającą berlińczykom ten wycinek miejskiego pejzażu. Holmquistowi zarzucano idealizowanie drogi, jaką musieli przebyć dealerzy, by dotrzeć do niemieckiej ziemi obiecanej, że dorabia nostalgiczną legendę do zwykłego kryminału, ale już nie pyta bohaterów swoich instalacji, dlaczego wybrali taki los. Zaczepiony o to Holmquist stwierdził, że nie widzi sensu zadawania takich pytań dealerom, „bo w końcu kasjerce z supermarketu też ich nie stawia". Później odmawiał już komentarzy, ale poczucie, że gloryfikuje dealerskie zajęcie, zostało z berlińczykami na dłużej. Tak czy inaczej, „Görli" kojarzy się tutejszym, ale i turystom, z łatwym dostępem do narkotyków i afrykańskimi dealerami, z których większość przebywa w Niemczech nielegalnie. I nie ma na nich siły. Policja wzrusza ramionami, wolno im jedynie podejrzanych o sprzedaż narkotyków wylegitymować, pouczyć, a za pół godziny i tak wracają na swój przyczółek. I tak do znudzenia. Od kwietnia 2020 roku berlińska policja wzmocniła patrole tzw. punktów zapalnych, m.in. na Alexanderplatz, Kottbusser Tor i Görlitzer Park, ale to wszystko za mało. Zarówno sprzedający, jak i kupujący są coraz bardziej agresywni, w takich miejscach pogadanki o rasizmie czy zarzuty „racial profiling" można sobie darować. I to też jest twarz afroniemieckich Niemiec. Nie mniej wstydliwa i przykra dla mniejszości afrykańskiej jak dla nas bezdomność Polaków w Berlinie. Bezdomność, której spokojnie mogłoby nie być.

Ulicy Murzyńskiej nie będzie

21 sierpnia media niemieckie podały informację, na którą Afroniemcy, zwłaszcza ci mocno zaangażowani w promocję „afrykańskiego życia w Niemczech", czekali od kilkunastu lat. Mohrenstrasse, czyli „ulica Murzyńska", uznana przez organizacje antyrasistowskie za przejaw dyskryminacji czarnych w sferze publicznej, zostanie staraniem berlińskich Zielonych i socjaldemokratów przemianowana na ulicę Antona Wilhelma Amo.

Sprawa nabrała rozpędu w ostatnich miesiącach. Kiedy na początku lipca po otwarciu granic z Niemcami pojechałam do Berlina z pierwszą postpandemiczną wizytą, „Berliner Morgenpost" pisał o zamiarze wymazania Mohrenstrasse z planu miasta, na szpaltach padło pytanie: „Jak musi się czuć czarnoskóry motorniczy kierujący berlińskim metrem przejeżdżając przez ulicę Murzyńską?". Taki motorniczy naprawdę istnieje, przykład zatem jest z życia wzięty. Szybko padła propozycja przemianowania Mohrenstrasse na Glinkastrasse na pamiątkę Michaiła Iwanowicza Glinki, rosyjskiego kompozytora uważanego za twórcę narodowej opery rosyjskiej. Operacja byłaby mniej bolesna niż zmiana nazwy na nową, ponieważ Glinkastrasse już istnieje i sąsiaduje ze stacją metra Mohrenstrasse. Pomysł rzucony w eter przez

eprasa.pl d637dc41e0

Berlińskie Zakłady Transportu Miejskiego (BVG) nie spodobał się jednak diasporze żydowskiej. 6 lipca gazeta „Jüdische Allgemeine" w artykule zatytułowanym „Zły wybór" zwracała uwagę, że to władze NRD w 1951 roku z przyczyn ideologicznych nadały ulicy imię rosyjskiego kompozytora, a on sam ma z centralnie położoną ulicą Berlina tylko tyle wspólnego, że zmarł w jej okolicy w 1857 roku. Czyli w sumie coś wspólnego ma, ale nie w tym rzecz. Gazeta przypomina, że Glinka był antysemitą. Pianistę, Antona Rubinsteina, miał nazywać „bezczelnym żydem", a założone przez niego w Petersburgu konserwatorium ogłosił „pianinową synagogą", zarzucał ponadto Rubinsteinowi, że jest „zbyt niemiecki i zbyt żydowski". Ale znalazłyby się i inne punkty zaczepne. „Życie za cara", pierwszą rosyjską operę i wielkie dzieło Glinki, wystawiono 7 lutego 1940 roku w berlińskiej Staatsoper w ramach niemiecko-sowieckiej współpracy kulturalnej, będącej wynikiem zawartego pół roku wcześniej paktu Ribbentrop–Mołotow. Akurat o tym już „Jüdische Allgemeine" nie pisze, ale wątek ciekawy z polskiej perspektywy. Koniec końców, autorka tekstu zaproponowała, by zamiast zmieniać nazwę Mohrenstrasse na Glinkastrasse, nazwać ją na cześć Martina Dibobe (1876–1922), pierwszego czarnego motorniczego w Berlinie za czasów Cesarstwa Niemieckiego...

▶ Historia Dibobe faktycznie ma potencjał

To historia chłopaka, którego jako 19-latka sprowadzono z Kamerunu w charakterze żywego eksponatu do Ludzkiego ZOO na Treptower Park. Tam, gdzie dziś stoi pomnik wdzięczności Sowietom, rozciągało się w 1896 roku sztuczne jeziorko, postawiono pawilony wystawowe dla blisko 3,8 tys. firm, najświeższe osiągnięcia techniki pokazywał Siemens, Otto Lilienthal zachwalał maszynę parową, Wilhelm Conrad Röntgen promieniowanie, w sekcji restauracyjno-barowej i teatralnej można było wypocząć, zwiedzający mieli też do dyspozycji gondole, alpejskie panoramy jak żywe i całkiem żywą wioskę z ponad setką czarnych mieszkańców. Cesarstwo Niemieckie cieszyło się ze zdobyczy kolonialnych, wioska była współfinansowana z kasy państwa. Siedem milionów ludzi na własne oczy zobaczyło wtedy „zwykłe życie Murzynów", zainscenizowane gdzieś między włoskimi gondolami a maszyną parową. Dibobe spędził tam pół roku. Kiedy ludzkie zoo zamknięto, chłopak został w Niemczech i najął się na czeladnika w zakładzie ślusarskim Conrad Schulz. W 1902 roku Kameruńczyk poślubił Niemkę, Helenę, co kosztowało go sporo zachodu, ponieważ nie miał żadnych dokumentów i trzeba było sprowadzać świadków jego chrztu z Afryki. Ale w końcu się udało. Już ustatkowany Dibobe podjął pracę motorniczego pierwszej linii berlińskiego metra U1, zachowało się zdjęcie, na którym dumnie pozuje w ciemnym mundurze ze złotymi guzikami otoczony niemieckimi kolegami. Praca nie była jednak wszystkim.

Po godzinach Dibobe angażował się w walkę o równouprawnienie czarnych mieszkających w Niemczech, ale z kolonializmem jako takim nie walczył, uznając, że z dwojga, a nawet trojga złego – lepszy w Afryce Prusak od Anglika czy Francuza. W 1919 roku Dibobe złożył petycję do Zgromadzenia Narodowego młodej Republiki Weimarskiej. Żądał w niej przyznania praw obywatelskich wszystkim mieszkańcom niemieckich kolonii i nadanie równych praw tym, którzy żyją w Niemczech. Dokument przeszedł do historii Niemiec jako Petycja-Dibobe. Znalazł się w nim postulat powołania specjalnego pełnomocnika ds. czarnych w Zgromadzeniu Narodowym (miał nim być sam autor petycji), zakazu dyskryminacji, przyzwolenia na mieszane małżeństwa. Pod postulatami podpisało się 18 Afrykańczyków. Odpowiedzi ze strony władz nie było. Niemcy utraciły swoje kolonie, 32 punkty petycji ambitnego Kameruńczyka nie doczekały się żadnej reakcji. W 1922 roku Dibobe stracił pracę, powodem zwolnienia był prawdopodobnie udział w manifestacji robotników i coraz mocniejsze zaangażowanie w obronę praw czarnych. Tego roku „afrykański Prusak" wsiadł na statek do Kamerunu, do ojczyzny, która w tamtym czasie była już pod administracją francuską. Francuzi obawiając się, że Dibobe tak naprawdę przybywa z misją Republiki Weimarskiej i wznieci w Kamerunie proniemiecką rewolucję, nie pozwolili mu zejść na ląd. Statek zawinął dopiero do portu w Liberii. Tam ślad po niemieckim Kameruńczyku zaginął, spekuluje się, że zginął. Na kamienicy przy Kuglerstrasse 44 w dzielnicy Prenzlauer Berg cztery lata temu, w 140. rocznicę urodzin Dibobe, zawieszono tablicę pamiątkową. Pierwszą w historii Berlina poświęconą Niemcowi z afrykańskimi korzeniami. Socjaldemokraci do dziś zachodzą w głowę, czy ambitny Kameruńczyk zapisał się do partii. Wiadomo, że sympatyzował z SPD, ale kwestia ewentualnego członkostwa pozostaje zagadką. A dla Afroniemców Dibobe jest symbolem pragmatycznej walki o prawa czarnych, nawet jeżeli petycję skierowaną do państwa niemieckiego do dziś określa się utopijnym manifestem socjaldemokraty.

▶ Kamerdyner doskonały

Wracając do Mohrenstrasse, historycy i dziennikarze do dziś spierają się o rodowód jej nazwy.

eprasa.pl d637dc41e0

W archiwach Berlina już w 1710 roku pojawiła się wzmianka o ulicy, ale wersji jej pochodzenia jest kilka. Wiadomo natomiast, że w przestrzeni Prus czarnoskórzy byli obecni, w różnym charakterze, niekoniecznie jako zwykli służący. Bywało, że sprowadzani jako niewolnicy młodzi chłopcy odbierali na dworze staranne wykształcenie i dochodzili do wysokich stanowisk. W niemieckiej sztuce zachowały się liczne wizerunki czarnoskórych, których obecność na dworze była poczytywana za świadectwo otwartości i nowoczesności.

Na zachowanym miedziorycie Petera Schenka z 1701 roku widać czarnych muzyków orkiestry wojskowej, na obrazie Paula Karla Leygebena „Tabakskollegium Friedrichs I" ukazującym parę królewską palącą fajkę w otoczeniu świty dworskiej, malarz umieścił czarnych kamerdynerów (tzw. Kammermohr). Wiadomo, że na dworze pruskim służba o rodowodzie orientalnym czy afrykańskim cieszyła się dużym powodzeniem, do historii przeszli Christian Friedrich Aly (1664–1716) – żołnierz Imperium Osmańskiego, a po pojmaniu osobisty lokaj Zofii Charlotty Hanowerskiej, królowej Prus, który rocznie pobierał ponad 300 talarów wynagrodzenia i otrzymał dom w bezpośrednim sąsiedztwie pałacu Charlottenburg. Jego potomkowie przez kolejne wieki piastowali ważne funkcje państwowe, a pochodzący w prostej linii od Christiana Friedricha Aly'ego – Götz Aly – jest dziś jednym z najważniejszych historyków niemieckich. Ciekawą postacią jest Ignatius Fortuna (rok urodzenia nieznany, zmarł w 1789 roku), który jako kilkulatek został przywieziony do Europy z Surinami i stał się zaufanym opatki Essen, Franziski Christine von Pfalz-Sulzbach. Na portrecie opatki autorstwa Johanna Jakoba Schmitza z 1772 roku widać wykwintnie odzianego Ignatiusa Fortunę podtrzymującego tren jej sukni. Obraz nosi nazwę „Mohrenbild" (Obraz murzyński) i wisi dziś w kaplicy książęcej, w tej samej, w której spoczywa dziś sam Ignatius Fortuna. Przydomek „Fortuna" nie był przypadkowy. Sługa opatki otrzymywał mnóstwo prezentów, był posiadaczem m.in. złotego zegarka i futra, a z archiwów opactwa Essen wynika, że w 1772 roku założył lokatę u miejscowego bankiera żydowskiego, powierzając mu 200 talarów na 5 procent rocznie. Fortuna był na tyle majętny, że udzielał pożyczek lub wspierał finansowo nie tylko osoby prywatne (często dworzan), lecz także instytucje. W 1776 roku pożyczył 600 talarów ochronce dla dzieci, która wpadła w tarapaty finansowe po zakupie gruntu pod kolejny dom opieki, rok później zrezygnował z roszczeń do pożyczonych pieniędzy w zamian za 18 talarów rocznej renty. Zmarł bezpotomnie. Po jego śmierci część pozostawionego majątku przypadła ochronce dla dzieci, z samej sprzedaży drogocennych ubrań, które wypełniały kufry Ignatiusa Fortuny, uzyskano 300 talarów. Fortuna cieszył się wysoką pozycją na dworze w Essen i zmarł otoczony życzliwymi mu ludźmi, ale nie ukończył szkół, nigdy nie przekroczył bramy uczelni, jego życie polegało na umilaniu czasu białym mecenasom. Antonowi Wilhelmowi Amo dane było inne życie. Wyjątkowe na tle wszystkich znanych historii. I tu zaczyna się nowa opowieść. Nie o czarnym kamerdynerze, muzyku, motorniczym, lecz o doktorze filozofii.

21 SIERPNIA MEDIA NIEMIECKIE PODAŁY INFORMACJĘ, NA KTÓRĄ AFRONIEMCY CZEKALI OD KILKUNASTU LAT. MOHRENSTRASSE, CZYLI „ULICA MURZYŃSKA", UZNANA PRZEZ ORGANIZACJE ANTYRASISTOWSKIE ZA PRZEJAW DYSKRYMINACJI CZARNYCH W SFERZE PUBLICZNEJ, ZOSTANIE PRZEMIANOWANA NA ULICĘ ANTONA WILHELMA AMO.

Miłość go złamała?

Jego historia tak naprawdę zaczyna się nie na terenie dzisiejszej Ghany, skąd jako pięciolatek został przywieziony statkiem Kompanii Zachodnioindyjskiej do Amsterdamu, lecz na dworze księstwa Brunszwiku-Wolfenbüttel. Dzięki mecenatowi Antoniego Ulryka chłopiec otrzymał staranne wykształcenie. Najpierw uczył się w akademii rycerskiej Rudolph-Antoniana w Wolfenbüttel, a następnie studiował na protestanckim uniwersytecie Helmstedt. W 1727 roku podjął studia na katedrze filozofii i prawa Uniwersytetu w Halle, tam też opublikował swoją pierwszą pracę „O statusie prawnym Murzynów w Europie". Trzy lata później uzyskał ty-

eprasa.pl d637dc41e0

tuł magistra filozofii i sztuk wyzwolonych Uniwersytetu w Wittenberdze, dzięki czemu mógł sam zacząć wykładać i dalej się kształcić. W 1733 roku Amo przewodniczył delegacji powitalnej na cześć nowego księcia Augusta II, a rok później obronił doktorat poświęcony relacji między umysłem i ciałem. Do roku 1747 wykładał na kilku niemieckich uczelniach, prowadził działalność naukową, rysował. Wiadomo, że poza językiem niemieckim płynnie posługiwał się łaciną, greką, hebrajskim, francuskim, holenderskim i francuskim. Do końca nie wiadomo, co skłoniło filozofa do powrotu do Ghany. Niektóre źródła podają, że miał przeżyć miłosny zawód, inne, że po śmierci swoich mecenasów i przyjaciela Johanna Petera von Ludewiga coraz dotkliwiej odczuwał samotność i swoją inność. Mimo znakomitego wykształcenia i modelowej wręcz asymilacji nie potrafił żyć dalej w Europie. Zawód miłosny miał być związany z kampanią ośmieszającą Amo po tym, jak poprosił o rękę kobiety, która do historii literatury przeszła jako „Mademoiselle Astrine". Odmowa ta stała się tematem obraźliwego wierszyka Johanna Ernsta Philippiego. Amo mógł się załamać. Nie wiadomo, co się z nim działo po powrocie do Ghany. Jasne jest tylko tyle, że po 45 latach spędzonych w Niemczech wrócił do ojczyzny, w której miał odnaleźć rodzeństwo.

▶ Koza na grobie filozofa

Biały nagrobek w popołudniowym skwarze zlewa się z murami twierdzy San Sebastian. Na kamieniu wyrzeźbiono prosty krzyż, całość okala niski murek. Mieszkańcy Shamy suszą nad grobem ubrania, wyrzucają śmieci, pasą kozy. Tu spoczywa Anton Wilhelm Amo (1703–1784), ikona ruchu Afroniemców, człowiek, którego imieniem nazwano właśnie jedną z ulic Berlina. W przybranej ojczyźnie w końcu uhonorowany, w prawdziwej prawie nieznany. Pierwszy czarny filozof Europy, zaprzęgnięty do walki z rasizmem i kolonializmem, spoczywa pod sznurem z wypraną bielizną. Te obrazy z Shamy znamy dzięki filmowi Johna Kantary, wykładowcy akademickiego i reżysera, który w 2008 roku odwiedził miejsce pochówku Amo. W tamtym czasie Kantara zaapelował do społeczności czarnoskórych w Niemczech, i do instytucji państwa niemieckiego, o zadbanie o grób Amo, by nie pasły się na nim kozy i nie poniewierały butelki. Kiedy ktoś się zdziwił, po co państwo niemieckie miałoby teraz finansować odnowienie nagrobka w Ghanie, Kantara zareagował ostro: „Jeżeli państwo ma pieniądze na tzw. godne uczczenie grobów SS-manów, którzy zginęli w okupowanej Polsce, to dlaczego nie miałoby ich wydać na taki cel?". 21 sierpnia, kiedy już było wiadomo, że Amo będzie miał swoją ulicę, rozmawiam na gorąco z Tahirem Dellą, rzecznikiem największej organizacji skupiającej Afroniemców „Die Initiative Schwarze Menschen in Deutschland". Tego dnia jego organizacja zaplanowała „spacer z Amo", przez kilka godzin czarni Niemcy mieli pokojowo manifestować na Mohrenstrasse, której nazwę w tym gronie skraca się do „M Strasse". Oni wtedy jeszcze nie wiedzieli o decyzji berlińskich władz, spacer był zaplanowany wcześniej.

Della jest zadowolony ze zmiany nazwy, mówi, jak ważne dla czarnej społeczności jest uhonorowanie Antona Wilhelma Amo, podkreśla, że walka, która trwała ponad dekadę, odniosła skutek. Pytam, czy organizacja zajęła się grobem Amo w Ghanie. Della przyznaje, że nic od 2008 roku się nie zmieniło, a mieszkańcy Shamy bez specjalnego namaszczenia podchodzą do miejsca wiecznego spoczynku człowieka, który w Niemczech stał się ikoną Afroniemców, ale zapewnia, że „teraz się za to wezmą". John Kantara jest tego dnia w drodze, w mejlu przyznaje, że faktycznie grób Amo wciąż jest w opłakanym stanie, a zorganizowana w 2008 roku zbiórka zakończyła się fiaskiem. „Kilka lat temu rozmawiałem z władzami Shamy o dorobku i znaczeniu Antona Wilhelma Amo i wtedy konstrukcję jego grobu trochę wzmocniono, ale nie wdrożono zmian, których projekt wypracowano przy udziale lokalnych władz, niemieckiej ambasady w Ghanie i Instytutu Goethego. Obawiam się, że dopóki sytuacja się nie zmieni, ten grób, będący przecież historycznie ważnym świadectwem niemieckiego kolonializmu w Afryce, po prostu nie przetrwa. I tak jestem zdumiony, że ten nagrobek tak długo się zachował"– pisze Kantara. Czyli sprawa w toku. Wspominam lipcowy Berlin. I plakaty na murze stacji S-Bahn Charlottenburg nawołujące do wyjścia na ulice w solidarności z czarnymi protestującymi w Stanach Zjednoczonych. Na plakacie dziewczyna z afro i hasło „Black Lives Matter". To jeżeli to czarne życie się liczy, a wierzę, że liczy się tak samo jak białe, to i czarna śmierć zasługuje na szacunek. Chyba że ten XVIII-wieczny filozof nie przystaje do wyobrażeń o prawdziwej sile. Walczył piórem i umysłem, podobno nie mniej ostrym od tego kantowskiego, i potrafił opowiedzieć o tym, co go boli, w kilku językach. I świetnie rysował, zachowały się prace ukończone na krótko przed powrotem do Ghany. Drodzy aktywiści z megafonami, posprzątajcie grób Antona Wilhelma Amo, wytłumaczcie mieszkańcom Shamy, że nie godzi się wypasać na nim zwierząt ani wieszać prania, a potem wróćcie do nas, porozmawiamy o szacunku. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Antoni Rybczyński

Białoruska rewolucja

Teraz, za miesiąc, za rok? Reżim Alaksandra Łukaszenki już jest skazany na porażkę. Termin upadku zależy w dużej mierze od postawy Rosji. Pewne jest jedno, ten wielki zryw społeczeństwa białoruskiego to przełom. To pierwszy etap dekonstrukcji systemu zbudowanego przez Łukaszenkę.

eprasa.pl d637dc41e0

Jeszcze na początku 2020 roku wydawało się, że na Białorusi bez zmian. Lada moment Łukaszenka zostanie wybrany kolejny raz na prezydenta, a zaprotestuje przeciwko temu co najwyżej garstka Białorusinów. Pomyłka, błąd. Łukaszenkę oficjalnie wybrano, ale skala protestów przeciwko temu zaskoczyła wszystkich. Od niego samego poczynając przez zachodnich obserwatorów na Kremlu kończąc. Centralna Komisja Wyborcza Białorusi ogłosiła 14 sierpnia całościowe wyniki wyborów prezydenckich z 9 sierpnia. Według CKW urzędujący prezydent Alaksandr Łukaszenka zdobył 80,1 proc. głosów, a jego główna oponentka Swiatłana Cichanouska – 10,1 proc. głosów. Niezależnie od tego, jak skończy się fala protestów zapoczątkowana wyborami 9 sierpnia, wiadomo jedno: Białoruś nie będzie już taka sama. Niezależnie od motywów, Białorusini obudzili się przeciwko reżimowi. I to już będzie trudno zatrzymać. W końcu rodzi się świadome społeczeństwo białoruskie. I to już jest sukces – niezależnie od tego, czy uda się obalić Łukaszenkę i czy uda się zamiast jego reżimu wprowadzić realną demokrację. Obecnie władza Łukaszenki opiera się już tylko na trzech filarach: lojalności struktur siłowych, wierności części nomenklatury, co najmniej życzliwej neutralności Rosji. Przeciwko sobie reżim ma zdecydowaną większość społeczeństwa.

Rozproszone protesty

Rozproszony charakter protestów okazał się dla reżimu niezwykle niewygodny. Władza nie ma po prostu fizycznej możliwości w pełni kontrolować całego kraju. W 2006 czy w 2010 roku wystarczyło rozgromić duże demonstracje w Mińsku, aresztować i skazać liderów opozycji. Teraz tak się nie da. Bo protesty pojawiają się w wielu punktach jednocześnie, a ruch sprzeciwu nie ma konkretnych liderów. Do tej pory protesty ograniczały się właściwie tylko do Mińska. Teraz to również stolice obwodów, a nawet mniejsze miasta. Dlaczego? Należy przypomnieć, że Łukaszenka wygrał wybory w 1994 roku, składając konkretne obietnice, w tym socjalnego bezpieczeństwa i może nie nazbyt wysokiego, ale zadowalającego i stabilnego poziomu życia. W jakiejś mierze ten były dyrektor kołchozu swe zwycięstwo zawdzięczał umiejętnej grze na strachu Białorusinów przed liberalnymi reformami podobnymi do tych, które właśnie realizowano w sąsiedniej Rosji. Baćka, który stał się rozpoznawalny dzięki kierowaniu parlamentarną komisją antykorupcyjną, przekonał rodaków, że nie pozwoli na rozkradanie kraju przez oligarchów i uchroni przed gospodarczym szokiem, który skrajnie zubożył miliony Rosjan, jednocześnie garstkę czyniąc miliarderami. Udawało mu się to realizować aż do 2010 roku – powoli, bo powoli, ale przeciętnym Białorusinom, zwłaszcza na prowincji, żyło się coraz lepiej. Ale ostatnia dekada to już inna sytuacja ekonomiczna, nie ma realnie ani wzrostu PKB, ani wzrostu płac. Wielu Białorusinów mówi o tym, że wcześniej głosowali na obecnego prezydenta, lecz uważają, iż kraj potrzebuje zmiany. Inni mówią wprost, że dotąd na wybory nie chodzili, bo nie interesowali się polityką, lecz teraz zmienili zdanie. A retoryka i polityka Łukaszenki się nie zmieniają. Kolejnym powodem jest pandemia koronawirusa. Reżim demonstracyjnie zlekceważył ten problem. Większość ludzi odebrała to jako pozostawienie ich sam na sam z koronawirusem i to w sytuacji, gdy Białoruś zawsze pozycjonowała się jako państwo socjalne, opiekuńcze. To był więc dla wielu Białorusinów szok i być może nawet to właśnie, a nie powody ekonomiczne, zmieniły ich nastawienie do władzy. Pozbawione rezerw finansowych władze nie są w stanie poprawić swojego wizerunku poprzez zwiększanie wynagrodzeń i świadczeń socjalnych.

Zastraszyć rywali

Od samego początku ta kampania wyborcza nie układała się po myśli prezydenta Białorusi. Pierwszym poważnym sygnałem ostrzegawczym była szokująco wysoka, jak na tamtejsze warunki, frekwencja przy zbieraniu podpisów pod kandydaturami w wyborach. Okazało się, że dobiegł końca polityczny marazm Białorusinów, którzy od ćwierć wieku – w zamian za stabilizację socjalną – w większości popierali reżim, zaś opozycja była zmarginalizowana i prześladowana. Jedynie przy okazji kolejnych wyborczych zwycięstw Łukaszenki dochodziło do protestów, szybko i brutalnie pacyfikowanych. Tym razem było inaczej – do głosu dochodzi nowe pokolenie, pokolenie internautów i użytkowników social mediów i smartfonów. Państwowa propaganda, głównie telewizyjna, traci skuteczność. Do tego doszło oburzenie zlekceważeniem przez Łukaszenkę pandemii koronawirusa. W efekcie mamy wielotysięczne, największe od początku lat 90. XX wieku wiece polityczne popierające rywali Łukaszenki. Bo dwóch głównych potencjalnych rywali prezydenta reżim prewencyjnie wsadził za kratki i postawił im poważne zarzuty. 14 lipca Centralna Komisja Wyborcza odmówiła rejestracji dwóch głównych kontrkandydatów Łukaszenki – Wiktara Babaryki i Waleryja Capkały – mimo że pierwszy zebrał 430 tys.

FOT. TATIANA ZENKOVICH/PAP/EPA

eprasa.pl d637dc41e0

podpisów (bezprecedensowy w historii niepodległej Białorusi poziom poparcia dla kandydata alternatywnego wobec Łukaszenki), a drugi 160 tys. Najbardziej radykalni i popularni uczestnicy tej kampanii, w tym Babaryka i charyzmatyczny bloger Cichanouski, znaleźli się w areszcie i grożą im kary co najmniej kilkuletniego pozbawienia wolności. Z kolei Capkała z obawy o bezpieczeństwo swoich dzieci wyjechał do Rosji. W wyborach wystartowała więc żona jednego z nich, popularnego blogera. I to na spotkania z nią przychodzą ogromne tłumy Białorusinów.

Obowiązuje hasło „każdy, byle nie Baćka". Coraz więcej ludzi chce zmiany w kraju. Gorzej, że chyba nie do końca wiedzą, co i kogo chcą zamiast Łukaszenki. Bo tak się składa, że główni polityczni rywale prezydenta nie są kojarzeni z tradycyjną opozycją demokratyczną, liberalną, narodową, prozachodnią (jak to było dotychczas), lecz z opcją prorosyjską. Być może dlatego Łukaszence tak trudno sobie z nimi poradzić... Niewykluczone, że stoi za tym Moskwa. Ale jeśli Rosjanie nawet operują gdzieś za plecami Cichanouskiej czy innych i dokonują prowokacji z wagnerowcami, to jednak nie po to, by już teraz obalać Łukaszenkę. Najważniejsze dla nich to zachowanie wpływów na Białorusi niezależnie od tego, kto nią rządzi. Na pewno pomoże im w tym gospodarcze uzależnienie, którego nie może zlekceważyć żaden potencjalny następca Łukaszenki.

Rosyjskie uzależnienie

21 lipca rosyjska agencja Interfax podała, że białoruski dług gazowy wobec Rosji wzrósł od maja ze 165 mln dolarów do 273 mln dolarów. 23 lipca potwierdziły to niezależne białoruskie media. Nie spotkało się to z dementi rządu w Mińsku. Kilka dni przed wyborami w elektrowni atomowej w Ostrowcu rozpoczęto napełnianie paliwem jednego z dwóch reaktorów. Elektrownię zbudował rosyjski Rosatom, za 10 mld dolarów kredytu udzielonego Białorusi przez Rosję. To tylko dwie informacje z końcówki kampanii wyborczej pokazujące skalę ekonomicznej zależności Białorusi od Rosji. Cud łukanomiki, czyli funkcjonującego od paru dekad gospodarczego modelu Białorusi, wcale nie jest cudem. To po prostu miliardy dolarów rosyjskich subsydiów, mniej czy bardziej ukrytych (na przykład w zaniżonych cenach surowców). Przez wiele lat filarem budżetu Białorusi, pełnego socjalnych dotacji, były wpływy z eksportu produktów dwóch białoruskich rafinerii na Zachód. Dlaczego było to tak dochodowe? Bo Białoruś dostawała rosyjską ropę po cenach krajowych (rosyjskich), zaś wyprodukowane z niej paliwa sprzedawała już po cenie rynkowej. Jednak ostatnio, mniej więcej od dwóch lat, Moskwa zaczęła żądać od Łukaszenki więcej w zamian za finansową kroplówkę. W 2018 roku Rosja zaczęła podnosić ceny węglowodorów dla Białorusi – co było formalnie związane z reformą opodatkowania sektora ropy i gazu w Rosji. W pewnym momencie Moskwa powiedziała wprost: jeśli Białoruś chce preferencyjnych warunków dostaw węglowodorów, musi zgodzić się na instytucjonalne pogłębienie integracji Rosji i Białorusi. Wiadomo oczywiście, że ta integracja to faktycznie wchłonięcie Białorusi przez Rosję. Ze względu na ograniczony wewnętrzny popyt, kluczowe znaczenie eksportu oraz zależność od rosyjskich subsydiów Białoruś została szczególnie dotknięta globalnym kryzysem ekonomicznym wynikającym z pandemii koronawirusa. Spadek PKB w I półroczu 2020 roku wyniósł 1,7 proc., a do końca roku może to być nawet trzy razy większa recesja. Antyreformatorskie stanowisko reżimu konserwuje nierentowny model gospodarczy, lecz także blokuje możliwości uzyskania pożyczek stabilizacyjnych, na przykład z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Zgodnie z danymi statystycznymi średnie wynagrodzenie oscyluje wokół 500 dolarów, czyli utrzymuje się na poziomie z 2010 roku, podczas gdy ceny cały czas rosną. Zresztą mediana, jeśli mowa o zarobkach, to 400 dolarów.

Ostatnia odsłona sporu rosyjsko-białoruskiego w sprawie integracji obu państw zaczęła się w grudniu 2019 roku – choć już od 2018 roku w Moskwie uważano, że czas skończyć z darmowym subsydiowaniem Białorusi. Wyznaczono cenę, czyli przyspieszenie integracji, która przez lata była tylko na papierze. Jednak w grudniu Łukaszenka w Sankt Petersburgu odmówił podpisania odpowiednich dokumentów i wyjechał – dla Putina był to policzek. Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Z początkiem 2020 roku zakręcono kurek z ropą. Po pięciu dniach odkręcono, ale tylko odrobinę. Minęło kilka miesięcy i musiały się pojawić problemy dla rosyjskich eksporterów ropy, by do Mińska zjechał Igor Sieczin i by doszło do porozumienia oznaczającego pełne wznowienie dostaw rosyjskiej ropy na Białoruś – i to przy spełnieniu części oczekiwań Łukaszenki. W międzyczasie Baćka – tradycyjnie już, tak jak to bywało w przeszłości – zaczął „dywersyfikować" import ropy. Sprowadzając choćby surowiec z Norwegii czy USA. To był tylko element PR-owy, bo wszyscy doskonale wiedzą, iż na dłuższą metę przestawienie się Białorusi w imporcie ropy z kierunku wschodniego na zachodni jest ekonomicznie nieopłacalne.

eprasa.pl d637dc41e0

Ograniczona odpowiedzialność

Czy Putinowi zależy na szybkim wchłonięciu Białorusi? Rzecz to dyskusyjna. Zarówno z racji politycznych (negatywna reakcja Zachodu i reakcja innych postsowieckich republik), jak i ekonomicznych – Rosja musiałaby wziąć na siebie w dużym stopniu ciężar anachronicznej gospodarki białoruskiej. W rzeczywistości Moskwie bardziej opłaca się nadal utrzymywać Białoruś jako bufor bezpieczeństwa między Rosją a NATO. Łukaszenka gwarantuje, że nie będzie prozachodnich zmian w Mińsku, a zarazem można próbować wyrwać od niego jakieś cenne przedsiębiorstwa białoruskie dla oligarchów związanych z Kremlem. Słabość Łukaszenki jest dla Rosji korzystna, ale nie taka, która groziłaby niestabilnością. Chodzi tylko o jego maksymalne osłabienie i wybicie mu z głowy pomysłów o dywersyfikacji w polityce zagranicznej i energetycznej Białorusi. Przede wszystkim mowa o przełomie w relacjach Mińska ze Stanami Zjednoczonymi. Osłabiony, izolowany, mający silną opozycję wewnętrzną, ze świadomością, że nie ma już poparcia większości rodaków Łukaszenka zmuszony będzie godzić się na spełnianie kolejnych życzeń Kremla. Od sprzedaży strategicznych przedsiębiorstw białoruskich związanym z Putinem oligarchom rosyjskim, po instalację na Białorusi rosyjskich baz wojskowych i dużych ilości wojska i broni. Jak powiedział w rozmowie z Radiem Wolna Europa białoruski komentator polityczny Artiom Szrajbman, „Rosja chce zwycięstwa Łukaszenki, ale takiego, które go osłabi, takiego, które będzie naznaczone protestami, ich pacyfikacją oraz pogorszeniem stosunków z Zachodem".

Na rzecz takiej tezy przemawia kilka faktów. Choćby to, w jaki sposób państwowe i kontrolowane przez państwo rosyjskie kanały telewizyjne przedstawiają sytuację na Białorusi. Zniknęły wcale częste w ostatnim roku czy nawet dwóch, wycieczki pod adresem Łukaszenki. Jest za to pomniejszanie znaczenia dużych tłumów na wiecach Swiatłany Cichanouskiej. Inny, jeszcze ważniejszy sygnał, że Rosji nie zależy na pogrążeniu (jeszcze) Łukaszenki, to kwestia wagnerowców. Początkowo Mińsk de facto oskarżył Rosję o próbę wywołania „majdanu" na Białorusi. Ale Łukaszenka dość szybko złagodził przekaz, mówiąc też, że również Zachód spiskuje, a sami najemnicy są najmniej winni, bo wykonywali tylko rozkazy. Reakcja Moskwy też była stosunkowo umiarkowana na zatrzymanie dużej grupy jej najemników. Widać było, że obie strony chcą jakoś wybrnąć z tej niefortunnej sytuacji. Po paru dniach znaleziono kozła ofiarnego. Ukrainę. „Dziennikarskie śledztwo" prokremlowskiej „Komsomolskiej Prawdy" wykazało, że najemnicy zostali wykorzystani przez ukraiński wywiad, aby wywołać konflikt między Rosją a Białorusią. Oczywiście nic w tej teorii nie trzyma się kupy, ale od razu powtórzyły ją rosyjskie telewizje (popularne też na Białorusi).

Rosja z satysfakcją przyjmie spalenie budowanych ostrożnie mostów Łukaszenki z Zachodem. Ale z pewnością nie zamierzała i nie zamierza obalać dyktatora, bo jest on najlepszym gwarantem spełnienia głównego celu Moskwy, a więc powstrzymywania Białorusi przed integracją z Zachodem. Choć rywale Łukaszenki w wyborach przyjęli bardziej przyjazne Rosji stanowisko i unikali jednoznacznie prozachodniej retoryki, nie ma to większego znaczenia. Dla Kremla jest jasne, że każdy inny prezydent niż Łukaszenka miałby większe szanse na realną dywersyfikację międzynarodowej polityki Białorusi – niezależnie od tego, jak bardzo prorosyjskie poglądy by głosił w kampanii. Największym zagrożeniem dla pozycji Rosji na Białorusi jest bowiem demokratyzacja tego kraju – to byłoby jak otwarcie politycznej puszki Pandory. Nie wiadomo, jak by się skończyło. Duże znaczenie ma też osobiste nastawienie Putina i jego kolegów czekistów do wszelkich społecznych protestów, „kolorowych rewolucji" i „Majdanów". Putin ideologicznie nienawidzi sytuacji, w której ulica wymusza zmianę władzy. A już zwłaszcza gdy obala autorytarne rządy. Bo to budzi w nim odwieczny strach o własną pozycję. Dlatego nawet oddolna zmiana w Armenii, gdy rządy przejął Nikol Paszynian, rozgniewała i mocno zaniepokoiła Moskwę – mimo że nie wpłynęła ta zmiana na ścisły sojusz Armenii z Rosją – bo nie była uzgodniona i wymuszona protestami społecznymi. Wiadomo, że Łukaszenka ma już nikłe poparcie w kraju, więc musi opierać władzę na sile i represjach. Do tego może potrzebować wsparcia rosyjskiego. Jeszcze bardziej będzie potrzebował wsparcia gospodarczego. Za to wszystko Kreml podyktuje odpowiednio wysoką cenę. Integracja zapewne przyspieszy. Możliwe, że Łukaszenka w końcu będzie musiał zgodzić się na stałe duże wojskowe bazy Rosji i sprzedaż części najcenniejszych firm oligarchom związanym z Putinem. Mówiąc krótko, osłabiony Łukaszenka, skonfliktowany z rodakami i izolowany na arenie międzynarodowej (ocieplania relacji z Zachodem, w tym USA już nie będzie, przeciwnie – możliwe nowe sankcje) to wymarzony „partner" dla Putina. Putin zresztą pewnie już pracuje nad scenariuszem „co po Łukaszence". ■

eprasa.pl d637dc41e0

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Referenda, represje, cenzura. Jak Łukaszence udaje się dzierżyć władzę od 26 lat

Składając po raz pierwszy ślubowanie prezydenta i kładąc rękę na konstytucji, Łukaszenka powiedział, że na Białorusi jedyną dyktaturą może być tylko dyktatura prawa, wobec której wszyscy powinni być równi: od uczniów po prezydenta. Niecały rok później nowo wybrana głowa państwa przystąpiła do budowy kraju dla siebie. Dyktatura pozostała, prawo nie. Tworzony wspólnie przez redakcje Radio Swoboda i Głos Ameryki serwis Current Time przypomina, co Alaksandr Łukaszenka zrobił przez 26 lat swojej prezydentury, aby utrzymać się u władzy. Tekst opublikowano 2 sierpnia 2020 roku.

eprasa.pl d637dc41e0

Nowo wybrany prezydent zaczął lekceważyć prawo praktycznie od początku swoich rządów. Trzy referenda zainicjowane przez niego i przeprowadzone z wieloma naruszeniami prawodawstwa i praw człowieka, rozszerzyły maksymalnie uprawnienia Alaksandra Łukaszenki. Po referendum 1995 roku prezydent mógł rozwiązywać parlament „w przypadkach systematycznego lub poważnego naruszenia Konstytucji". Również wówczas językowi rosyjskiemu nadano status języka państwowego i zmieniono narodową symbolikę: biało-czerwono-białą flagę i godło z Pogonią na flagę i godło mało różniące się od symboli Białoruskiej SSR. Pod głosowanie poddano wtedy jeszcze jedną kwestię – „wsparcie działań prezydenta ukierunkowanych na ekonomiczną integrację z Federacją Rosyjską". Krążyła opinia, że w ten sposób Łukaszenka chciał zdobyć popularność wśród Rosjan i w sprzyjających okolicznościach zostać prezydentem lub stanąć na czele Państwa Związkowego. Deputowani Rady Najwyższej odmówili zatwierdzenia trzech z czterech pytań i próbowali protestować przeciwko zaproponowanym przez Łukaszenkę tematom głosowania: miesiąc przed referendum ogłosili głodówkę i pozostali na noc w budynku parlamentu. Ale w nocy zostali dosłownie wyciągnięci z budynku i wywiezieni w różne części Mińska. Referendum się odbyło.

Drugie „wyrażenie woli przez lud" odbyło się w 1996 roku z jeszcze ostrzejszym konfliktem prezydenta i parlamentu. Oprócz kwestii kary śmierci, wolnego obrotu ziemią i przeniesienia Dnia Niepodległości, Łukaszenka proponował znacząco zmienić konstytucję i dać prezydentowi prawo wyznaczania sędziów Sądu Konstytucyjnego i ministrów, wydawać dekrety równe ustawom. Zapis, zgodnie z którym prezydent mógł być zdymisjonowany za naruszenie konstytucji, został wykluczony. Szef Centralnej Komisji Wyborczej Wiktar Honczar odmówił zatwierdzenia wyników referendum: mówił o anormalnie wysokiej wieczornej frekwencji (od godziny 18 do 22 zagłosowało 20 proc. wyborców, choć zwykle w tym czasie do urn przychodzi 7–9 proc.), podejrzanie wysokim procencie głosujących przedterminowo (w niektórych regionach nawet 50 proc.) i o tym, że przedterminowe głosowanie zaczęło się już 9 listopada, a ostateczny tekst poprawek pojawił się dopiero 21 listopada... Jeszcze tego samego dnia Łukaszenka dekretem prezydenckim zwolnił Honczara ze stanowiska. To także było naruszeniem prawa, bo mianować i dymisjonować szefa Centralnej Komisji Wyborczej mógł tylko parlament. Część ministrów i szef Sądu Konstytucyjnego podała się do dymisji na znak protestu. Jednak referendum się odbyło, Łukaszenka dostał „carskie" – jak sam później mówił – pełnomocnictwa. Republika z prezydencko-parlamentarnej faktycznie zmieniła się w prezydencką.

W referendum 2004 roku Białorusinom zaproponowano jeszcze jedno pytanie: czy Łukaszenka może uczestniczyć w wyborach na prezydenta (zgodnie z konstytucją nie mógł być prezydentem trzecią kadencję z rzędu), a także zapisać w konstytucji brak ograniczeń, jeśli chodzi o liczbę kadencji tej samej osoby. Ordynacja wyborcza Białorusi zabrania wnoszenia pod referendum pytań związanych z wyborem lub zwolnieniem z funkcji prezydenta, jednak głosowanie i tym razem się odbyło – twierdząco odpowiedziało 87,9 proc. obywateli.

Jakakolwiek polityczna aktywność na Białorusi jest prześladowana. Szczególnie ostre pacyfikacje doktknęły ludzi kwestionujących wyniki wyborów prezydenckich w 2006 i 2020 roku. Pierwsze brutalne rozgonienie demonstracji za Łukaszenki miało miejsce w 1996 roku.

Gwardia prezydencka

Łukaszenka zabezpieczał się nie tylko prawnie, lecz także od razu postarał się otoczyć oddaną ochroną. Stanowisko głowy państwa objął 20 lipca 1994 roku, a już w październiku powołano Służbę Bezpieczeństwa Prezydenta. W jej skład weszli siłowicy z grupy KGB Alfa i głównego zarządu ochrony państwowej MSW. Pod koniec lat 90. XX wieku, kiedy w kraju zaczęli znikać znani przeciwnicy Łukaszenki, na Białorusi zaczęto mówić o „szwadronie śmierci": w jego skład jakoby weszli ludzie ze specjalnego oddziału szybkiego reagowania (SOBR), założonego w 1999 roku w wojskach wewnętrznych MSW Białorusi. Pośrednio obecność oddziałów dokonujących

FOT. BELTA/TASS /PAP

eprasa.pl d637dc41e0

linczu potwierdził sam prezydent. Opowiadał, jak w latach 90. XX wieku wysyłał „niezawodnych ludzi z karabinami maszynowymi", by „wprowadzali porządek". I jak „zmuszony był do podjęcia radykalnej decyzji", pozbywając się grup przestępczych „na tej trasie – od waszej granicy do Brześcia": „Wszystkich bandytów, którzy stawiali opór, rozstrzeliwano na miejscu. Trzy grupy takie zostały zniszczone. Czwartej nie było. I do tej pory cicho i spokojnie" – mówił Łukaszenka. W 2020 roku, mniej niż dwa miesiące do wyborów, prezydent podpisał dekret o powołaniu prywatnej spółki ochrony z prawem noszenia i użycia broni. Na Białorusi to pierwszy przypadek, kiedy prywatna spółka dostała możliwość szerokiego użycia broni i siły fizycznej.

Porwania w centrum Mińska

W latach 1999–2000 na Białorusi porwano szereg znanych polityków. Wszyscy kiedyś pracowali z Łukaszenką, ale potem z powodu różnic politycznych poglądów, przeszli do opozycji. W kwietniu 1999 roku w zagadkowych okolicznościach w wieku 49 lat zmarł Hienadź Karpienko. W 1996 roku był jednym z inicjatorów impeachmentu Łukaszenki, a potem stanął na czele alternatywnego dla władz Narodowego Komitetu Wykonawczego i uważano go za potencjalnego rywala Łukaszenki w wyborach 2001 roku. Jednak 31 marca 1999 roku Karpienkę z diagnozą „wylewu do mózgu" zabrano do szpitala, gdzie przez pewien czas leżał bez medycznej pomocy. Potem przeprowadzono u niego operację usunięcia krwiaka. Po pięciu dniach zmarł. Wcześniej nigdy nie narzekał na zdrowie. Krewni i przedstawiciele opozycji wątpią w oficjalne przyczyny jego śmierci. Wdowa i dzieci Hienadzia Karpienki z powodu stałych prześladowań i presji ze strony władzy byli zmuszeni wyjechać do Niemiec, gdzie dostali status politycznych uchodźców.

Miesiąc później bez śladu zniknął jeden z najbliższych współpracowników Karpienki – były szef MSW Białorusi Jurij Zacharenka. W przeddzień referendum 1996 roku Zacharenka był zdymisjonowany i zdegradowany, według oficjalnej wersji „za poważne finansowe nadużycia i niedociągnięcia w pracy". On sam twierdził, że odmówił wypełniania przestępczych poleceń Łukaszenki. Zacharenka przeszedł do opozycji, założył Związek Białoruskich Oficerów i stał się organizatorem Kongresu Sił Demokratycznych. Wieczorem 7 maja 1999 roku nieznani sprawcy siłą wciągnęli Zacharenkę do samochodu i odjechali.

Pół roku później w centrum Mińska porwano byłego szefa Centralnej Komisji Wyborczej Wiktara Hanczara. Po usunięciu ze stanowiska po tym, jak odmówił uznania referendum 1996 roku, stanął na czele alternatywnej Centralnej Komisji Wyborczej i zebrał dowody naruszenia przez Łukaszenkę prawa, aby w efekcie odsunąć go od władzy. Honczar i jego przyjaciel biznesmen Anatolij Krasouski zniknęli wieczorem 16 września 1999 roku, kiedy wracali z bani. Później w prawdopodobnym miejscu porwania znaleziono fragmenty szkła z samochodu i krew porwanych (potwierdziła to ekspertyza DNA). W grudniu 2019 roku były pracownik oddziału specjalnego MSW (SOBR) Jurij Garawskij w wywiadzie dla „Deutsche Welle" powiedział, że brał udział w zabójstwie opozycyjnych polityków przeciwnych Łukaszence pod koniec lat 90. XX wieku. Według niego, Honczara i Krasouskiego rozstrzelał w obwodzie witebskim założyciel SOBR podpułkownik Dmitrij Pawliczenko: jakoby „Honczar miał 100-proc. kompromat umożliwiający usunięcie Łukaszenki", więc „na górze powiedzieli: jego trzeba usunąć".

Prześladowania dziennikarzy

W tym czasie porywano nie tylko politycznych oponentów Łukaszenki, lecz także dziennikarzy. W lipcu 2000 roku w Mińsku w drodze na lotnisko zniknął operator kamery Dmitrij Zawadzkij – od 1994 roku należał do prezydenckiej ekipy dziennikarskiej Łukaszenki, potem poszedł do pracy w rosyjskiej telewizji ORT i pracował z Pawłem Szeremetem (ten trzy lata później został wydalony z Białorusi za reportaże, które zdaniem władz zawierały „świadome zniekształcenie informacji o wydarzeniach w Republice Białoruś, obraźliwe dla uczuć całego narodu białoruskiego). Samochód Zawadzkiego później znaleziono na lotnisku. W marcu 2002 roku za porwanie i zabójstwo (w sądzie tego nie udowodniono) Zawadzkiego osądzono dwóch byłych oficerów MSW i skazano na 10 lat więzienia. Skazani nie przyznali się do winy.

Sytuacja wolnej prasy na Białorusi zaczęła się pogarszać zaraz po dojściu Łukaszenki do władzy. Praktycznie wszystkie telewizyjne kanały są państwowe, zajmują proprezydenckie stanowisko, choć w 1993 roku przyszły szef państwa obiecał, że zająwszy stanowisko, nigdy nie będzie ograniczać wolności mediów, nie bacząc na „kłamstwa w kanałach państwowych". W 1994 roku białoruskie gazety wydano z pustymi pierwszymi stronami: w tym miejscu powinien być raport o korupcji w otoczeniu prezydenta, przygotowany przez jednego z parlamentarzystów. Ale w ostatniej chwili zakazano jego druku. Od 1997 do 2004 roku zamknięto ponad 10 dużych niepaństwowych gazet. W 2005 roku z państwowego systemu dystrybucji prasy wykluczono tytuły niepaństwowe: 15 ogólnokrajowych i lokalnych społeczno-politycznych pozycji. W 2018 roku w niezależnych redakcjach BiełaPAN i TUT.BY miały miejsce rewizje, zatrzymano 16 dziennikarzy, w tym redakto-

eprasa.pl d637dc41e0

rów naczelnych. U 10 dziennikarzy przeszukano domy i mieszkania, oni sami byli zatrzymani na trzy doby. Pretekstem była inicjatywa państwowej agencji BiełTA, która mówiła o rzekomej kradzieży informacji. Jedyną podejrzaną w sprawie była redaktor naczelna TUT.BY Marina Zołotwa. W końcu dziennikarze byli zmuszeni zapłacić grzywny. Od grudnia 2018 roku w kraju prawnie zakazane są anonimowe komentarze i oceny. Chcący wyrazić swoje opinie są zobowiązani potwierdzić swoje dane osobowe za pomocą telefonu mobilnego. W 2019 roku w rankingu wolności prasy Białoruś zajęła 153. miejsce na 180 klasyfikowanych krajów.

Prześladowania aktywistów i opozycji

Jakakolwiek polityczna aktywność na Białorusi jest prześladowana. Szczególnie ostre pacyfikacje dotknęły ludzi kwestionujących wyniki wyborów prezydenckich w 2006 i 2020 roku. Pierwsze brutalne rozgonienie demonstracji za Łukaszenki miało miejsce w 1996 roku. Wówczas w marcu w Mińsku odbyła się wielotysięczna manifestacja pod hasłem Dzień Wolności, a w kwietniu marsz przeciwko umowie o przyjaźni Białorusi z Rosją, zaś 26 kwietnia na ulice wyszło nawet 60 tys. ludzi na Czarnobylski Marsz. Około 200 ludzi zatrzymano. W 2006 roku przeciwko sfałszowaniu wyborów na ulice wyszło około 30 tys. ludzi, na głównym placu Mińska postawili namioty. Po czterech dobach protestujących brutalnie rozgonił OMON – namioty (było ich około 35) zniszczono, ludzi zabrano do więźniarek. Ponad 500 osób aresztowano. W 2010 roku według różnych ocen od 30 tys. do 50 tys. ludzi żądało powtórnych wyborów bez Łukaszenki. Siłowicy rozgonili demonstrantów, setki zatrzymując, w tym siedmioro kandydatów na prezydenta. W jeden dzień za kratami znalazło się co najmniej 780 osób.

W 2011 roku na całej Białorusi odbyły się „milczące akcje protestu". Obywatele, niezadowoleni z działań władz, wychodzili na ulice i place miasta. Milcząc, bez skandowania haseł, bez wezwań i żądań, wyrażali protest oklaskami. Odbywało się to co tydzień praktycznie przez całe lato, koordynowane przez Facebook i VKontakte. Dlatego zyskało to miano „rewolucji social mediów". Pierwsza akcja była pokojowa, ale już na kolejnych zatrzymywano ludzi. Na przykład 3 lipca 2011 roku, w państwowy Dzień Niepodległości, wśród zatrzymanych i wywiezionych w więźniarkach znalazła się ciężarna kobieta. Jej męża aresztowano, dostał wyrok, a ona poroniła. W tym czasie zaczęto, chyba po raz pierwszy na Białorusi, łapać i zatrzymywać pokojowo nastawionych obywateli na ulicach bez podawania im powodu. Po tych „pokojowych akcjach" stało się to już na Białorusi niechlubną tradycją. Łukaszenka, wypowiadając się na temat „milczących" akcji protestu, powiedział, że państwo ma „zasoby i siły do tego, żeby postawić na miejsce wszystkich tych, którzy naruszają prawo i konstytucję". „Tupiąc, klaszcząc, rycząc, warcząc na placach, na ulicach, nie można rozwiązywać problemów. A co najważniejsze, nie zarobisz pieniędzy. A wszyscy, którzy warczą i muczą na placach? Patrzyliśmy na nich. To nie są biedni ludzie, więc o co chodzi? Czego potrzebują? Potrzebują chaosu i hańby w tym kraju. Nie możemy na to pozwolić" – ostrzegał dyktator.

Od końca 2016 roku inspekcje podatkowe zaczęły nakładać tzw. podatek od pasożytnictwa. Celem specjalnego dekretu prezydenta stało się ponad 400 tys. ludzi. Dekret zobowiązywał ich do opłacania wszystkich usług komunalnych bez państwowego dofinansowania. Bezrobotni też powinni płacić podatek w kwocie odpowiadającej 180 dolarom. W lutym 2017 roku w Mińsku i innych miastach Białorusi odbyły się demonstracje: „marsze pasożytów". W ciągu roku w 12 miastach odbyło się 20 takich akcji protestu. Zatrzymano co najmniej 200 osób.

Miesiąc przed szóstymi wyborami prezydenckimi w kraju mówiono o 25 politycznych więźniach. Wśród nich znaleźli się blogerzy, potencjalni kandydaci na prezydenta i zwykli obywatele, którzy wychodzili na pokojowe akcje solidarności. ■

ŁUKASZENKA STANOWISKO GŁOWY PAŃSTWA OBJĄŁ 20 LIPCA 1994 ROKU, A JUŻ W PAŹDZIERNIKU POWOŁANO SŁUŻBĘ BEZPIECZEŃSTWA PREZYDENTA. W JEJ SKŁAD WESZLI SIŁOWICY Z GRUPY KGB ALFA I GŁÓWNEGO ZARZĄDU OCHRONY PAŃSTWOWEJ MSW.

eprasa.pl d637dc41e0

Hanna Shen

Ojciec tajwańskiej demokracji

30 lipca zmarł Lee Teng-hui, były prezydent Tajwanu. Jeden z najwybitniejszych polityków w Azji, patriota i żarliwy chrześcijanin. Bez niego Tajwan nie byłby tym, czym jest dziś – drogowskazem wolności i swobód na kontynencie azjatyckim.

FOT. CHRISTOPHER JUE/PAP/EPA

Historia Lee Teng-hui to historia Tajwanu. Wielu mieszkańców wyspy zanim mogło głośno powiedzieć o sobie: „Jestem Tajwańczykiem", tak jak Lee przeszło drogę bycia japońskimi poddanymi, potem komunistami i Chińczykami.

Droga ku tajwańskiej tożsamości

Lee urodził się w 1923 roku w zamożnej rodzinie na północy Tajwanu. W tym czasie wyspa była kolonią Japonii. Jego ojciec był zatrudniony przez kolonialistów jako policjant. W 1943 roku Lee zdobył stypendium na studia rolnicze na Cesarskim Uniwersytecie w Kioto, a rok później zaciągnął się do Cesarskiej Armii Japonii, awansując do stopnia podporucznika, chociaż nigdy nie brał udziału w akcji podczas II wojny światowej.

Będąc młodym Japończykiem Lee był posłusznym poddanym, który przeżył jednak fascynację marksizmem. „Jako student Cesarskiego Uniwersytetu w Kioto czytałem, co tylko wpadło mi w ręce Karla Marksa i Friedricha Engelsa. Potajemnie wertowałem wielotomowe dzieło Marksa kilka razy po japońsku. W czasie wojny w Japonii groził za to areszt" – pisał Lee w swojej autobiografii pt. „Droga do demokracji. Dążenie ku tajwańskiej tożsamości".

Już po porażce Japonii w II wojnie światowej i po powrocie na Tajwan, który wtedy przeszedł w ręce Chin pod rządami Kuomintangu, Lee nie zakończył swojej przygody z komunizmem. W 1947 roku wstąpił do Partii Komunistycznej. Tak robiło wtedy niemało tajwańskich intelektualistów rozczarowanych rządami Czang Kaj-szeka i chińskiego Kuomintagu (KMT). Wydawało im się, że rosnąca w siłę w Chinach kontynentalnych partia komunistyczna może zatrzymać ogarniający Tajwan terror. „Po przegranej przez Japonię, Tajwańczycy w tamtym czasie stali sę Chińczykami i uważali, że Chiny powinny się zmienić – że komunizm był czymś, co mogłoby ulepszyć Chiny" – pisał Lee.

28 lutego 1947 roku doszło na wyspie do rzezi tysięcy Tajwańczyków dokonanej przez wojska Czang Kaj-szeka. Rozpoczął się okres tzw. białego terroru, który zakończył się, gdy w 1987 roku zniesiono stan wojenny. Przez wiele lat rząd Kuomintangu na Tajwanie zakazywał jakichkolwiek wzmianek na temat tej tragedii i dopiero Lee Teng-hui w latach 90. jako prezydent przywrócił pamięć o tej tragedii i jej ofiarach i publicznie za nią przeprosił.

d637dc41e0

Rok po wstąpieniu do partii komunistycznej, Lee odszedł z niej, twierdząc, że był naiwny, wierząc w komunizm. Fascynację tą ideologią tak później tłumaczył: „Nie wierzyć w komunizm przed trzydziestką, to być bez marzeń, a wierzyć w komunizm po trzydziestce, to być oderwanym od rzeczywistości".

W tym samym czasie, gdy Lee pożegnał się z komunizmem, ukończył Państwowy Uniwersytet Tajwański, a następnie wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Tu w 1953 roku został absolwentem studiów w zakresie gospodarki rolnej na Uniwersytecie Stanu Iowa, a w 1968 roku uzyskał doktorat na Uniwersytecie Cornella. Po powrocie na Tajwan Lee był wykładowcą akademickim. Był też, jak wielu Tajwańczyków wracających z USA zafascynowanych tamtejszą wolnością, kilka razy zatrzymywany przez kuomintagowską bezpiekę.

Jednak mimo kłopotów utalentowany, dobrze wykształcony i pracowity Lee zwrócił na siebie uwagę urzędników rządzącego KMT, a szczególnie wicepremiera Czang Ching-kuo, syna prezydenta Czang Kaj-szeka. Po wstąpieniu do Kuomintangu Lee został ministrem bez teki i pracował nad polepszenieniem życia rolników i reformą sektora rolniczego.

W 1978 roku Lee Teng-hui został wybrany na burmistrza Tajpej, następnie w latach 1981–1984 był gubernatorem prowincji Tajwan. Od 1984 roku był wiceprezydentem Republiki Chińskiej (na Tajwanie) i zastępcą prezydenta Chiang Ching-kuo.

Po śmierci Chiang Ching-kuo w 1988 roku Lee jako pierwszy Tajwańczyk (benshengren*) objął stanowisko przewodniczącego Kuomintangu oraz – zgodnie z konstytucją – prezydenta Republiki Chińskiej. W 1990 roku Zgromadzenie Narodowe wybrało go na prezydenta. Ten sam rok przyniósł protesty studenckie znane pod nazwą Ruchu Dzikich Lilii. Demonstrująca młodzież domagała się bezpośrednich wyborów. Rok wcześniej miały miejsce protesty studenckie w Chinach. Na placu Tiananmen w Pekinie Komunistyczna Partia Chin nakazała strzelać do studentów. Rok później świat patrzył na Tajwan, na to, jak na podobne protesty zareaguje Lee Teng-hui. Prezydent bardzo szybko zaprosił przedstawicieli demonstrantów do Pałacu Prezydenckiego, wyraził poparcie dla ich celów i zobowiązał się do pełnej demokratyzacji Tajwanu. W 1996 roku odbyły się pierwsze w historii wyspy bezpośrednie wybory prezydenckie. Zanim jednak do nich doszło, Chiny rozpoczęły „ćwiczenia" wojskowe na wodach sąsiadujących z Tajwanem. Pekn chciał w ten sposób wysłać wiadomość do tajwańskich wyborców, by nie stawiali na startującego w wyborach „proniepodległościowego bandytę", czyli Lee Teng-huia. Cała sytuacja zmusiła Stany Zjednoczone do wysłania w rejon dwóch lotniskowców, by pokazać, że USA będzie bronić wyspy, a sami Tajwańczycy nie dali się zastarszyć i w wyborach opowiedzieli się za Lee.

Kolejna prezydentura Lee przebiegała już nie tylko pod hasłem reform politycznych, lecz także budowy tajwańskiej tożsamości i suwerenności.

Jeszcze w 1996 roku Lee ponownie wywołał wściekłość Pekinu**, sugerując, że stosunki między Tajwanem a Chinami należy porównać do stosunków między dwoma państwami. W 1999 roku ponownie powiedział, że Tajpej i Pekin powinny mieć „specjalne stosunki między państwami", na co chińska agencja Xinhua nazwała go „zdeformowanym dzieckiem z probówki hodowanym w politycznym laboratorium wrogich sił antychińskich".

W wyborach w 2000 roku Lee nie ubiegał się o reelekcję, ale poparł kandydaturę innego polityka KMT – Lien Chana, wiedząc, że ruch ten rozbije jego własną partię i zwiększy szanse Chen Shui-biana, kandydata z niepodległościowej Demokratycznej Partii Postępowej. Chen rzeczywiście wygrał wybory, po raz pierwszy kandydat proniepodległościowy został przywódcą na wyspie. Lee Teng-hui został wyrzucony z KMT i przez resztę swojego życia stał się już bardzo głośnym zwolennikiem niepodległości Tajwanu.

▶ „Bóg stał po mojej stronie"

Przejście od dyktatury do demokracji i wprowadzenie tak dużych zmian po okresie autorytarnej władzy KMT i po stanie wojennym nie było łatwe. Lee Teng-hui liczył się cały czas z oporem twardogłowych członków rządzącej partii Kuomintang i armii. Na pytanie, jak to możliwe, że to się jednak udało i transformacja ustrojowa na wyspie dokonała się pokojowo, odpowiedział: „Nie sądzę, że mogłem sam poprowadzić Tajwan ku demokracji. Mogę powiedzieć jedynie, że Bóg stał po mojej stronie".

---

* Benshengren (urodzony tutaj) to określenie Tajwańczyków urodzonych na wyspie. Mieszkańcy Tajwanu, którzy sami bądź ich przodkowie przybyli z Chin w latach 1945–1950, określają się jako „waishengren" (urodzeni na zewnątrz).

** Komunistyczne Chiny do dziś uznają Tajwan za swoją prowincję i grożą atakiem, jeśli wyspa formalnie ogłosi się niepodległym państwem.

eprasa.pl d637dc41e0

I to kolejna przemiana Lee Teng-huia – z marksisty stał się zagorzałym chrześcijaninem. Przyjął chrześcijaństwo w wieku 38 lat. W zbiorze swoich wypowiedzi pt. „W miłości i wierze" tak opowiada o okresie przed swoim chrztem: „Zacząłem chodzić do kościoła pięć razy w tygodniu. Chodziłem do prawie każdego kościoła w Tajpej. Jednak po każdym kazaniu nie czułem obecności Boga [...]. Drzwi wiary nie otworzyły się dla mnie łatwo". Pracujący wtedy na uczelni przyszły prezydent Tajwanu „patrzył na pytania duchowe z biologicznego punktu widzenia". W końcu, jak mówi, był w stanie uwolnić się od „spojrzenia na zjawiska metafizyczne z fizycznego punktu widzenia" i przyjął chrzest.

Richard Kagan w książce pt. „Tajwański mąż stanu: Lee Teng-hui i demokracja w Azji" pisze, że „typ chrześcijaństwa, który pochłonął Lee, wywodził się z ruchów protestanckich z XIX i początku XX wieku, które kładły nacisk na działania społeczne. Według słów pewnego amerykańskiego pastora, który zapowiedział karierę Lee jako ekonomisty rolnego: Niektórzy ludzie patrzą w niebo, aby zobaczyć Boga . On patrzył na ziemię i widział, jak rosną plony". Lee manifestował swoją wiarę służbą drugiemu człowiekowi, a z czasem swojemu narodowi. W swojej autobiografii Lee Teng-hui pisał, że to chrześcijaństwo sprawiło, iż był w stanie stawić czoło własnemu egoizmowi i altruizmowi.

Często też mówiąc o swojej wierze, Lee wspomiana o tej, która go do chrześcijaństwa doprowadziła, o swojej żonie. Tseng Wen-hui. „To ona zachęcała mnie, by przyjąć chrzest. Gdybym był sam, gdy stanąłem wobec potrzeby ukojenia w religii i byłem sfrustrowany przemożnym poczuciem filozoficznego impasu, mało prawdopodobne byłoby, żebym odpowiedział na ideę Bożej miłości lub przyjął chrzest [...]. Byłem w stanie zrozumieć wiarę, ponieważ w tej drodze towarzyszyły mi moja ukochana żona i rodzina".

Dziedzictwo Lee Teng-huia

Dzień po śmierci prezydenta Lee czołowa tajwańska dziennikarka Clara Chou zaczęła swój wieczorny program publicystyczny od słów: „Dziś pierwszy dzień, kiedy z Tajwańczykami nie ma już prezydenta Lee Teng-huia".

Jaki jest więc Tajwan teraz, gdy nie ma Lee? Jest państwem z jego wspaniałym dziedzictwem. Bowiem prezydent Lee utorował drogę wolnościom, którymi dzisiaj cieszą się Tajwańczycy. Pokazał, że może to być także przykład dla Chin. Lee udowodnił, że demokracja może być częścią chińskiego społeczeństwa i że konfucjanizm i swobody jednostki się nie wykluczają.

Lee przyjaźnił się z twórcą państwowości Singapuru, zmarłym w 2015 roku premierem Lee Kwan Yew, ale tych dwóch polityków różniło podejście do tzw. wartości ajzatyckich, tj. całkowitej lojalności jednostek wobec władzy, rezygnacji z wolności indywidualnych w imię dążenia do stabilności i dobrobytu całego społeczeństwa, dążenie do doskonałości w nauce i technologii i wiary w silną etykę w pracy. Singapurski polityk bronił tych wartości i uważał, że różnice kulturowe powodują, iż zachodni model demokracji, kładący nacisk na swobody indywidualne, nie jest odpowiedni dla Azjatów. Lee Teng-hui wierzył, że chińska kultura nie tylko harmonijnie łączy się z demokracją, lecz wręcz dostarcza idei i koncepcji wspierających demokrację. W 1996 roku w wywiadzie dla „Encyclopedia Britannica" tajwański polityk mówił, że „różnice między kulturą Wschodu i Zachodu nie wpływają na dążenie do demokracji. Podczas gdy czynniki historyczne doprowadziły do pewnego stopnia rozbieżności w urzeczywistnianiu wartości demokratycznych, takie wspólne ideały, jak wolność i prawa człowieka, muszą być zagwarantowane przez realizację polityki reprezentatywnej i praworządność".

Kolejne wartości, jakie Lee po sobie pozostawił, sprawiają, że do dziś określany jest jako najbardziej znienawidzony polityk przez Komunistyczną Partię Chin. Ta pierwsza spuścizna to przywiązanie do tajwańskiej tożsamości. Lee dążył do tego, aby obywatele Tajwanu byli panami własnej przyszłości, wolnymi od dyktatu jakiejkolwiek siły zewnętrznej – czy to KMT, czy KPCh. To rozpoczęta przez niego polityka edukacyjna sprawiła, że dziś 67 proc. ludzi na wyspie uważa się za Tajwańczyków (w 1992 roku określało się tak 17,6 proc.), a mniej niż 3 proc. nazywa się Chińczykami. Reszta mówi o sobie, że są zarówno Tajwańczykami, jak i Chińczykami.

Kolejna spuścizna po Lee, która nie podoba się w Pekinie, to stawianie na silne relacje Tajwanu ze Stanami Zjednoczonymi i Japonią. Były prezydent wierzył, że zdobycze tajwańskiej demokracji i suwerenność Tajwanu mogą być obronione tylko przy silnych sojuszach z tymi dwoma państwami. Dziś w dobie ostrego konfliktu Waszyngtonu z Pekinem i rosnącego zagrożenia w regionie ze strony Chin, relacje Tajwanu z USA i Japonią rozwijają się, a zacieśniająca się współpraca gospodarcza i militarna wyspy z Ameryką pod rządami Trumpa powoduje, że Tajwan może wzmacniać swoją międzynarodową pozycję. Prezydent Lee tego właśnie chciał. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Olga Doleśniak-Harczuk

Ostatnia nadzieja SPD

Barokowy Frankończyk contra sztywny Hanzeatczyk – jedna z niemieckich gazet już przystąpiła do zakładów, który z kandydatów na kanclerza ma lepsze szanse zastąpić Angelę Merkel. O ile jednak Hanzeatczyk, czyli Olaf Scholz (SPD), już oficjalnie stanął w bloku startowym, o tyle barokowy Markus Söder (CSU) w dalszym ciągu trzyma publikę w napięciu.

eprasa.pl d637dc41e0

Zresztą Söder i tak już dużo wygrał, pandemia dała mu niepowtarzalną szansę do pokazania, na co go stać. Scholz, hamowany skutecznie przez skrajnie lewicowe skrzydło swojej partii, nie miał łatwo, teraz to się zmienia. Pytanie, czy wystarczy nie być Saskią Esken czy Norbertem Walterem-Borjansem, by odzyskać utracone zaufanie wyborców.

Przegrany wygranym?

W 2019 roku Olaf Scholz przegrał batalię o przywództwo w SPD. Członkowie partii zdecydowali o powierzeniu jej sterów Saskii Esken i Norbertowi Walterowi-Borjansowi. Olaf Scholz był dla lewicowych dołów zbyt konserwatywny, jego polityka „czarnego zera", którą odziedziczył po Wolfgangu Schäuble, nie podobała się fanom zadłużania państwa.

Zerkająca w stronę postkomunistycznej Linke Saskia Esken i domagający się specjalnego podatku dla najbogatszych Norbert Walter-Borjans – to ci politycy po niemal dziewięciu miesiącach od grudniowej konwencji SPD w Berlinie, gdzie oficjalnie zatwierdzono ich na stanowisku przewodniczących partii, wystawiają Scholza do walki o Kanzleramt. Polityk, któremu odmówiono jeszcze rok temu kompetencji do kierowania partią, dziś ma ją poprowadzić do zwycięstwa w przyszłorocznych wyborach do Bundestagu.

Olafowi Scholzowi, z jego podejściem do polityki finansowej, sceptycznym stosunkiem do sojuszu z postkomunistyczną partią Linke i dalekimi od lewicowych poglądami, jest zdecydowanie bliżej chadeków niż socjaldemokratów. Zresztą jego współpraca z kanclerz Angelą Merkel układa się harmonijnie, Scholz jest szanowany w kręgach chadeckiego koalicjanta, konserwatystom podobało się, że mimo nacisków ze strony własnego środowiska partyjnego bronił reguły „czarnego zera", czyli polityki niezadłużania państwa. Pandemia wywróciła ten porządek do góry nogami. Ten, który jeszcze pod koniec 2019 roku odmawiał zaciągania nowych długów, a w 2004 roku popierał reformy Gerharda Schrödera znane jako Agenda 2010 (do dziś o Scholzu mówi się jako o Szrederianinie), w pandemii przedstawiał kolejne programy ratunkowe mające chronić Niemców przed gospodarczą zapaścią. Po pandemii koronawirusa Niemcom zostaną w pamięci nie tylko środki antybakteryjne, maseczki i kary za ich brak czy demonstracje przeciwników koronowej polityki Berlina, lecz także „Bazooka", czyli program finansowego wsparcia dla dotkniętych koronakryzysem opiewający łącznie na 1,4 biliona euro. Jeśli więc Olaf Scholz miał zamiar zapisać się w historii Niemiec jako rozsądny księgowy pilnujący każdego eurocenta, to pandemia mu ten plan pokrzyżowała, a popierany przez niego, jako ministra finansów rządu federalnego, projekt ratowania Europy polegający m.in. na uwspólnotowieniu europejskiego długu, dokończył dzieła.

Niebezpieczny Wirecard

Co istotne, ta wymuszona okolicznościami koronakryzysu twarz Olafa Scholza przypadła do gustu wyborcom wszystkich partii poza AFD i częściowo FDP. Polityk, którego jeszcze w czasie urzędowania jako burmistrza Hamburga nazywano „świętym Olafem", dziś jest pozytywnie odbierany przez dużą część niemieckiego społeczeństwa. Łaska społeczeństwa to jednak niepewna lokata, wystarczy komisja śledcza ds. skandalu z firmą płatniczą Wirecard i może się okazać, że Olaf wcale nie jest na tyle święty, by pociągnąć za sobą tłumy. Jeżeli obecny koalicjant SPD, czyli chadecy z CDU i CSU, uprze się na przesłuchanie Scholza w związku z licznymi oszustwami Wirecard, to opinia publiczna może się do kandydata SPD uprzedzić. Nie wygląda na to, by Wirecard miało być dla Scholza tym, czym dla Helmuta Kohla były czarne kasy CDU, lecz ryzyko zawsze warto wziąć pod uwagę. W powietrzu wciąż wisi pytanie, jak to było możliwe, by czołowa niemiecka firma obsługująca rynek płatności mogła przez kilka lat mydlić oczy inwestorom, zwłaszcza że podlegający Scholzowi Urząd Nadzoru Finansowego teoretycznie trzymał rękę na pulsie. Minister musiał wiedzieć, że coś nie jest w porządku. A skoro wiedział – dlaczego nie zareagował?

Rozdwojenie jaźni

Póki co, Olaf Scholz jest już oficjalnym kandydatem socjaldemokratów na kanclerza Niemiec. Ta nominacja dowodzi, jak głęboki kryzys tożsamości trawi SPD, ale pokazuje też, że mocny skręt w lewo zaszkodził partii. Wystawienie do wyścigu o Kanzleramt akurat Olafa Scholza, polityka, który przegrał zeszłoroczny plebiscyt na przewodnictwo w partii, jest jak publiczne przyznanie się do błędu. I desperacka próba stworzenia nowego wizerunku partii, z dala od utopijnych, mocno lewicowych pomysłów na Nowy Wspaniały Świat w rytm marksistowskiej mantry, tak chętnie powielanej przez dwuosobowe kierownictwo partii. Scholz jest ponad to. Czy to jednak wystarczy, by SPD wróciło do formy sprzed 2005 roku i mogło suwerennie decydować o swoim losie, bez zabawy w przystawkę CDU? Sama kosmetyka personalna może nie wystarczyć, niemiecka socjaldemokracja musi odnaleźć się na nowo. Z kandydatem na kanclerza tak diametralnie różnym od partyjnych liderów to zadanie karkołomne. Absolutne rozdwojenie jaźni w drodze po berło. Sztywny Hanzeatczyk prędzej się porozumie z barokowym Frankończykiem niż komunizującym duetem Esken-Borjans. Przedziwne to dzisiejsze SPD. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Polska–USA–Azja

16 sierpnia znany chiński publicysta Jiang Fenga poświęcił swój program na YouTube wizycie amerykańskiego sekretarza stanu Mike'a Pompeo w Polsce i zacieśniającemu się sojuszowi pomiędzy Warszawą a Waszyngtonem. Program mieszkającego w USA Jianga oglądają Chińczycy na całym świecie, a także Tajwańczycy i Hongkończycy.

Według chińskiego publicysty zawarcie przez administrację Donalda Trumpa umowy o wzmocnieniu trwałej obecności wojsk USA w Polsce i rosnąca współpraca gospodarcza pomiędzy Polską a USA to dowód na to, że Rzeczpospolita odgrywa coraz większą rolę na mapie geopolitycznej. Jiang uważa, że Trump stawia na Warszawę nie tylko dlatego, że wywiązujemy się z naszych zobowiązań wobec NATO i Polska kupuje coraz więcej skroplonego gazu ziemnego w USA, lecz także dlatego, że amerykański prezydent chce mieć w Europie sojusznika charakteryzującego się silnym poczcuciem ducha narodowego i gotowego bronić swojej suwerenności. Historia i kultura Rzeczpospolitej są dowodem na to, jak wielką ofiarę Polacy są w stanie ponieść, by owego ducha i wolności bronić.

Rzadko w Azji ukazują się materiały, w których mówiłoby się tak dużo i tak dobrze o historii Polski i Polakach. Jiang Feng przypomina o polskim oporze wobec zaborców, niemieckich i rosyjskich okupantów oraz komunizmu czy o ogromnym wkładzie polskich kryptologów w proces złamania szyfru niemieckiej Enigmy. Wspomina także, że to, o czym marzyli Napoleon i Hitler, czyli zdobycie Moskwy, udało się Polakom. Chiński publicysta przywołuje też wspaniałe słowa o Polsce wypowiedziane przez Donalda Trumpa w czasie jego przemówienia w 2017 roku w Warszawie: „Historia Polski to historia ludzi, którzy nigdy nie utracili nadziei; których nigdy nie dało się złamać i którzy nigdy, przenigdy nie zapomnieli, kim są".

Jiang Feng odwołuje się do dzisiejszej sytuacji geopolitycznej – coraz mocniejszego sojuszu Rzeczpospolitej z USA i coraz niebezpieczniejszej bliskości Berlina, Moskwy i Pekinu. Publicysta tłumaczy chińskojęzycznej widowni, że Niemcy nie tyle zacieśniają współpracę, ile wręcz uzależniają się energetycznie od Rosji. Tymczasem Polskę i USA łączy podobne stanowisko w sprawie Nord Stream 2. Także w kwestii Chin Berlin utrzymuje odmienną politykę od USA. I tak na przykład nie chce wykluczyć firmy Huawei z budowy sieci 5G. Dodatkowo reakcja Niemiec na narzucenie przez Pekin Hongkongowi ustawy dotyczącej bezpieczeństwa narodowego była zupełnie odmienna od stanowiska Amerykanów. Berlin mówił o potrzebie dalszego dialogu z Pekinem, podczas gdy Waszyngton wprowadza sankcję na urzędników chińskich i hongkońskich odpowiedzialnych za ustawę.

Według Jiang Fenga zacieśniający się sojusz pomiędzy Rosją i Chinami jeszcze nieraz uderzy w Europę. Chiński publicysta uważa, że wraz z narastaniem konfliktu na linii Waszyngton–Pekin, ChRL będzie wpływać na Rosję, by kontrolowała stanowisko Europy, a przede wszystkim Niemiec, w tym sporze m.in. za pomocą Nord Stream 2. Jiang twierdzi, że Polska uniezależniając się od wpływów rosyjskich i chińskich, będzie coraz mocniejszym sojusznikiem Waszyngtonu, obroni swoją suwerenność i będzie odgrywać coraz większą rolę na arenie międzynarodowej.

Chiny–świat

Administracja Trumpa uznała Instytuty Konfucjusza (IK) w USA za zagraniczne misje Komunistycznej Partii Chin, twierdząc, że prowadzony przez nie program nie ogranicza się tylko do nauczaniu języka chińskiego, lecz jest także częścią

eprasa.pl d637dc41e0

komunistycznej propagandy i narzędziem wpływu Pekinu na świat akademicki.

Amerykanie zobowiązali główną siedzibę Instytutów Konfujcusza w Stanach Zjednoczonych w Waszyngtonie, by składała rządowi USA raporty na temat finansowania, personelu, programu nauczania i innych działań na terenie Ameryki. „Nie wyrzucamy ich. Podkreślamy tylko fakt, że ci ludzie pracują dla Ministerstwa Edukacji (Chińskiej) Partii Komunistycznej " – powiedział zastępca sekretarza stanu ds. Azji Wschodniej i Pacyfiku David Stilwell. W USA jest około 500 klas w przedszkołach, szkołach podstawowych i średnich, które współpracują z Instytutami Konfucjusza. Ponadto IK istnieją na 75 kampusach w USA. Niektóre uniwersytety zamknęły instytuty z obawy, że rozpowszechniają one komunistyczną propagandę.

Mocne ostrzeżenia na temat działalności IK w Stanach pojawiały się już od dłuższego czasu ze strony think tanków i samych środowisk akademickich. John Lenczowski, amerykański politolog oraz założyciel i prezes The Institute of World Politics (Instytut Polityki Światowej), wymienia IK jako jedno z narzędzi chińskiej dezinformacji, propagandy i... centrum działań szpiegowskich.

Już w 2014 roku Amerykańskie Stowarzyszenie Profesorów Uniwersyteckich (AAUP) przygotowało raport dotyczący Instytutów Konfucjusza. Stwierdzono w nim m.in., że „większość umów, na podstawie których powstają Instytuty Konfucjusza, zawiera tajne klauzule i niedopuszczalne ustępstwa służące politycznym celom i interesom rządu Chin. Uniwersytety w Ameryce Północnej pozwalają Instytutom Konfucjusza na kierowanie się kryteriami wyznaczonymi przez władze Chin w procesie rekrutacji, kontroli pracowników naukowych, wyborze programów nauczania".

Na świecie jest łącznie 548 Instytutów. Poza USA, także we Włoszech rozgorzała ostatnio debata na temat obecności IK na tamtejszych 12 uczelniach. Wielu naukowców wskazuje na strach włoskich sinologów przed zajęciem stanowiska w sprawie represji w Hongkongu i Chinach, co pokazuje, że IK powiązane z KPCh wpływają negatywnie na środowisko akademickie i jego wolność wypowiedzi w tym kraju.

O tym, że w działalności IK nie chodzi o naukę języka czy kultury Chin, mówi człowiek, który bardzo dobrze zna mechanizmy działania komunistycznego państwa chińskiego i jego czerwonych dygnitarzy. Chodzi o Yuan Hongbinga, który wykładał na wydziale prawa na Uniwersytecie Pekińskim. Jego akademickim kolegą był premier Chin Li Keqiang, znał także obecnego prezydenta ChRL Xi Jinpinga. Yuan jednak nie kłaniał się władzy komunistycznej. Poparł studentów protestujących w Chinach w 1989 roku. Był także jedną z osób, które stworzyły tzw. Kartę'08, manifest podpisany przez 350 chińskich intelektualistów i działaczy praw człowieka w celu promocji reform i demokratyzacji Chin. Yuan Hongbing w 2004 roku poprosił o azyl polityczny w Australii i od tego czasu mieszka za granicą. Yuan o IK mówi otwarcie: „Instytuty Konfucjusza to Konfucjusz przybrany w szaty marksizmu". Podkreśla też, jak naiwny jest Zachód, wierząc, że dzisiejsze Chiny propagują kulturę chińską. „Czy kultura chińska jest teraz w Chinach? Teraz, gdy w Chinach panuje wywodząca się z Zachodu tradycja totalitaryzmu? To, co nazywa się chińską kulturą, jest komunizmem w nowoczesnej formie i jest zdominowane przez marksizm. Komunistyczna Partia Chin najpierw zniszczyła chińską kulturę: każda myśl filozoficzna była brutalnie tępiona, a ostatecznym celem była eksterminacja chińskiej tradycji i rozpoczęcie przez partię tzw. ruchu Nowej Kultury – wtedy głównym hasłem było rozbicie konfucjanizmu".

W Polsce Instytuty Konfucjusza działają na Uniwersytecie Jagiellońskim, Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytecie Wrocławskim, Uniwersytecie Gdańskim, na Politechnice Opolskiej oraz na Politechnice Warszawskiej. Działają też klasy konfucjańskie w kilku szkołach.

▶ Korea Północna

15 sierpnia arcybiskup Seulu w Korei Płd. kard. Andrew Soo-jung Yeom zawierzył Diecezję Pjongjang w Korei Północnej Matce Bożej Fatimskiej.

Zanim w 1948 roku władzę w północnej części Korei objęli komuniści, Pjongjang był jednym z najbardziej chrześcijańskich miast na całym Półwyspie Koreańskim. Zwany był często Jerozolimą Dalekiego Wschodu ze względu na dużą liczbę świątyń. Objęcie rządów przez komunistów położyło kres wszelkiej wolności religijnej w Korei Płn.

W 1962 roku papież Jan XXIII ustanowił w Pjongjang diecezję, a jej administratorem apostolskim „sede vacante et ad nutum Sanctae Sedis" jest od tego czasu każdorazowy arcybiskup Seulu.

Podczas uroczystości zawierzenia kard. Yeom powiedział: „Mam nadzieję, że Kościół północnokoreański będzie mógł ponownie wychwalać Pana z radością i pokojem tak szybko, jak to możliwe, dzięki ochronie i pomocy Matki Bożej".

Od wielu lat Korea Płn. zajmuje pierwsze miejsce we wszystkich raportach i wykazach tych państw, w których najbardziej łamana jest wolność religijna. Wszystkie świątynie zostały albo zniszczone, albo zamknięte, a duchownych i świeckich wymordowano, uwięziono lub zesłano do obozów ciężkiej pracy. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Marcin Wolski

POWTÓRKA Z SIERPNIA

Trzymam kciuki za Białoruś. Modlę się za ten piękny kraj i dzielny naród, tak bliski nam jak żaden inny. Historycznie było to serce Wielkiego Księstwa Litewskiego, w którym Litwini stanowili mniejszość. Owszem dynastia była litewska, ale jej władcy mówili po białorusku, w tym języku sporządzane były aż do XVII wieku dokumenty państwowe. Nadto Białorusinów nie trzeba było chrzcić, od czterech wieków byli wszakże chrześcijanami obrządku wschodniego. Wielu z ich biskupów stało się dwa wieki później inicjatorami unii brzeskiej. W odróżnieniu od Ukrainy targanej kozackimi buntami, z których najtragiczniejszym okazało się powstanie Chmielnickiego – Białorusini pozostawali wierni Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Dostarczali Polsce wojowników (Kościuszko) i wieszczów (Mickiewicz!). Podrywali się w kolejnych powstaniach. A odrodzenie narodowe nigdy nie przybrało jak na Litwie charakteru radykalnego nacjonalizmu. Swoista łagodność, to zresztą cecha narodowa Białorusinów – świat ze zdumieniem obserwował demonstracje, w których wielotysięczne tłumy chodzą po pasach, nie blokują jezdni, starają się nie deptać trawników i stronią od wandalizmu, wszechobecnego przy protestach na Zachodzie. Owa pozorna uległość powodowała, że świat nie traktował Białorusi zbyt poważnie, niepodległość w 1918 roku pojawiła się na krótko, a późniejsze losy republiki były efektem działań Stalina, któremu zależało na quasi-państwowości, aby mieć dodatkowe głosy w nowo powstałym ONZ. Również niepodległość w 1991 roku spadła na kraj dość nieoczekiwanie i rychło ustąpiła dobrowolnie dyktaturze Łukaszenki, zręcznie wykorzystującego programy socjalne połączone z mieszaniną narodowych i postsowieckich resentymentów. Zagwarantowane życiowe minimum i w wypadku nieposłuszeństwa terror funkcjonowały przez długie lata. Niepodległa Białoruś? To brzmiało jak oksymoron.

Wybory 2020 roku zmieniły wszystko, możliwość, jaką dała kandydatura młodej, pięknej i – dodajmy – przypadkowej liderki obudziła naród, a sfałszowanie wyników na skalę nienotowaną od czasów sowieckich wywołało powszechny gniew. Nagle zamiast wąsatego baćki i otaczających go urzędasów – objawiła się nowa Białoruś – młoda, urodziwa, dumna, z dnia na dzień nabierająca pewności siebie, ucząca się w marszu demokracji, wyłaniająca własnych od lat nieistniejących przywódców. Naród pozornie wykorzeniony miał bowiem swój „Piemont", swoją „Galicję" – Polskę. Tu kontynuowano naukę w języku przodków, tu funkcjonuje wolna prasa, stąd nadaje telewizja Biełsat, tu wreszcie setki tysięcy, a pewnie miliony Białorusinów odbywały pośpieszny kurs kapitalizmu, stykając się z kulturą Zachodu – robotnicy, gosposie domowe, absolwenci studiów wracali do siebie, stając się ambasadorami nowej cywilizacji (tak jak nasi gastarbeiterzy z lat 80.). Kto żył w wolności, nie jest w stanie na dłuższą metę zaakceptować ucisku.

Białoruś może ruszyć szybko w stronę wolnego świata, może zostać zduszona przez zarazę małych zielonych ludzików, oszukana przez kolejne marionetki Kremla, na dłuższą metę jednak już dokonał się przełom. Smaku wolności się nie zapomina.

Oczywiście nie mam szklanej kuli, w której mogę zobaczyć przyszłość. Białoruś może ruszyć szybko w stronę wolnego świata, może zostać zduszona przez zarazę małych zielonych ludzików, oszukana przez kolejne marionetki Kremla, na dłuższą metę jednak już dokonał się przełom. Smaku wolności się nie zapomina – odebrana i opluta śni się po nocach, powraca w kolejnych zrywach, stanowi punkt odniesienia i program polityczny. Nie zapomnieli swego powstania Węgrzy w 1956 roku, bratniej pomocy Czesi i Słowacy, a w Polsce „Solidarność", choć zdeptana przez juntę Jaruzelskiego, nie umarła nigdy. ■

eprasa.pl d637dc41e0

Tomasz Sakiewicz

Demon Maxwella

James Maxwell, XIX-wieczny fizyk, próbował udowodnić istnienie pewnego zjawiska, które w dużym uproszczeniu powodowałoby, że w środku pieca hutniczego powstałoby coś o temperaturze kostki lodu. Byłby to efekt takiego ułożenia się cząstek, w którym na zewnątrz pozostałyby wszystkie „gorące", a w środku „zimne". Temperatura pozostałaby niezmienna. Ponieważ bardzo trudno sprawić, by do takiej sytuacji doszło samoczynnie, trzeba by cząstkom odpowiednio pomóc. Tym wspomagaczem jest słynny „demon". Przyroda zna sporo takich zjawisk, ale ponieważ generalnie opatrzyły się nam one, to nie uważamy ich za tak niezwykłe jak lód w piecu.

Takim fenomenem jest coraz bardziej polska gospodarka. Ostatnio podczas Forum Wizji Rozwoju w Gdyni na panelu rozpoczynającym całe Forum usłyszałem od przedstawiciela Giełdy Papierów Wartościowych, że WIG20, czyli indeks największych polskich spółek giełdowych, w ciągu roku wzrósł. Czyli w sierpniu tego roku był wyższy niż w adekwatnym okresie ubiegłego roku. Co to oznacza? Inwestorzy obecnie jeszcze chętniej kupują akcje na polskiej giełdzie niż rok temu. Mamy środek największego w historii kryzysu. Świat pod względem wielkości PKB cofnął się o kilka lat. Miliony ludzi straciły pracę. Spada na całym świecie poziom życia. A tu nagle polska giełda szybuje w górę bardziej niż w czasie największej prosperity. Jak to wytłumaczyć? Nie da się tego zrobić inaczej, niż uzasadnić to ogromną wiarą inwestorów w dobry stan polskich firm, mierzony jeżeli nie stanem na dzisiaj to dosłownie tym „za chwilę".

Można powiedzieć, że zwiększyła się ilość pieniądza na światowych rynkach, więc gdzieś trzeba było te walory ulokować. Nic podobnego. Pieniądz w czasie kryzysu lokuje się w rzeczy naprawdę pewne, na przykład złoto, którego wartość mocno wzrosła. Dlaczego akcje naszych firm są traktowane niemal tak jak ten kruszec? Bo inwestorzy już od lat dostrzegają, że polskie firmy radzą sobie nieźle w kryzysach, a teraz doszła do tego bardzo dobrze odebrana polityka gospodarcza państwa. Ów demon Maxwella w naszej gospodarce to zdolność do przewidywania kryzysu i radzenia sobie z nim lepiej niż inni.

Dlaczego Polacy radzą sobie lepiej? Bo od setek lat żyjemy w nieustannym kryzysie spowodowanym wojnami, rozbiorami, okupacją i komunizmem. Mogliśmy się temu poddać, ale jako społeczność jednak sobie poradziliśmy. Minione choroby powodują pewną odporność na przyszłe, a my jako społeczeństwo wytworzyliśmy struktury i jednostki pomagające przetrwać innym i sobie. Oczywiście kryzysy rodzą dwie skrajne postawy: silnie altruistyczne – pracujące na rzecz społeczności i egoistyczne – ratujące siebie nawet kosztem innych. Skoro sobie radzimy, wygrywają altruiści. Altruista to nie szaleniec niemyślący o swoich interesach, lecz ktoś, kto swoje powodzenie łączy z dobrem społeczności.

Dlaczego akcje naszych firm są traktowane niemal tak jak złoto? Bo inwestorzy już od lat dostrzegają, że polskie firmy radzą sobie nieźle w kryzysach, a teraz doszła do tego bardzo dobrze odebrana polityka gospodarcza państwa.

Wytworzenie mechanizmów obronnych na czas kryzysu pozwala nie tylko zachować stan posiadania i przetrwać, lecz także – ponieważ życie nie znosi próżni – ściąga tych, którzy widzą swoją szansę w przeniesieniu się do takiej społeczności. Stąd też w chwilach kryzysu kapitał zamiast wynosić się z Polski, powoli do naszego kraju napływa. Świadczy o tym duży poziom inwestycji w gospodarkę i giełdę. To właśnie do Polski przenosi się część produkcji z Azji. W skali tamtego kontynentu nie jest to wiele, lecz w skali Polski – sporo. Zagrożenie rosyjskie spowodowało ściągnięcie wojsk amerykańskich, a to bardzo zwiększyło nasze bezpieczeństwo i zwróciło uwagę świata na atrakcyjność polskiego rynku. W tej chwili już niemal każdy kryzys zaczynamy przerabiać na przyszły sukces. Póki mamy wiarę, że sobie poradzimy, to kontrolujemy owego „demona", który w środku kryzysu buduje nam podwaliny prosperity. ■

eprasa.pl d637dc41e0

CYFROWY POLSAT

NAJLEPSZE FILMY, BAJKI I SPORT!

Na start 3 miesiące TV bez opłat!

Promocje dla nowych Klientów przy umowach z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera, usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Oferta ważna na dzień 17.08.2020 r.
Bundesliga w ELEVEN SPORTS. Fot. DFL/Bundesliga/Getty Images.

eprasa.pl d637dc41e0